

Nan Ryan

Samozwańcza księżna

Rozdział 1

Londyn, 26 czerwca 1895 roku, środa Więzienie Newgate 18. 00 czasu angielskiego

Strażnik o surowej twarzy opuścił drabinę, po czym odwrócił się i nakazał przestraszonej Claire Orwell zejść po niej prosto do wspólnej celi.

Obecność pięknej Claire natychmiast wywołała zamieszanie wśród więźniów. Kryminaliści momentalnie zwrócili na nią uwagę. Ich przekrwione, złe oczy wpatrywały się uważnie w szczupłą, młodą blondynkę o szlachetnych rysach twarzy.

– Poznaj swoich towarzyszy – burknął strażnik, uśmiechnął się złośliwie na widok gęstniejącego tłumu i dodał: – Złodziejaszki. Kieszonkowcy. Rozbójnicy. I ladacznice. Kompani w sam raz dla ciebie, co? Na pewno dobrze się tu poczujesz.

Kopnął pogrążonego we śnie pijaka. Chudy jak patyk, spocony wykołajeniec jęknął, przekręcił się na drugi bok, głośno beknął i ponownie zachrapał. Claire skrzywiła się z obrzydzeniem, gdy do jej nozdrzy dotarł odrażający fetor zeschniętych wymiocin, którymi oblepiony był leżący na ziemi nieszczęśnik.

Więzienny strażnik nie krył rozbawienia.

– Spokojna głowa, paniusiu – wymamrotał i zachichotał. – Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Claire zrobiło się słabo.

– Tutaj, córuś, siadaj bliżej mnie – zaprosiła ją kobieta o niezdrowym wyglądzie i niechlujnie ufarbowanych na czarno włosach, ubrana w sztywny od brudu strój.

Nieznajoma podciągnęła spódnicę, owinęła ją wokół posiniaczonych ud i zatrzepotała zmatowiałymi rzęsami. Claire zadrżała, podczas gdy pozostali więźniowie wyli i gwizdali, zachwyceni obrzydzeniem malującym się na twarzy Claire.

Po grzbiecie młodej kobiety przebiegł nieprzyjemny zimny dreszcz. Popatrzyła na strażnika.

– Bardzo pana proszę, niech mi pan zezwoli na natychmiastową rozmowę z adwokatem – odezwała się błagalnym tonem. – Nie można mnie więzić, skoro nawet nie postawiono oskarżenia.

Jeśli to konieczne, proszę mnie przenieść do aresztu policyjnego, ale nie mogę

tu zostać... Nie zrobiłam nic złego. Jestem niewinna, nie popełniłam czynów karalnych, to straszliwa pomyłka...

– Ech, wszyscy to powtarzają – warknął strażnik. Poprawił czarny mundur z dwoma rzędami mosiężnych guzików, nasunął na czoło czapkę z daszkiem i brutalnie pchnął Claire. – Kilka nocek tutaj, panno Lepkie Paluchy, i następnym razem dobrze się zastanowisz, nim zwiniesz coś lepszym od siebie.

Claire umilkła. Wszelkie próby dyskusji były bezcelowe. Strażnik jej nie słuchał. Zresztą nikt jej nie słuchał. Przez cały dzień usiłowała bezskutecznie przekonać władze, że nie zrobiła niczego złego. Teraz w jej głowie zaświtała potworna myśl: nikt się nie dowie, że przebywa w tym miejscu. Nikt prócz mściwego, utytułowanego oszusta, który skłamał, by ją tutaj wpakować.

Musiała znaleźć sposób na powiadomienie kogoś o zaistniałej sytuacji. Z pewnością nawet więźniowie mieli prawo wysyłać listy, przyjmować wizyty, korzystać z porady prawnej.

Mocno zacisnęła zęby, kiedy strażnik brutalnie szarpnął ją za ramię i przepchnął przez pstrokatą zgraję szubrawców, zbitych w grupki na brudnej podłodze lochu. Wszyscy uważnie obserwowali każdy jej ruch, mamrotali coś do siebie i z obleśnymi uśmiechami czynili wulgarne gesty. Claire zręcznie omijała brudne ręce, wyciągające się ku jej długiej sukni. Starła się na nikogo nie patrzeć.

Sprawdzały się wszystkie przerażające pogłoski o Newgate.

I to z nawiązką.

Była bliska paniki. Trafiła do parszywej nory, w której tłoczyły się szumowiny i męty, odrzucone i zapomniane przez społeczeństwo. Przebywała w wilgotnym, zatęchłym lochu, pełnym zgnilizny, śmieci i niebezpiecznych bandziorów obojga płci. Jedyne światło sączyło się z małych brudnych okienek ponad pomostem.

Dzień dobiegał końca, zapadał półmrok. Claire z niepokojem poszukiwała kąta, w którym mogłaby przycupnąć z dala od współwięźniów. Niestety, tutaj takie miejsce nie istniało.

– Rozgość się. – Strażnik w końcu puścił jej rękę.

Zmarszczyła brwi i ciężko odetchnęła, po czym skuliła smukłe ramiona. Powoli, z determinacją, ruszyła ku zachodniej ścianie celi, gdzie przebywało mniej więźniów. Strażnik podążał za nią krok w krok.

W pewnej chwili usłyszała, jak jej potężnie zbudowany opiekun mówi:

– Z drogi, Zielonozęba. W naszym luksusowym hotelu zameldował się nowy gość. Rusz kościsty zadek i zrób trochę miejsca, żeby dama miała czym oddychać.

Claire skierowała spojrzenie na zabiedzoną istotę, do której przemawiał

strażnik. Była to chuda jak szczapa, siwiejąca stara wiedźma o włosach zlepionych w strąki. Przydałaby się jej natychmiastowa pomoc dentystyczna oraz nowe ubranie. Pociągła twarz kobiety była pomarszczona i brudna, zęby czarne i spróchniałe, lecz oczy błyszczące i nadspodziewanie czujne.

Jędrza, znana w świątku przestępczym jako Zielonozęba, pospiesznie zeszła z drogi, ale nie spuściła wzroku z nowej więźniarki.

– Co się tak gapisz, starucho? – warknęła Claire. Miała nadzieję, że w ten sposób już na samym początku ustali swoją pozycję w grupie i zademonstruje brak strachu, który w gruncie rzeczy przeszywał ją na wylot. – Dość tego! Trzymaj się ode mnie z daleka. Ostrzegam cię!

Kobieta wcisnęła się w cień pod ścianą, jednak dyskretnie nadal obserwowała napastliwą towarzyszkę niedoli.

Claire odetchnęła powoli, z trudem. Odwróciła się i usiadła. Plecami dotknęła muru, podkurczyła kolana i otoczyła je rękami, głowę oparła o szorstkie cegły. Ukradkiem rozejrzała się po zatłoczonym, cuchnącym lochu.

Więźniowie cały czas pożerali ją wzrokiem, pokazywali palcami i coś do siebie szeptali. Na rękach Claire pojawiła się gęsia skórka, a drobne włoski na karku stanęły dęba. Trafiała do odpychającej nory, pełnej wyrzutków społeczeństwa, a na domiar złego wkrótce miały zapaść ciemności.

Spojrzała na pomost, wysoko na murze.

Grubiański strażnik, który ją sprowadził na dół, zaciskał dłonie na barierce i obserwował zatrzymanych. Młodszy strażnik przechadzał się wzdłuż pomostu.

Claire poczuła ulgę na widok mundurowych. Pomyślała, że oni oraz ich zmiennicy będą pełnili straż przez całą noc i dopilnują, by panował porządek. Z pewnością nie pozwolą, żeby doszło do poważnych awantur. Była zatem stosunkowo bezpieczna.

Londyn pogrążył się w mroku. Jedynym źródłem światła we wspólnej celi w Newgate były pochodnie przytwierdzone do ceglanych ścian poczerniałych od osadzającej się tu latami sadzy.

Claire ani drgnęła, kiedy inni pobiegli na wieczorny posiłek. Wygłodniali więźniowie łamali stary chleb i pospiesznie wychleptywali wodnistą zupę, siorbiąc ile sił w płucach. Claire skrzywiła się z odrazą. Zapachy i dźwięki nadał atakowały jej zmysły, ale przynajmniej nie musiała oglądać ludzkiego robactwa.

– Lepiej zjedz miskę zupy – usłyszała dobiegający z półmroku głos Zielonozębej.

Claire otworzyła oczy i spojrzała na brudną staruchę.

– Nie jestem głodna – burknęła. – Daj mi spokój.

Stara kobieta przytknęła do ust miskę, by wyskubać resztkę lury. Po dłuższej chwili odstawiła puste naczynie i wytarła wargi utyłanym rękawem.

– Musisz jeść, bo stracisz siły – poradziła młodej kobiecie. – Inaczej tutaj nie przeżyjesz.

– Nie zabawię tu długo – oświadczyła zdecydowanie Claire. – Jestem niewinna i...

– Pewnie, pewnie – przerwała jej bezceremonialnie wiedźma. – Wszyscyśmy niewinni. Ani jednej winnej duszyczki. Ani jednej.

– Ale ja naprawdę jestem niewinna i do rana mnie stąd wypuszczą.

– Oj, nie, na pewno nie – wymamrotała starucha. – Winna czy niewinna, sąd wyda wyrok może za kilka tygodni, ale najpewniej za parę miesięcy.

– E tam – burknęła Claire lekceważąco. – A teraz, proszę, przestań się do mnie odzywać.

– Próbuję ci pomóc – zapewniła ją Zielonozęba.

– Niepotrzebna mi pomoc. Nie chcę cię już słyszeć, rozumiesz?

Starucha zamilkła, ale nadal uważnie obserwowała Claire. Nie mogła oderwać od niej oczu. W młodej kobiecie było coś uderzająco znajomego. Włosy, porcelanowa cera, intensywnie fioletowe oczy, szlachetny zarys szyi. Bez wątplenia przypominała kogoś, kto był znany Zielonozębej. Starucha gorączkowo szukała w pamięci...

Czy to możliwe? Nie, zbyt młoda... Ale podobieństwo jest uderzające. Córka. Musi być córką.

Claire siedziała z zamkniętymi oczami na twardej kamiennej podłodze. W milczeniu rozważała swoją sytuację. Nie mogła dopuścić do tego, by tragiczny zbieg okoliczności ją załamał. Musiała być silna, wykazać się sprytem i wydostać z tych koszmarnych kłopotów. Wpadła w poważne tarapaty, wiedziała to doskonale.

Kto uwierzy jej słowu przeciwko słowu lorda Wardleya Nardeesa?

Nikt.

Wiedziała, że sama musi stawić czoło temu przerażającemu wyzwaniu. Całkiem sama.

Nie po raz pierwszy była w życiu zdana na własne siły. Przywykła do samodzielności, odkąd straciła rodziców. Miała wówczas osiemnaście lat. Wkrótce po ich śmierci zgodziła się wyjść za starego przyjaciela rodziny, miłego i solidnego

Keitha Orwella. Z ochotą troszczyłby się o nią przez resztę życia, gdyby nie odszedł z tego świata.

Zaledwie cztery lata po ślubie czuły i dobry mąż Claire niespodziewanie zmarł na udar mózgu. W ten sposób w wieku dwudziestu dwóch lat Claire została wdową. Mąż nie pozostawił jej żadnych pieniędzy, więc nie miała zbyt wiele czasu na żałobę. Musiała jak najszybciej znaleźć źródło utrzymania.

Jako osoba starannie wykształcona, została guwernantką dwóch przemyłych chłopców z bardzo dobrej rodziny. Spędziła pięć wspaniałych lat na kierowaniu ich nauką, aż wreszcie nadeszła pora, by jej podopieczni wyjechali do szkoły z internatem. Wtedy Claire musiała poszukać sobie nowego zajęcia, i wkrótce została guwernantką trzech niesfornych pociec lorda Wardleya Nardeesa.

Zadrżała na wspomnienie zdarzeń, które zaledwie poprzedniego wieczoru rozegrały się na terenie ogromnej posiadłości barona.

Otworzyła oczy i ponownie spojrzała w górę. Odetchnęła z ulgą, widząc, że strażnik nadal przechadza się po pomoście. W tej samej chwili jednak zatrzymał się raptownie i ruszył wprost do sznurowej drabiny, po której Claire zeszła do wspólnej celi.

Zamarła, kiedy strażnik zawołał głośno do więźniów:

– Drabina w górę, żałosne padalce! Nawet nie próbujcie wylazić nocą z lochu!
– Pochylił się i sprawnie podciągnął drabinę, szczebel po szczeblu, aby żaden z zatrzymanych nie mógł jej chwycić. Claire z przerażeniem patrzyła, jak znika jej jedyny łącznik ze światem.

Zabrawszy drabinę, strażnik przeszedł się po pomoście i zgasił większość pochodni. Po kilku minutach w lochu zapadła ciemność.

Była zdana na łaskę i niełaskę niebezpiecznych bandytów, a do świtu brakowało jeszcze wielu godzin.

Powtarzała sobie, że nie ma się czym przejmować. Strażnik nadal spacerował po pomoście i uważnie obserwował zatrzymanych. Powinna się odprężyć i odpocząć. Jutro pomyśli o tym, jak wybrnąć z opresji.

Był kwadrans po północy.

Claire nie zmrużyła oka, w przeciwieństwie do strażnika, który już nie pilnował więźniów, tylko leżał gdzieś poza zasięgiem jej wzroku i głośno chrapał, nieświadomy tego, co się dzieje wokoło.

Loch coraz intensywniej tętnił życiem po względnie spokojnym dniu. Ta nieoczekiwana aktywność współwięźniów obudziła w Claire jeszcze większy

niepokój. Nie była naiwna. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zwróciła na siebie uwagę recydywistów płci męskiej oraz pozbawionych wszelkiej wrażliwości prostytutek. Przez cały wieczór czuła na sobie lubieżne spojrzenia. Otaczali ją sami wrogowie, a każdy z nich mógł robić to, co chciał, gdyż pogrążony we śnie strażnik zaniedbywał obowiązki. Claire była zupełnie bezbronna.

Ogarnął ją silny strach, kiedy grupa sześciu łotrów zaczęła stopniowo zbliżać się do miejsca, w którym siedziała. Sparaliżowało ją przerażenie, gdy wielka, potężnie zbudowana kobieta przykucnęła obok niej, brutalnie chwyciła ją za lewą kostkę i odciągnęła od ściany.

– Chodź tu, ślicznotko – zachęciła Claire z obleśnym uśmiechem na nalanej twarzy.

Claire zaczęła histerycznie wierzgać nogami.

– Przestań! – krzyknęła, a jej biodra i łopatki boleśnie tłukły o kamienną podłogę. – Zostaw mnie, daj mi spokój!

Tłusta baba wyszczerzyła zęby, udając kapitulację, a następnie puściła kostkę Claire i wstała. Dziewczyna pospiesznie usiadła i uniosła ręce w obronnym geście. Serce biło jej tak mocno, że niemal słyszała jego łomot. Spanikowana, rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nawet gdyby wymknęła się potworom, które ją otaczały, nie miała szans wydostać się z tej jamy pełnej złoczyńców.

– Ja pierwszy – oświadczył siny mężczyzna z jątrzącymi się ranami na twarzy i brudnymi strupami na zaropiałych przedramionach. Odsunął spasioną ladacznicę i przystąpił do rozpinania cuchnących spodni. Zbliżając się do Claire, sugestywnie oblizywał obwisłą dolną wargę.

– Do diabła z tobą! – warknęła wysoka, patykowata kobieta o tłustych strąkach i przerażająco wielkiej bliźnie na obliczu. Bez trudu odepchnęła chudzielca, podciągnęła postrzępioną spódnicę nad guzowate kolana i wycharczała: – Moja jest!

Ledwie skończyła mówić, gdy podszedł do niej ogromny, muskularny brutal o spoconym nagim torsie i nieogolonej twarzy. Zamachnął się i powalił chudą ladacznicę na plecy.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – szepnęła Claire, kiedy cuchnący, na wpół nagi typ padł na kolana i wyciągnął ku niej olbrzymie łapska.

Claire zamarła.

– Słyszałeś, co masz robić! – dobiegł z ciemności niski kobiecy głos.

Claire zamrugnęła powiekami. Hałas i zamieszanie wyrwały Zielonozębę z niespokojnej drzemki. Starucha szybko wybiegła z cienia i przycisnęła długi, ostry

kawałek szkła do tętnicy szyjnej oprycha.

– Cofnij się, bo wypruję ci żyły, padalcu – warknęła.

Muskularny kryminalista już zaciskał grube, pokryte odciskami paluchy na sukni Claire. Groźbę Zielonozębej zbył krótkim parsknięciem. Pochylił się nad jasnoskórą, czystą i piękną kobietą, a następnie rozdarł na niej ubranie. Claire przenikliwie wrzasnęła.

– Teraz zginiesz – powiedziała starucha ze spokojem i wbiła szkło w połyskujące od potu gardło napastnika. Z rany trysnęła krew.

Bandzior zaskowyczał z bólu, puścił suknię i padł na ziemię, po której przetoczył się, bluzgając stekiem przekleństw. Zielonozęba zasłoniła Claire własnym ciałem i wyciągnęła przed siebie szkło.

– To samo dotyczy reszty z was. Zaszlachtuję jak psa, jeśli któreś dotknie jej choćby małym palcem – ostrzegła.

Rozdział 2

Nikt nie wątpił w szczeróć groźby staruchy.

Napastnicy przeklinali ją, zapowiedzieli zemstę i zapewnili, że już bladym świtem doniosą strażnikowi o broni. Potem zarechotali, wymienili kilka uwag i nazwali Zielonozębą starą, stukniętą krową. Na koniec wszyscy wycofali się na swoje pozycje.

Przez kilka minut Zielonozębą stała nieruchomo w pozycji osoby, która niepodzielnie dzierży władzę i niczego się nie boi. Chudą rękę cały czas wyciągała przed siebie, zaciskała zęby, a broń miała gotową do zadania ciosu.

W końcu opuściła szkło i cofnęła się w cień. Claire poprawiła podartą suknię, pospiesznie wstała i położyła dłoń na ręce nieoczekiwanej wybawicielki.

– Dziękuję – wykrztusiła. – Ocaliłaś mnie! Nie potrafię opisać swojej wdzięczności. Co bym poczęła, gdybyś nie stanęła w mojej obronie?

Zielonozęba strząsnęła jej dłoń.

– Wiedziałam, że będą przez ciebie tylko kłopoty – wymamrotała i pokręciła siwą głową.

W milczeniu usiadła na kamiennej podłodze i zmarszczyła brwi. Claire przycupnęła tuż obok niej.

– Nie chciałam sprawiać nikomu kłopotów – szepnęła. – Nie powinnam tu być. To nie jest dla mnie odpowiednie miejsce.

– Ani dla nikogo innego, serdeńko – dodała starucha zmęczonym głosem. – Powiedziałam przecież, że tutaj siedzą same niewiniątka.

– To nie tak. Mój pracodawca, lord Nardees, złapał mnie w środku nocy i...

– Wciąż to samo – przerwała znudzona Zielonozęba. – Ciągłe ta oklepana historyjka.

– Tak, wiem, niemniej...

– Daj mi odpocząć – burknęła Zielonozęba i zamknęła oczy, by nie patrzeć na Claire.

– Tak, oczywiście – wymamrotała ta ostatnia i umilkła.

Wyczerpana, z nerwami w strzępach, przestraszona jak nigdy w życiu, Claire wolałaby wyrzucić z siebie to, co jej leżało na sercu. Pragnęła zwierzyć się komuś, kto zechciałby jej wysłuchać i poznać prawdę.

Niestety, nawet gdyby znalazła słuchaczy, i tak nikt nie dałby jej wiary.

Siedziała w ciemnościach, wyrzucając sobie, że przyjęła stanowisko

guwernantki trojga rozpuszczonych dzieci lorda Nardeesa.

Trafiła do Stonehaven w połowie czerwca, zaledwie dwa tygodnie temu.

Ostatniej nocy opasły lord Nardees załomotał do drzwi pokoju Claire i zbudził ją z głębokiego snu. Usiadła na łóżku, zdezorientowana. Zanim zdążyła wstać, lord, ubrany w białą, bawełnianą koszulę, przypominającą lekarski fartuch, pospiesznie wpadł do środka i oświadczył, że Claire musi niezwłocznie za nim podążyć. Przerazona doszła do wniosku, że coś się stało jednemu z dzieci. Narzuciła na ramiona peniuar i pełna najgorszych przeczuc pobięła za pracodawcą.

– Milordzie, co się stało? – spytała przejęta, gdy pędzili szerokim korytarzem na drugim piętrze.

– Ani mru-mru – syknął. – Musimy być cicho.

Claire nie wyrzekła już ani słowa. Potulnie wbiegła do pokoju na końcu korytarza, kiedy arystokrata otworzył przed nią drzwi. Pospiesznie podążył jej śladem. Już w pokoju Claire rozejrzała się uważnie.

Nie dostrzegła nikogo. Żadnego chorego dziecka.

Pokój był pusty, ale dobrze oświetlony, paliły się wszystkie lampy. Jedynym meblem była lekarska kozetka, przeznaczona do badań, która stała na samym środku. Ktoś przykrył mebel białym prześcieradłem. Obok kozetki, na małym stoliku, Claire ujrzała biały kubek na mydło do golenia, szczotkę i nożyczki.

A w świetle lamp połyskiwała srebrna, otwarta brzytwa.

Ogarnięta najgorszymi przeczuciami, Claire odwróciła się i pytająco spojrzała na lorda. Ze zgrozą zobaczyła, że jest kompletnie nagi. Biała koszula leżała na przykrytej dywanem podłodze. Pod obwisłym, sflaczałym brzuszyskiem arystokraty sterczał członek.

– Lordzie Nardees, jak pan śmie! – wykrzyknęła, wstrząśnięta i oburzona. – Natychmiast niech się pan okryje!

Ruszyła ku zamkniętym drzwiom, ale lord stanął jej na drodze. Jego małe oczka błyszczały, a z lewego kącika ust zwisała cienka nitka gęstej śliny.

– Moja droga... – Podszedł do niej. – Od chwili, w której cię ujrzałem, zapragnąłem cię osiąść.

Wygłosiwszy tę deklarację, nagi jegomość zwinnie chwycił Claire w ramiona, przycisnął do tłustego brzucha i usiłował pocałować. Zdjęta odrazą i przerażeniem, odwróciła głowę.

– Niech mnie pan puści! Dość tego! – krzyknęła, tłukąc go zaciśniętymi pięściami po mięsistych rękach i szerokich plecach.

– Tak, tak, walcz ze mną, moja pięknotko! Uwielbiam takie ogniste kochanki. –

Lord pożądlawie zdarł peniuar z prawego ramienia Claire i szarpnął ramięczko nocnej koszuli, odsłaniając fragment nagiego ciała. Następnie przywarł wilgotnymi, miękkimi wargami do zgięcia między szyją a ramieniem Claire.

– Zostaw, świniu, bo wrzasnę tak głośno, że twoja żona natychmiast tu przybiegnie!

Lord Nardees puścił mimo uszu ostrzeżenie, zajęty ssaniem delikatnej skóry na obnażonej szyi Claire. Doskonale wiedziała, że ocieżała, leniwa lady Nardees zapewne donośnie chrapie w apartamencie na parterze i żadną miarą nie usłyszy krzyków kobiety, gwałconej przez jej męża. Claire nie przestawała tłuc lorda w nagi kark i próbowała go kopać. Nie miała jednak szansy oswobodzić się z uścisku podnieconego, spoconego mężczyzny.

Wreszcie, nie widząc innego wyjścia, z całej siły ugryzła fałd otłuszczonej skóry na szyi lorda. Krew pojawiła się niemal natychmiast. Wstrząśnięty i obolały, machinalnie podniósł głowę i poluzował uścisk. Claire skorzystała z okazji i mocno kopnęła napastnika w krocze. Puścił ją, chwycił się za przyrodzenie i padł na kolana. Zwijął się z bólu przed zamkniętymi drzwiami.

Claire wiedziała, że musi uciekać z tego pokoju i z domu. Odnalazła w sobie siłę, której istnienia nawet nie podejrzewała, i przetoczyła skulonego lorda na plecy, by chwycić go za kolana i odciągnąć od progu. Obiegła arystokratę dookoła, otworzyła drzwi i pomknęła korytarzem do swojego pokoju. Serce waliło jej jak młotem, gdy ubierała się w pośpiechu i wrzucała swoje rzeczy do walizy.

Nie była pewna, co planuje upokorzony lord, ale nie zamierzała pozostawać z nim pod jednym dachem, żeby się przekonać. W kilka minut zebrała drobiazgi i była gotowa do ucieczki.

Za późno.

Drzwi do jej sypialni zostały zamknięte i zablokowane od zewnątrz. Claire ze strachu oblała się zimnym potem. Wściekły baron zawezwał już służących, by uniemożliwili jej ucieczkę.

Claire rzuciła walizę na podłogę i podbiegła do wysokich okien ze szkła ołowiowego, które wychodziły na ogród. Otworzyła jedno skrzydło i wyjrzała na dół. Nigdy nie zwróciła uwagi na to, że drugie piętro jest tak wysoko. Nie było balkonu, na który mogłaby wyjść. Brakowało treliazu, zastępującego drabinę. Od ziemi dzieliła ją kilkunastometrowa przepaść. Gdyby skoczyła, najprawdopodobniej złamałaby nogę. Nawet gdyby upadek nie skończył się dla niej tragicznie, z pewnością nie udałoby się jej wyminąć strażników, patrolujących nocą rozległe tereny posiadłości.

Utknęła w pułapce.

Przez resztę nocy chodziła z kąta w kąt, przejęta i niepewna, co ją czeka.

Rankiem poznała odpowiedź na to pytanie.

Na oczach szepczącej służby została wyprowadzona z domu barona przez dwóch umundurowanych policjantów. Lord Nardees oskarżył ją o kradzież cennej biżuterii jego żony i na tej podstawie zawiadomił wymiar sprawiedliwości. Na posterunku policji Clarie przysięgała, że jest niewinna – na próżno jednak. Jej wielokrotne żądania widzenia z adwokatem odrzucono. Po drugim męczącym dniu przekonywania strażników, że należy się jej prawnik, została wtrącona do wspólnej celi w więzieniu Newgate z surowym upomnieniem, że okradanie dostojnego arystokraty skończy się z pewnością wieloletnią odsiadką.

W ciemnościach lochu Claire z trudem przełknęła ślinę. Ledwie powstrzymywała łzy. Przyszła jej do głowy porażająca myśl: być może już nigdy nie opuści więzienia.

Brzask był blisko, kiedy Zielonozęba powoli odwróciła głowę i spojrzała na jasnowłosą młodą kobietę, pogrążoną w głębokim śnie.

Nareszcie zasnęła.

Starucha czujnie rozejrzała się dookoła, by zyskać pewność, że wszyscy współwięźniowie również śpią. Zadowolona, pochyliła się i wsunęła dłoń do znoszonego, lewego buta, skąd wydłubała lśniąca złotem monetę. Monetę, którą skrywała od lat.

Położyła pieniądz na kolanach i sięgnęła do kieszeni brudnej spódnicy. Wydobyła z niej mały notatnik oraz krótki i gruby ołówek.

Po kilku minutach wstała i w ciszy przeszła przez celę. Kilka razy machnęła chudym ramieniem, aż wreszcie zwróciła na siebie uwagę głównego strażnika, który znowu czuwał na swoim stanowisku. Skinęła na niego ręką. Zmarszczył brwi, pokręcił głową, ale opuścił drabinę i zszedł.

– Potrzebuję pomocy – szepnęła i wręczyła strażnikowi złożoną kartkę oraz złotą monetę.

Zerknął na list, przygryzł monetę dla sprawdzenia jej wiarygodności i skinął głową na znak aprobaty.

Rozdział 3

Tymczasem Claire nie musiała czekać tygodniami ani miesiącami na postawienie zarzutów. Trafiła przed oblicze sądu jeszcze tego samego ranka. Punktualnie o dziewiątej, w czwartek, dwudziestego siódmego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku.

Jej sprawa była pierwsza na wokandzie. W wypadku postawienia Claire w stan oskarżenia – co wydawało się pewne – groziło jej dwadzieścia pięć lat więzienia.

Czcigodny Perdval Knowlton siedział za ciężkim stołem na podwyższeniu. Był ubrany w powłóczystą togę, jego głowę zdobiła peruka o białych, pudrowanych lokach. Prokurator, Cecil Twiggs, chuderlawy mężczyzna o przeredzonych jasnych włosach i żółtawej cerze, miał reprezentować królową.

Claire stała obok niego, kiedy przedstawiał zarzuty.

– Wysoki Sądzie, oskarżona Claire Orwell nadużyła zaufania pracodawcy, lorda Wardleya Nardeesa. Pani Orwell była zatrudniona...

W taki sposób rozpoczął się proces, będący w gruncie rzeczy wyreżyserowaną farsą.

Po wysłuchaniu wszystkich zarzutów podstarzały sędzia rozparł się na krześle, wsunął palec pod białą perukę i pomasaował sobie krostę na skroni. Następnie spojrzał na Claire.

– Kto występuje w imieniu oskarżonej? – spytał.

Claire wstała i powiodła wzrokiem dookoła, w bezowocnym poszukiwaniu trzeciorzędnego adwokata z urzędu, wyznaczonego jej przez Koronę. Ponownie spojrzała na sędziego.

– Obawiam się, że nikt, Wysoki Sądzie – oświadczyła.

W tej samej chwili poczuła na ramieniu dużą męską dłoń. Odwróciła się i spojrzała w górę. Obok niej stanął potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w oficjalne szaty o królewskich barwach. W pudrowanej peruce wydawał się jeszcze wyższy.

– Ośmielam się wyrazić odmienne zdanie. Głos nieznanego był niski i zadziwiająco łagodny. – Będę przemawiał w imieniu oskarżonej, Wysoki Sądzie.

Cecil Twiggs zbladł, cienka teczka prokuratorska wysunęła mu się z palców. Schylił się i podniósł ją drżącymi rękami.

Wyniosły sędzia siedział na obitym skórą krześle o wysokim oparciu. Poprawił okulary, pochylił się i spytał:

– Jakiemu szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczamy odwiedzinę radcy prawnego królowej? Witamy, lordzie Northway.

Northway podziękował sędziemu i uśmiechnął się do oszołomionej i przelęknionej Claire. Prezentował się imponująco, miał nienaganne maniery, a na dodatek powszechnie znano i ceniono jego wiedzę i zdolności prawnicze.

Czterdzieści pięć lat wcześniej ojciec lorda Northwaya, Henderson Northway, otrzymał od królowej Wiktorii wysoki tytuł szlachecki za wybitne porady natury prawnej, dyplomatycznej i politycznej, jakich udzielał na stanowisku radcy prawnego królowej, w sprawach wewnętrznych i zagranicznych. Wszyscy dobrze zapamiętali jego opinię, że gdyby królowa podjęła niepopularną decyzję o uznaniu Republiki Teksasu, jej postanowienie nie spotkałoby się ze znaczącym sprzeciwem.

Wdzięczna królowa wprowadziła Hendersona Northwaya do kręgów arystokracji.

Pojawienie się w sądzie potomka lorda i jego deklaracja wzbudziły głębokie zdumienie Claire, czcigodnego sędziego oraz zdenerwowanego oskarżyciela.

Nie ruszając się zza stołu na podwyższeniu, sędzia Knowlton skinął głową na Twiggsa.

– Proszę przedstawić zarzuty – przykazał.

– Doszło do kradzieży dóbr o dużej wartości – zaczął Twiggs i otworzył teczkę.

– Konkretnie chodzi o zabór mienia w postaci biżuterii żony – lorda Nardeesa. Klejnoty wyceniono szacunkowo na sumę trzech tysięcy funtów.

– Czy są świadkowie zdarzenia, nie licząc czcigodnego lorda? – spytał wyraźnie zafrasowany sędzia.

Twiggs pokręcił głową.

– Lordzie Northway, co pan ma na obronę oskarżonej?

– Nie mam nic na jej obronę, natomiast pragnąłbym zadać oskarżycielowi kilka pytań w imieniu Korony.

– Chętnie wysłuchamy wszelkich pytań, które nasuwają się radcy prawnemu królowej – oświadczył sędzia i skinął dłonią na znak przyzwolenia.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. – Szacowny adwokat odwrócił się ku Cecilowi Twiggsowi. – Wyceny, które oskarżyciel ma przed sobą, opiewają na sumę trzech tysięcy funtów?

– Tak – potwierdził Twiggs gorliwie.

– Ile jest rzeczonych wycen i kto ich dokonał?

– Dysponuję sześcioma oddzielnymi wycenami, przeprowadzonymi w całości przez londyńskie towarzystwo Lloyds, rzecz jasna.

Lord Northway przemawiał dobitnie i stanowczo, a siła jego głosu zmuszała wszystkich słuchaczy do koncentracji. W odpowiedzi na deklarację prokuratora zauważył, że oskarżyciel Claire Orwell nie zgłosił żadnych roszczeń wobec towarzystwa Lloyds.

– Wysoki Sądzie, pan Joseph Phillips, przedstawiciel towarzystwa Lloyds, czeka za drzwiami sali. Jest gotów zeznać, że lord Nardees nie zgłosił się do jego firmy z żądaniem wypłacenia odszkodowania. Dodam, że londyńskie towarzystwo Lloyds od trzydziestu pięciu lat ubezpiecza majątek lorda Nardeesa. – Lord Northway skierował wzrok na Cecila Twiggsa. – Ile oskarżeń przeciwko swoim służącym skierował do sądu lord Nardees na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia?

Twiggs pobladł i zerknął na sędziego, jakby błagał go o wsparcie i wskazówki.

– Proszę odpowiedzieć – nakazał sędzia i skinął dłonią na prokuratora.

Twiggs rozpostarł przed sobą zawartość teczeki.

– Rzekłbym, cztery oskarżenia.

– Rzekłbym, sześć – skorygował lord Northway ze spokojem.

– Niewykluczone – przyznał Twiggs. – Dysponuję zaledwie...

– Lordzie Northway, czy nazywa pan lorda Nardeesa kłamcą? – spytał wprost sędzia. – Czy na tym polega linia obrony?

– Bynajmniej, Wysoki Sądzie. Zwracam tylko uwagę, że być może doszło do pomyłki. Czcigodni obywatele niekiedy różnią się w opiniach, więc...

– Proszę obie strony o podejście do mnie – przerwał mu sędzia.

Lord Northway ciągnął:

– Nardees nie zgłosił do towarzystwa Lloyds żadnych roszczeń finansowych w związku z poprzednimi sprawami. Być może przedmioty uznane przez niego za skradzione zostały tylko przełożone na inne miejsce, a później je znaleziono. – Lord Northway zrobił przerwę i wyprostował się, prezentując imponującą sylwetkę. Ruchem głowy wskazał Claire. – Czy mamy osadzić tę biedną młodą kobietę, niekaraną, na ćwierć wieku w więzieniu i tym samym zrujnować jej życie, a dokładniej, zakończyć jej życie? Ona może nie przetrwać... – Zrobił dramatyczną pauzę i dodał: – Z całym szacunkiem proszę o oddalenie wszystkich zarzutów.

Sędzia spojrział wymownie na lorda Northwaya.

– Ogłoszenie werdyktu nastąpi dzisiaj o późniejszej porze.

O godzinie osiemnastej sędzia poinformował prokuratora o oddaleniu zarzutów. Ponadto zwrócił uwagę na fakt, że lord Nardees nie przedłożył żadnych wniosków o wypłatę odszkodowania przez ubezpieczyciela. Sędzia zawiadomił prawników o

odrzuconiu aktu oskarżenia i uwolnieniu Claire Orwell. Obie strony wstały, lecz nim wszyscy wyszli, sędzia poprosił lorda Northwaya o pozostanie. Claire odwróciła się, by podziękować obrońcy.

Lord Northway uśmiechnął się ciepło.

– Jeśli zechce pani poczekać na zewnątrz, za chwilę do niej dołączę – poprosił.

– Pragnąłbym porozmawiać z panią przed jej odejściem. Wkrótce przybędę.

Claire skinęła głową i wyszła w towarzystwie oskarżyciela.

– Zechce mi pan powiedzieć, co, na miłość boską, skłoniło pana do podjęcia się obrony tej nieszczęsnej damy? – spytał sędzia.

Lord Northway się uśmiechnął, sięgnął do kamizelki i wydobył z niej duży, złoty zegarek kieszonkowy. Delikatnie przekręcił pokrętło i wieczko się uchyliło, ujawniając błyszczący emalią miniaturowy portret.

Sędzia głośno westchnął.

– Tak jest. – Lord Northway wolno pokiwał głową. – Znakomita podobizna Claire Orwell.

– Namalowana wiele lat przed narodzinami pani Orwell – uściślił sędzia.

Lord Northway ponownie skinął głową.

– Zegarek otrzymałem od ojca, kiedy leżał na łożu śmierci. – Skierował smutne spojrzenie na miniaturę. – Ta kobieta była miłością jego życia.

– Rozumiem. – Sędzia poprawił się na krześle.

– Ojciec przykazał, bym pomagał jej córce, Claire, zawsze, gdy będzie tego potrzebowała.

– Jak się pan dowiedział o jej kłopotach?

– W porę otrzymałem list od pewnej występnej kobiety, osadzonej w Newgate. Zwią ją Zielonozęba – wyjaśnił lord Northway.

Claire podniosła głowę, rozpromieniła się i na widok lorda Northwaya wstała z ławy na korytarzu. Nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego postanowił ją bronić, a jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy wręczył jej kopertę.

– Droga pani – przemówił głębokim barytonem. – Mam dobre wieści.

Zdumiona Claire wysłuchiwała propozycji wyjazdu do Ameryki, do stanu Nowy Jork. Tam miałyby przygotować letnią posiadłość" w Saratoga Springs na przybycie ekstrawaganckiej księżnej Beaumont. Młoda jasnowłosa wdowa była jedną z najbarwniejszych postaci w rodzinie królewskiej i ani trochę nie przejmowała się plotkami, które krążyły na jej temat.

Claire miała okazję czytać o wyczynach księżnej, fotografię arystokratki często publikowano w „London Times”.

– Jeżeli przyjmie pani propozycję – ciągnął lord Northway – pani obowiązki obejmą zatrudnienie kilku osób personelu i staranne przysposobienie rezydencji na przybycie księżnej, która wybiera się do Saratoga Springs w połowie sierpnia, na letni sezon wyścigowy. Decyzja należy wyłącznie do pani. Jeśli wyrazi pani zgodę, otrzyma wszelką potrzebną pomoc.

– Oczywiście, że się zgadzam! – zawołała Claire z przejęciem. – To najwspanialsza oferta, jaką... – Nagle zamilkła i zmarszczyła brwi. Nie mogła popłynąć do Ameryki. Nie zamierzała opuścić biednej starej kobiety, którą nazywano Zielonozębą. Zawdzięczała jej życie. Jakże miałyby okazać niewdzięczność i odwrócić się do niej plecami?

Spojrzała na wysokiego władczego mężczyznę.

– Pojadę, ale pod jednym warunkiem, milordzie – oświadczyła.

– Mianowicie?

– W podróży do Ameryki musi mi towarzyszyć pewna osoba.

Lord Northway wyraźnie się zachmurzył.

– Mężczyzna? – spytał niechętnie.

– Nie, kobieta.

– Nie widzę przeciwwskazań. – Ton jego głosu natychmiast się zmienił. – Pani przyjaciółka może dołączyć do służby i podjąć pracę na terenie posiadłości.

– Och, to nie takie proste. – Claire ciężko westchnęła. – Moja przyjaciółka jest obecnie więźniarką w Newgate. Ma jednak niesłychanie dobre serce. Obroniła mnie własnym ciałem, gdy zostałam zaatakowana, i jestem gotowa za nią ręczyć.

– Jakie przestępstwo popełniła?

– Wyznam szczerze: nie wiem. Domyślam się jednak, że chodzi o drobną kradzież lub równie błahe wykroczenie. Błagam, proszę znaleźć sposób na oswobodzenie tej nieszczęsnicy i wyrazić zgodę na jej wyjazd ze mną.

Po tych namowach lord Northway niechętnie zgodził się zapoznać ze sprawą i sprawdzić, co może uczynić. Oszłomiona Zielonozęba została wypuszczona z więzienia jeszcze tego samego popołudnia.

Następnego ranka Claire poszła prosto do banku i wycofała mizerne oszczędności. Oprócz tego zażądała dostępu do skrytki depozytowej. Po jej otwarciu zabrała pudełko do ustronnego pomieszczenia, otworzyła je i wyjęła ze środka aksamitną sakiewkę. Gdy rozplatała sznurek i zerknęła do środka, jej oczom jak zwykle ukazały się błyszczące skarby, które ochoczo podziwiała przy każdej okazji. Po chwili niechętnie na powrót zaciągnęła sznurek.

Uniosła szeroką suknię i przypięła sakiewkę do halki. Poklepała ukryty skarb i

sprężystym krokiem wyszła z banku.

Podjęte pieniądze wystarczyły jej na opłacenie dentysty dla kobiety, która ocaliła jej życie, posłanie jej do fryzjera i kupno nowego ubioru. Poza tym Claire ofiarowała nowej przyjaciółce elegancką laskę z drewna orzesznika, ze lśniąca, srebrną rączką.

Kilka dni później, w pogodny, czerwcowy poranek, Claire Orwell oraz Olivia Sutton – która już w niczym nie przypominała zaniedbanej kobiety, zwanej Zielonozębą – wyruszyły w morską podróż do Ameryki. Jeszcze przed wypłynięciem Claire postanowiła, że nim dotrą do celu, nauczy Olivię wysławiać się, jak na prawdziwą damę przystało, żeby starsza pani nie przyniosła jej wstydu.

Rozdział 4

Virginia City, stan Nevada 5 lipca 1895 roku, piątek

Mocne promienie słońca wpadały przez otwarte okna sypialni w przestronnej, trzykondygnacyjnej rezydencji, zbudowanej na stromych skałach i górującej nad niedużym górniczym miastem.

Promienie słońca powoli wędrowały przez wielki pokój na piętrze, aż wreszcie, na długo przed południem, dotarły do łóżka, a także do dwóch osób, które w nim leżały.

Mężczyzna jęknął, gdy ostre światło przedarło się przez jego zamknięte powieki. Nie otwierając oczu, chwycił poduszkę, przykrył nią głowę, wymamrotał jakieś przekleństwo i natychmiast ponownie zasnął.

Kobieta obudziła się powoli, przeciągnęła i uniosła na łokciu. Odgarnęła rozczochrane włosy, zaczęła ziewać i uśmiechnęła się, zadowolona niczym kot, który dostał śmietankę. Popatrzyła na przystojnego towarzysza, który leżał obok, całkiem nagi.

Śniade i smukłe ciało kontrastowało z bielą jedwabnej pościeli. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Leniwie powiodła spojrzeniem po szerokich barkach, plecach z wyraźnie zarysowanym kręgosłupem i wąskiej talii. Jej oczy pojaśniały na widok jędrnych pośladków. Ich gładkie wypukłości były równie smagłe jak umięśnione ramiona. Serce kobiety mocniej zabiło. Na wspomnienie nocy pełnej uniesień westchnęła, położyła się na plecach i wkrótce ponownie zasnęła.

Po godzinie mężczyzna się poruszył. Powoli wysunął głowę spod poduszki i ostrożnie się rozejrzył. Ujrzał pogrążoną we śnie, piękną brunetkę i wykrzywił usta. Zapomniał, że ona tu jest. Żałował, że sobie nie poszła. Był na siebie zły, bo wczoraj wieczorem sam nalegał, by udali się do jego domu. Właściwie nie był pewien, czyj to był pomysł. Może jej?

Hank Cassidy ponownie się skrzywił.

Spróbował dokładnie odtworzyć w pamięci wydarzenia poprzedniej nocy, kiedy wszyscy hucznie obchodzili Dzień Niepodległości. Dobrze pamiętał wcześniejszą część wieczoru: kolację, sztuczne ognie, salwy z rewolwerów. A także muzykę, tańce uliczne oraz ładną, drobnej postury Patricię Ann Vance, dziewczynę, która towarzyszyła mu podczas zabawy.

Hank odwrócił głowę i ponownie spojrzął na nagą kobietę obok siebie. To nie

była Patricia Ann. Filigranowa Patricia Ann miała kasztanowe włosy i jasną skórę. Ta kobieta wyglądała na wysoką, dorodną, a cerę i włosy miała niemal tak ciemne jak on.

Poczuł w głowie lekkie łupanie i przypomniał sobie coś jeszcze. Ku uciesze rozhułanych przyjaciół i wbrew Patricii Ann, odbył parę wizyt do prowizorycznego baru na świeżym powietrzu, by wypić kilka szklaneczek taniej whisky. Za pijaństwo płacił teraz bólem głowy. Gdy wypił jednego burbona za dużo, Patricia Ann wpadła w złość i ostrzegła go podczas tańca:

– Henry Columbusie Cassidy, wracam do domu, jeśli wypijesz choćby jeden kieliszek więcej!

– Nie będziemy cię zatrzymywać – radośnie odparła uwodzicielska, długonoga piękność o ciemnych włosach, która stanęła pomiędzy Hankiem a wściekłą Patricia Ann i zaproponowała mu wizytę w barze.

W swoim towarzystwie.

Hank nie pamiętał, by później widział Patricię Ann. Pamiętał za to, że pił, tańczył i śmiał się z tą zmysłową ślicznotką. Jak przez mgłę przypominał sobie, że nagle postanowili przenieść się na wzgórze, by tam kontynuować zabawę w zaciszu domu. Od zamkniętych drzwi pokoju do łóżka wiódł charakterystyczny szlak, złożony z porzrzucanych części garderoby.

Raz jeszcze rzucił okiem na kobietę. W pośpiechu nie zdążyła się całkiem rozebrać i zostawiła na lewej nodze pończochę. Hank musiał przyznać, że wyglądała kusząco. Tuż nad jej kolanem ujrzał podwiązkę z czarnej koronki.

Położył się na plecach i z zadumą podrapał się po nieogolonej szczęce. Jak ta dziewczyna miała na imię, do ciężkiej cholery? O ile go pamięć nie myliła, jego towarzyszka przyjechała tu z Kalifornii. Nigdy wcześniej jej nie widział. Nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni, ale z pewnością zdradziła mu swoje imię. Mimo to nie potrafił go teraz powtórzyć. Zresztą, kimkolwiek jest, nadszedł czas, aby sobie poszła.

Musiał zdążyć na pociąg.

Odetchnął głęboko, wyciągnął rękę, dotknął ramienia kobiety i solidnie nią potrząsnął.

– Słonko, pora wstawać – oznajmił głośno.

Z wolna otworzyła oczy. Na widok Hanka uśmiechnęła się promiennie.

– Dzień dobry, Hank, mój ukochany.

– Dzień dobry, maleńka. – Odwrócił się, usiadł na łóżku i opuścił nogi na ziemię. – Ubierz się, a ja poproszę Brady'ego, żeby cię odwiózł do domu.

– Nie chcę wracać do domu – zaprotestowała gwałtownie, usiadła i pospiesznie ściągnęła pończochę oraz czarną podwiązkę. Zanim Hank zdążył wstać, przesunęła się na łóżku i otoczyła go w pasie pończochą.

– Zapomniałeś o wieczornej obietnicy? – spytała i pieszczotliwie ugryzła go w ucho.

Skrzywił się z niepokojem. Co takiego mógł obiecać kobiecie, której imienia nie pamiętał? Czyżby wspomniał o Saratodze? Wykluczone.

– Skąd, oczywiście, że nie zapomniałem.

– I zabierzesz mnie do Saratoga Springs? – pisnęła radośnie i puściła pończochę, która osunęła się na uda Hanka, a z nich spadła na podłogę. Kobieta zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała opalone ramię kochanka gorącymi pocałunkami. – Będę gotowa za chwilę i...

– Zaraz, zaraz, kotku. – Hank uwolnił się z jej objęć. Wstał, opuścił ręce, by skromnie zasłonić przyrodzenie i odwrócił się ku nieznajomej. – Widzisz, wczoraj wieczorem oboje wypiliśmy odrobinę za dużo. Świetnie się zabawiliśmy i bardzo cię lubię, ale nasze przyjęcie będziemy kontynuowali dopiero po moim powrocie.

– Nie! – zaprotestowała stanowczo. – Chcę jechać z tobą... – Postanowiła za wszelką cenę udowodnić Hankowi, że pragnie jej tak bardzo, iż da za wygraną i zabierze ją do Saratogi.

Był ucieleśnieniem jej marzeń: przystojny, uroczy, dowcipny, jurny i pomysłowy jak kochankowie z najskrytszych fantazji. Poza tym od razu po przybyciu do Virginia City usłyszała, że to jeden z najbogatszych ludzi w Ameryce.

– Posłuchaj... – Hank pokręcił głową. – No dobrze, przyznaję, nie pamiętam twojego imienia. Musisz mi przypomnieć.

– Paula. Paula Gentry – oznajmiła i posłała mu spojrzenie pełne wyrzutu. – Jak mogłeś zapomnieć?

– Przepraszam z pokorą. Nie mam pamięci do – imion. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – A teraz, proszę cię, ubierz się. Za parę miesięcy wrócę do Virginia City i wtedy razem...

– Za parę miesięcy? Nie! Nie ubiorę się – zapowiedziała. Usiadła na bosych piętach i skrzyżowała ręce na piersiach. – Chyba że mnie zabierzesz ze sobą.

– Bądź" rozsądna, Paulo. Ledwie się znamy. Najwyraźniej wspomniałem wczoraj w nocy, że jadę do Saratoga Springs, ale chodzi wyłącznie o interesy. Nie miałbym czasu na zapewnianie ci rozrywek.

– Sama potrafię zapewnić sobie rozrywki, a wieczorami moglibyśmy...

– Nie pojedziesz ze mną, tylko wrócisz do domu – oświadczył stanowczo i się odwrócił.

Paula w mgnieniu oka zerwała się z łóżka. Chwyliła go za rękę i niepewnie stanęła przed nim.

– Proszę bardzo – zgodziła się. – Jedź, skoro musisz jechać, ale moja w tym głowa, żebyś nie zapomniał o mnie podczas podróży. – Oparła dłonie na jego muskularnym torsie i uśmiechnęła się chytrze, zataczając kręgi wokół płaskich, brązowych brodawek. Jednocześnie przyciskała się do niego prowokująco. – Chcesz zdążyć na pociąg? spytała. – Więc lepiej weź to, co ci daję, bo nie pozwolę ci odjechać, dopóki nie zaniesiesz mnie do łóżka, żeby się ze mną kochać.

Zirytowany, ale i podniecony Hank uniósł dłoń, wsunął długie palce w lśniące ciemne włosy dziewczyny, lekko szarpnął i odchylił jej głowę do tyłu. Pochylił się tak, że jego usta znalazły się zaledwie o parę centymetrów od jej warg.

– Nie zaniosę cię z powrotem do łóżka – oznajmił. – Jeśli mnie pragniesz, zrobimy to tutaj, na stojąco, albo wcale.

– Och, Hank – szepnęła bez tchu. – Tak, tak, pocałuj mnie, kochany.

– Szkoda czasu na pocałunki – odrzekł. – Mamy tylko dziesięć minut.

Pisnęła z podniecenia, kiedy otoczył dłońmi jej uda i bez trudu uniósł ją z podłogi. Niepewnie chwyciła rękami jego głowę, odchyliła ją i spojrzała w błękitne oczy Hanka. Poruszyła się niespokojnie i przywarła do niego tak, aby jej piersi znalazły się tuż przy jego twarzy. Wstrzymała oddech.

– Pocałuj, Hank – poprosiła błagalnie. – Zrób to, proszę. Pocałuj, a potem...

Jęknęła z rozkoszy, kiedy ustami zagarnął sutek i delikatnie przesunął po nim zębami. W następnej chwili ssał go gorliwie.

Rozpalona, ogarnięta takim podnieceniem, że z trudem powstrzymywała się od krzyku, Paula Gentry przekonała się, że uprawianie miłości na stojąco, pośrodku pokoju, w promieniach letniego słońca, przy dźwiękach rozmów i śmiechu ludzi na ulicy w dole, jest nieopisanie rozkoszne.

Nie była pewna, czy to ona jest akrobatką, czy też on, a może oboje. Zorientowała się tylko, że ten nieprawdopodobnie zmysłowy mężczyzna otoczył się jej nogami w pasie i jednocześnie pieścił ją namiętnie.

Powątpiewała, czy uda mu się z nią połączyć bez wypuszczania podrażnionego sutka z ust, lecz nagle krzyknęła z radości, gdy dokonał tej sztuki, zupełnie jakby umiał czytać w jej myślach.

Paula doświadczała cudownych mąk, gdy ją drażnił. Tortury te były zaledwie zapowiedzią następnych rozkoszy. Przez chwilę pozostawali tak nieruchomo, aż w

końcu, nie mogąc wytrzymać już ani sekundy dłużej, Paula uniosła głowę Hanka i przytknęła wargi do jego ucha.

– Hank – szepnęła. – Nigdy nie zapomnisz tej chwili, podobnie jak ja.

Rozdział 5

Punktualnie w południe przystojny trzydziestodwuletni Hank Cassidy wszedł samotnie do prywatnego wagonu kolejowego, aby wyruszyć w podróż na drugi koniec kraju. Ten szorstki, pracowity mieszkaniec zachodu Stanów Zjednoczonych, który zarobił miliony na eksploatacji złóż naturalnych, był lepiej znany jako młody Król Srebra z Nevady.

Tego słonecznego dnia Hank wyglądał niemal jak członek rodziny królewskiej. Jego gładko ogolona twarz, ogorzała od słońca Nevady oraz wiatru, promieniała, a czarne jak skrzydło kruka włosy wciąż były lekko wilgotne po kąpieli. Hank włożył jasne spodnie szyte na miarę oraz bladoniebieską koszulę. Sprawiał wrażenie urodzonego władcy: był pewny siebie, pozbawiony zahamowań i zadowolony z życia.

Nic bardziej błędnego. .

Hank Cassidy pochodził ze skromnej rodziny. Nigdy nie poznał matki, która zmarła podczas porodu. Gdy miał siedemnaście lat, spokojny, oszczędny ojciec, który od zawsze pracował jako górnik, rzadko się odzywał i nieczęsto uśmiechał, zginął podczas podziemnej eksplozji. Zdumiony Hank przekonał się, że ten niepozorny człowiek zaoszczędził niewielką sumę pieniędzy i pozostawił ją jednemu potomkowi.

Każdy grosz z mizernego spadku Hank zainwestował w bezwartościową dziurę w górze, jak twierdzili wszyscy wokół. On jednak nie chciał nikogo słuchać. Kupił zamkniętą na cztery spusty kopalnię od starego górnika, który niósł trumnę podczas pogrzebu jego ojca.

Hank nadał kopalni nazwę Czarny Kot i natychmiast przystąpił do pracy. Całymi latami tyrał głęboko pod ziemią, gdzie poszukiwał żył srebra, i cierpliwie wyłuskiwał cenny metal z twardej skały. Kopalnia zapewniała mu ledwie tyle kruszcu, by wystarczyło na opłacenie robotników.

Nie dawał za wygraną.

Po czterech latach harówki w Czarnym Kocie Hank i jego ludzie natrafili na żyłę główną. Z dnia na dzień młody Hank Cassidy został milionerem. Kupił następne kopalnie. Zarobił dalsze miliony. Nadal pracował ramię w ramię z górnikami, pocił się, męczył i zmagał z przeciwnościami, a jego donośny śmiech często wypełniał podziemne korytarze. Hank zachęcał górników do żartów i w miarę możliwości traktowania pracy jak zabawy.

Ludzie go uwielbiali.

Hank płacił im znacznie powyżej przeciętnego wynagrodzenia i otaczał opieką wdowy po pracownikach, którzy zginęli pod ziemią.

Wkrótce każdy górnik w promieniu setek kilometrów wiedział, kim jest Hank Cassidy. Wszyscy pragnęli pracować dla młodego, życzliwego Króla Srebra.

Imperium górnicze Hanka rosło, aż wreszcie postanowił wyjść z mroku kopalni na światło dzienne i zacząć cieszyć się bogactwem. Wybudował ogromną dwupiętrową posiadłość na skałach ponad Virginia City. Kupił wspaniały wytwórny dom ze służbą przy Piątej Alei w Nowym Jorku. W wytwórni Pullmana zamówił prywatny wagon kolejowy. Zlecił rozpoczęcie budowy jachtu, który po skonstruowaniu zacumował w San Francisco. Jacht przez cały czas pozostawał pod opieką załogi, gotowej do wypłynięcia w morze, gdyby właściciela naszła ochota, żeby pożeglować.

Jako człowiek szczodry, nie skąpił pieniędzy na upominki dla zaufanych pracowników. Szczególnie chętnie obdarowywał ich zachwycone małżonki. Często powtarzał, że to jedyne żony, którym jest gotów ofiarowywać prezenty, ponieważ nie planował ożenku.

Nikt nie wątpił w prawdziwość jego słów. Każdy, kto znał tego przystojnego i szarmanckiego Króla Srebra, zgadzał się, że małżeństwo go nie interesuje. Fakt ten doprowadzał do rozpacznej niejedną młodą damę.

Jako entuzjasta szybkich koni, Hank wyjeżdżał do Saratoga Springs, gdzie zamierzał spędzić letni sezon na wyścigach. Utytułowane konie pełnej krwi angielskiej z jego farmy w Kentucky transportowano do Saratogi, aby uczestniczyły w gonitwach na historycznym starym torze.

Doskonałego chowu zwierzęta przewożono w specjalnie do tego przystosowanych wagonach kolejowych, pod opieką lojalnego przyjaciela Hanka i trenera, Foxa Connora.

W Saratodze Hank spędzał ciepłe dni na oglądaniu swoich koni podczas rywalizacji z wyśmienitą konkurencją. Chłodne, górskie noce poświęcał na jedzenie, taniec i spacer z najpiękniejszymi miejscowymi dziewczętami.

Życie Króla Srebra z Nevady było wspaniałe.

Teraz Hank rozsiadł się wygodnie w wielkim fotelu i ruszył w podróż. Czuł wibracje kół, które zaczynały obracać się na torach, i słyszał, jak lokomotywa wydaje donośny, ostrzegawczy gwizd.

Uśmiechnął się, wyciągnął kubańskie cygaro z kasetki, powąchał aromatyczny tytoń i z aprobatą pokiwał głową. Wetknął cygaro do ust i oparł stopy na podnóżku.

Sięgnął po zapalniczkę, zapalił ją i przyłożył płomień do drogiego cygara, po czym rzucił zgaszone drewno do kryształowej popielnicy i zaciągnął się powoli, głęboko.

Z niekłamaną przyjemnością wypuścił kłęb dymu i jednocześnie odwrócił głowę ku oknu. Wyrzął na dwór. Pociąg właśnie opuszczał stację, pozostawiając na peronie kilkudziesięciu sympatyków Hanka, którzy przyszli go pożegnać. Zanim wszedł do wagonu, gromadka ładnych kobiet rzuciła się, aby go przytulić i szepnąć: „Będziesz za mną tęsknił, Hank. Będziesz samotny tam, w Saratodze”. W odpowiedzi zdawkowo uścisnął każdą z nich, skinął głową i niczego nie obiecał.

Doskonale wiedział, że samotność mu nie grozi.

Latem do Saratoga Springs zjeżdżali najrozmaitsi, często bardzo interesujący ludzie. Milionerzy, hazardziści, szanowane rodziny, politycy, słynni aktorzy i aktorki – takich osób nigdy nie brakowało w mieście. Saratoga Springs przyciągało bogaczy i piękne kobiety. Podczas sezonu trafiała tam śmietanka towarzyska ze wschodu Stanów Zjednoczonych.

Ozdobne zaproszenia na wiele prywatnych kolacji i przyjęć składano w srebrnej misie w holu hotelu, w którym się zatrzymywał. Najwyższe kręgi ciepło przyjmowały Cassidy'ego od czasu jego pierwszej wizyty w mieście. Szczególny entuzjizm wykazywały damy. Jak się przekonał podczas pierwszego wyjazdu do Saratogi, eleganckie, kosztownie ubrane damy po zrzuceniu sukni wcale nie zachowywały się jak na damy przystało.

Claire Orwell ogarnęło niespokojne podniecenie, gdy lokomotywa zaczęła zwalniać, a pociąg zbliżał się do stacji Saratoga Springs w stanie Nowy Jork.

Znużenie długą podróżą przez ocean oraz niepokój, związany z przesiadką ze statku na pociąg w tętniącym życiem Nowym Jorku, w cudowny sposób znikły.

Nie była już wyczerpana. Przeciwnie, odczuła gwałtowny przypływ energii. Wypełniał ją optymizm i nadzieja; czegoś podobnego nie doświadczyła od czasu dzieciństwa, kiedy miała przed sobą całe życie.

Jej ekscytacja dodatkowo się nasiliła, gdy pociąg zaczął hamować z piskiem kół.

– Olivio! – Delikatnie potrząsnęła śpiącą towarzyszką. – Zbudź się! Jesteśmy na miejscu. Dojechałyśmy do Saratogi.

Olivia się wyprostowała, ziewnęła, chwyciła laskę o srebrnej ręczce i sięgnęła po zakupiony w Londynie nowy kapelusz, po czym włożyła go na głowę.

– Jak wyglądam? – spytała.

Claire podniosła ręce i wyrównała modny, słomkowy kapelusz, przesuwając rondo nieco do przodu. Następnie ostrożnie przyglądała niesforny, siwy lok, który opadał na twarz Olivii.

– Jak elegancka dama – zapewniła towarzyszkę z konspiracyjnym uśmiechem.

Oczy Olivii zalśniły.

Obie panie z uśmiechem wysiadły z pociągu na peron przed budynkiem stacji. Jego architektura pasowała stylem do kurortu i przypadła damom do gustu: mały dworzec wzniesiono z czerwonej cegły i ozdobiono go misternymi wykończeniami z kutego żelaza.

Claire odetchnęła głęboko, wzięła Olivię za rękę i razem ruszyły do drzwi budynku.

Hank Cassidy wysiadł z prywatnego wagonu na samym końcu składu. W pewnej chwili kątem oka dostrzegł głowę kobiety o jasnych włosach, które złociście lśniły w świetle słońca. Nieznajoma nagle się odwróciła i wtedy ujrzał jej twarz. Uśmiechnął się niemądrze, pełen podziwu dla jej urody. Miał ochotę ją zawołać, lecz w porę się powstrzymał i ruszył ku niej, niespodziewanie podekscytowany i niespokojny.

Na peronie kłębili się pasażerowie oraz przyjaciele i członkowie rodzin, które przyszły powitać przybyszów. Z powodu powstałego zamieszania złotowłosa piękność szybko zniknęła Hankowi z oczu.

Zaklął pod nosem. Poczuł się tak, jakby coś bezpowrotnie stracił, lecz już po chwili zaśmiał się z własnego braku rozsądku. Nie musiał gonić teraz tej kobiety. Z pewnością przyjechała do Saratoga Springs na cały sezon, zatem ich ścieżki powinny prędzej czy później się skrzyżować.

Claire oraz sunącą za nią Olivię porwał tłum. Chcąc nie chcąc, trafiły do budynku stacji, wyłożonego w środku orzechowym drewnem. Przepisnęły się przez ciżbę i wyszły bocznymi drzwiami.

Przed stacją rozpościerał się plac, na którym rosły drzewa i szemrała fontanna. Przy budynku stały cztery konne powozy, faetony oraz dwukółki. Portierzy z hotelu krzyczeli, a woźnica omnibusu przywoływał pasażerów, którzy potrzebowali środka transportu.

Claire zrobiła krok w kierunku pojazdów, podniosła dłoń w rękawiczce i skinęła na *woźnicę* jednego z powozów do wynajęcia. Parę minut później wraz z Olivią jechały prosto do posiadłości angielskiej wesołej wdówki, księżnej

Beaumont.

Imponujące domostwo wznosiło się na zalesionym wzgórzu, w odległości zaledwie kilkuset metrów na wschód od Saratogi. Claire i Olivia wymieniły pełne podziwu spojrzenia, gdy powóz wynurzył się spośród liściastych drzew i zajechał przed gmach z białego kamienia.

– Jak rozumiem, tylko dozorca pracuje tu na stałe – powiedziała Claire i obrzuciła uważnym spojrzeniem okna posiadłości. Wszystkie były starannie zasłonięte. – Innymi słowy, jesteśmy zdane na siebie.

– Poradzimy sobie – zapewniła ją Olivia.

Woźnica zostawił je przed wejściem do budynku.

Wypakował z powozu walizki i złożył je u ich stóp.

– Może wejdziemy do środka i sprawdzimy, co tam na nas czeka? – zasugerowała Claire.

– Ty pierwsza – oświadczyła Olivia i podniosła bagaż.

W połowie drogi do drzwi obie stanęły jak wryte, bo ze środka wyszedł wiekowy dozorca. Chudy, zgarbiony, wyglądał tak, jakby byle powiew wiatru mógł go powalić. Wkrótce się przekonały, że jest na wpół ślepy i ledwie słyszy.

Zamrugnął powiekami w ostrym świetle słońca i niespiesznie zaczął schodzić po schodkach tarasu. Na każdym stopniu krzywił się, jakby bolały go wszystkie kości.

– Dzień dobry. Pan Walker, prawda? – spytała Claire z uśmiechem, wyciągnęła rękę i pospiesznie ruszyła ku dozorczy, Trzydziestotrzyletnia księżna Beaumont od lat nie zawitała do Saratogi. Podobnie jak Claire, była wysoką, szczupłą blondynką. Krótkowzroczny dozorca zmrużył oczy, dostrzegł złociste włosy rozmówczyni i natychmiast doszedł do wniosku, że ma do czynienia z księżną.

– Jaśnie pani – wymamrotał i niezdarnie spróbował się uklonić.

– Nie, nie, proszę pana. Księżna jeszcze nie...

– Słucham, jaśnie pani? – spytał i przytknął do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę. – Proszę głośniej!

Claire posłała Olivii bezradne spojrzenie. Olivia zrobiła krok do przodu i niemal krzycząc, usiłowała wyjaśnić mu, na czym polega pomyłka.

– Księżna Beaumont przyjedzie dopiero za parę tygodni! To jest Claire Orwell, ja nazywam się Olivia Sutton. Księżna przysłała nas wcześniej, żebyśmy...

Dozorca słyszał piąte przez dziesiąte, zmarszczył więc brwi, jakby przeszył go paroksyzm bólu, i przerwał Olivii.

– Zapraszam do środka, jaśnie pani. Trzeba zejść ze słońca, bo jaśnie pani cała będzie w bąblach – oznajmił.

Claire ponowiła próbę.

– Nie, źle mnie pan zrozumiał. Nie jestem księżną. Wraz z przyjaciółką, Olivią Sutton, przyjechałam przygotować dom dla... – Cierpliwie wyjaśniała, że ona i Olivia zostały tu przysłane, by otworzyć dom i zatrudnić służbę przed zbliżającą się wizytą księżnej.

Gdy wreszcie skończyła, spojrzała wyczekująco na sędziwego sługę. Miała nadzieję, że nieporozumienie zostało raz na zawsze wyjaśnione.

Walker uśmiechnął się i skinął głową.

– Ile to lat minęło od ostatniego przyjazdu jaśnie pani? – Westchnął. – Pięć? Dziesięć?

Claire otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Olivia dotknęła jej ramienia.

– Daj spokój – poradziła przyjaciółce i wzruszyła ramionami. – Wyjaśnimy sprawę później. Dziękujemy panu! – krzyknęła do staruszka. – Same sobie poradzimy! Może pan odejść! Niech pan się prześpi! Miłych snów – dodała. Wręczyła laskę Claire, przyłożyła złączone ręce do policzka i na chwilę zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, starszy pan znów zginał się w ukłonie przed Claire.

– Jeśli jaśnie pani będzie mnie potrzebowała, mieszkam w pokoju z tyłu domu.

Rozdział 6

Po wejściu do pogrążonej w półmroku bawialni Olivia i Claire wymieniły rozczarowane spojrzenia. Powiedziano im, że specjalnie wynajęte przedsiębiorstwo dba o gruntowne sprzątanie domu i ekipa zjawia się co najmniej raz na dwa tygodnie. Firma najwyraźniej zaniedbała obowiązki. Przepyszne meble były okryte prześcieradłami, ale na ciężkich zasłonach widniała gruba warstwa kurzu, a w powietrzu unosił się zapach pleśni.

Było jasne, że od tygodni, może nawet od miesięcy, nikt nie zawitał do domu. Olivia zdjęła kapelusz i rzuciła go na osłonięte pokrowcem krzesło. Wraz z Claire natychmiast przystąpiła do odsuwania zasłon i otwierania okien, aby wpuścić świeże górskie powietrze.

– Nie ma powodów do zmartwień – powiedziała do Claire. – Ten dom będzie lśnił czystością, zanim miną dwie doby.

Claire pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– A na dodatek żadna z nas nawet nie tknie zmiotki – dodała.

– Od tego jest służba – oświadczyła Olivia, naśladując ton damy z wyższych sfer.

Obie panie roześmiały się serdecznie.

Postanowiły zwiedzić budynek i wybrać odpowiednie sypialnie. Olivia zdecydowała się na pokój na parterze, z tyłu domu. Potem powędrowały na górę. Na szczycie krętej klatki schodowej otworzyły podwójne, białe drzwi, za którymi ujrzały przestronny, elegancki apartament. Przytulny salon z białym marmurowym kominkiem i zabezpieczonymi płótnem sofami sąsiedował z sypialnią na podeście, do której docierało się po trzech szerokich, białych stopniach z marmuru.

Za sypialnią był balkon, oddzielony od pomieszczenia wysokimi przeszkłonymi drzwiami. Na zewnątrz rozpościerały się bujne ogrody.

– Apartament księżnej – zauważyła Claire, całkiem niepotrzebnie, i wyszła na balkon, oczarowana przepięknym, doskonale rozplanowanym ogrodem, skrytym w cieniu wysokich drzew.

Olivia stanęła obok niej.

– Ale księżnej tu nie ma – dodała i zamilkła w oczekiwaniu na odpowiedź Claire. Ponieważ przyjaciółka milczała, mówiła dalej: – Możesz korzystać z apartamentu do czasu jej przyjazdu.

– Czy to nie zbyt śmiałość? – wyraziła wątpliwość Claire.

– Czemu? Kto miałby o tym wiedzieć? – zapytała – retorycznie jej towarzyszka i odwróciła się do wyjścia. – Przyniosę twoje walizy. Rozgość się.

– Z wielką chęcią. – Claire zdarła prześcieradło z eleganckiego fotela i musnęła dłonią miękkiego aksamitu.

Kiedy wszystkie bagaże trafiły do pokoi tymczasowych gospodyń domu, Claire wysłała Olivie z misją zatrudnienia niewielkiej grupy służących, którzy na polecenie lorda Northwaya zajmą się porządkami.

Sama wyruszyła na zwiedzanie malowniczej okolicy.

Powóz powoli sunął w cieniu wiązów zatłoczonym Broadwayem. Hank Cassidy siedział wygodnie na obitej skórą kanapie i kiwał na powitanie głową roześmianym, wytwornie odzianym ludziom, którzy odbywali konne przejażdżki po ulicy.

Ten popołudniowy obyczaj cieszył się niesłabnącą popularnością wśród przybyszów, którzy ochoczo prezentowali kosztowne powozy: jednokonne bryczki z frędzlami wokół dachów lub faetony ciągnięte przez szkolone konie, które wysoko unoszą nogi i machają wiązanymi ogonami. Od czasu do czasu widać też było ciężkie karety z błyszczącymi, srebrnymi monogramami na uprzęży i lokajami w szkarłatnej liberii. W takich pojazdach, na kosztownych kanapach zazwyczaj spoczywały damy, osłaniając się przed zdradliwym słońcem koronkowymi parasolkami.

Och, wspaniale było powrócić do Saratogi.

Hank skupił uwagę na pieszych, spacerujących po chodnikach przed hotelami. Niewiele go obchodzili panowie w starannie skrojonych, letnich ubraniach. Jego spojrzenie wędrowało automatycznie ku damom w kapeluszach, z parasolkami dobranymi do barwnych sukien zdobionych różnymi wdzięcznymi wykończeniami, takimi jak zakładki, pasy, koronki, wstążki oraz bufiaste rękawy.

Uśmiechał się z przyjemnością, lecz nagle gwałtownie zamrugał powiekami i się wyprostował. Szczupła młoda kobieta wyszła ze sklepu papierniczego i księgarni pana P. Durkeego. Nieznajoma stanęła w pełnym słońcu. Jasne włosy zalśniły niczym najczystsze złoto, porcelanowa cera była nieskazitelna.

To była ona!

Kobieta ze stacji kolejowej. Wyglądała równie pięknie jak wtedy, gdy ją ujrzał po raz pierwszy.

– Zatrzymaj powóz! – zawołał Hank do woźnicy, lecz nie czekał, aż ten wypełni polecenie.

Błyskawicznie zeskoczył na ulicę i cudem uniknął kolizji z czterokonnym powozem. Zaklął pod nosem i rozejrzał się na boki, aby znaleźć miejsce między sunącymi pojazdami. Miał pecha; z tyłu drogę zablokował mu powóz, a z przodu nadjechała wielka karetka, pełna roześmianych ludzi, którzy radośnie pokrzykiwali.

Złotowłosa piękność znikła, zanim obszedł karetkę i dotarł do chodnika. Rozczarowany, rozejrzał się po ulicy, a następnie wbiegł do sklepu papierniczego, sprzedającego także książki. Za ladą ujrzał subiekta.

– Przed chwilą była tu kobieta o złocistych włosach! – wykrzyknął od progu. – Dokąd poszła?

Kim była?

Ekspedient pokręcił głową.

– Obejrzała książki, ale nic nie kupiła i...

– Ma pan pojęcie, kim ona jest?

– Nie, proszę pana, nic o niej nie wiem. Przykro mi.

– Mnie również. – Zirytowany Hank prychnął. – Które książki? Wybrała jakieś szczególne?

– W rzeczy samej, proszę pana, jej uwagę przykuła pewna pozycja – potwierdził subiekt i podszedł do półki w głębi sklepu. Po chwili przyniósł elegancką, oprawioną w skórę książkę, przyjrzał się jej i oznajmił: – Właśnie o tym mowa. „Więzień Zandy” Anthony’ego Hope’a. Rzecz wydano w ubiegłym roku i całkiem dobrze się sprzedaje. Dama wyjęła tę książkę, przewertowała ją uważnie i odłożyła na półkę.

– Ja ją wezmę – oświadczył Hank. – Proszę zapakować na prezent.

– Tak jest, proszę pana – odparł usłużnie ekspedient. – Mam nadzieję, że znajdzie pan tę damę.

– Znajdę.

Z zapakowaną książką pod pachą Hank pospieszenie opuścił sklep. Przez dłuższą chwilę stał na dworze i uważnie obserwował ulicę.

Nieznajoma zniknęła bez śladu.

Powrócił do powozu i wskoczył do środka, by odbyć krótką drogę z powrotem do hotelu.

Powóz wkrótce zajechał przed pięciokondygnacyjny hotel United States o strzelistych kolumnach, wiktoriańskich ślimacznicach i szerokim, rozległym tarasie. Właśnie tam ustawiono mnóstwo białych wiklinowych foteli bujanych, a ponad połowę z nich zajmowali goście, którzy w to słoneczne lipcowe popołudnie obserwowali paradę ludzi na Broadwayu.

Hank nie wysiadł bezpośrednio przed hotelem. Powóz pojechał dalej, a kiedy minął budynek, natychmiast skręcił w boczną uliczkę. Podjechał do krawężnika tuż przy hotelowych willach, czyli luksusowych apartamentach na tyłach budowli, która kształtem przypominała podkowę. Przed willami rozpościerały się tarasy z widokiem na malownicze ogrody, potężne drzewa i zadbane rabaty kwiatowe.

Takie zakwaterowanie zaspokajało potrzebę prywatności Hanka. Gdyby wynajął apartament w budynku hotelu, musiałby za każdym razem przechodzić przez wypełnioną ludźmi recepcję. Willa gwarantowała mu swobodę i niezależność bez względu na porę dnia i nocy.

Hank wysiadł z powozu, stanął przy woźnicy i przez chwilę z nim rozmawiał. Potem się odwrócił i pobiegł schodami na górę, do drzwi wejściowych, otworzył je i zniknął w środku. Gdy tylko wszedł do wyłożonego marmurami przedpokoju, powitał go zapach świeżo ściętych kwiatów.

Hank uśmiechnął się na widok srebrnej misy na małym, orzechowym stoliku, wypełnionej po brzegi eleganckimi kopertami. Położył na stole zakupioną książkę i wziął do ręki plik korespondencji, po czym odwrócił się i ruszył do bawialni, wyposażonej w brązowe meble z drewna orzechowego, eleganckie dywany oraz grube zasłony z brukselskiej koronki, zawieszane nad wysokimi oknami.

Na stole przy wielkim fotelu, w srebrnym wiaderku z lodem chłodziła się butelka szampana. Obok leżała kartka z powitaniem, pozostawiona przez hotelowy personel. Przy wiaderku stały dwa kryształowe, wysokie kieliszki. Kiedy woźnica i portier hotelowy wyładowywali bagaże i przenosili liczne walizy do środka apartamentu, Hank otworzył butelkę.

Niemądrze marząc o tym, by złotowłosego anioła był teraz przy nim, napełnił oba kieliszki szlachetnym trunkiem i opadł na fotel, by przejrzeć zaproszenia.

Część z nich dotyczyła przyjęć wydawanych w przyszłym tygodniu albo nawet później. Niektóre zachęcały go do przyjścia jutro. Na kilku zaproszeniach widniała dzisiejsza data. Hank odłożył wszystkie z wyjątkiem tych na dzisiejszy wieczór. Było ich w sumie sześć. Trzy na przyjęcia późnym wieczorem, trzy na kolację. Pomedytował nad tymi ostatnimi, wzruszył szerokimi ramionami, zamknął oczy i wybrał w ciemno.

Horace i Lilian Titusowie.

Kolacja o ósmej.

Claire była oczarowana Saratoga Springs.

Urocza górська miejscowość przypominała bajkową krainę, pełną wspaniałych hoteli, atrakcyjnych sklepów, pięknych parków, źródeł mineralnych i elegancko

ubranych gości.

Spacerowała leniwie po Broadwayu. Mijała hotele: Grand Union, Congress Inn, Clarendon. Każda z tych budowli była wyjątkowa i wspaniała, a w dodatku nie przypominała niczego, co Claire widziała w Londynie. Kiedy podeszła do następnego imponującego budynku, wielkiego hotelu United States, wzniesionego z cegieł i kamieni, zerknęła w wąską uliczkę, która przebiegała wzdłuż jego bocznej ściany.

Niezwykłym zrzędzeniem losu ujrzała tam powóz, z którego właśnie wysiadał wysoki, szczupły mężczyzna. Nieznajomy przez chwilę stał na chodniku i rozmawiał z woźnicą, uśmiechając się i żywo gestykulując.

Czarne włosy obcego lśniły w promieniach słońca, szerokie barki rozpychały delikatny materiał błękitnej koszuli, a jasne spodnie doskonale leżały na wąskich biodrach i długich nogach. Claire nigdy wcześniej nie widziała równie przystojnego mężczyzny.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Stała więc po drugiej stronie ulicy i napawała się jego widokiem, aż wreszcie się odwrócił, energicznie wbiegł po schodach, otworzył drzwi i zniknął w środku.

Nawet wtedy nie ruszyła się z miejsca. Była oszołomiona do tego stopnia, że całą uwagę skupiła na zamkniętych drzwiach.

Zastanawiała się, kim jest i skąd przybył, a także czy jeszcze kiedyś go ujrzy. Serce waliło jej teraz jak młotem. Oczywiście, że jeszcze go spotka! Podobnie jak ona, przyjechał do Saratoga Springs na cały sezon. Na pewno zatrzymał się w hotelu United States i z pewnością miała duże szanse właśnie tam go spotkać. Wystarczyło tylko wejść do środka.

Claire uśmiechnęła się lekko i przeszła na drugą stronę wąskiej ulicy. Pospiesznie ruszyła chodnikiem ku hotelowi. Weszła po schodach na rozległy taras i rozejrzała się dookoła: otaczali ją roześmiani, pogrążeni w rozmowach ludzie, którzy z nieskrywaną przyjemnością raczyli się przekąskami serwowanymi przez kelnerów w uniformach.

Przeszła przez taras i przedostała się do dużego holu o wysokim suficie. Usiłowała nie zwracać na siebie uwagi i snuła się powoli z kąta w kąt. Kiwała głową i uśmiechała się do pierwszy raz w życiu napotkanych osób. Przy innej okazji z pewnością zwróciłyby uwagę na to, jak przyjacielsko wszyscy się zachowywali. Była jednak zbyt zajęta wypatrywaniem przystojnego ciemnowłosego mężczyzny w błękitnej bawełnianej koszuli.

Po kilku minutach zrezygnowała jednak z poszukiwań. Najwyraźniej

nieznajomy nie zamierzał tu przychodzić. Najpewniej zameldował się wcześniej, odebrał klucz i odszedł. Nie widział potrzeby przebywania w tym zatłoczonym miejscu.

Cały czas niespiesznie wędrowała przez ludzką ciżbę, aż w końcu minęła próg wysokich drzwi i wyszła na taras. Schodziła po schodach od frontu budynku, kiedy podeszła do niej elegancko ubrana kobieta w średnim wieku.

Nieznajoma stanęła, uśmiechnęła się i oznajmiła:

– Och, słyszeliśmy, że tego lata przyjeżdża pani do Saratogi. To takie podniecające gościć księżną Beaumont podczas sezonu! – Kiedy Claire posłała jej pytające spojrzenie, dodała: – Pani mnie nie poznaje? Jestem Lillian. Lillian Titus. Ach, cudownie widzieć panią po tylu latach. Jejku, jejku, wygląda pani lepiej niż kiedykolwiek i...

Onieśmiałonej Claire udało się w końcu przerwać słowotok damy.

– Ależ nie, nie – zaprotestowała pospiesznie. – Obawiam się, że pani... że nastąpiło... Widzi pani, nie jestem... – Claire zamilkła, ale tylko na sekundę. – No cóż – ciągnęła po krótkiej przerwie. – W rzeczy samej, minął szmat czasu.

– Co najmniej siedem, osiem lat – powiedziała z uśmiechem Lillian. – Dzisiaj wieczorem wydaję wraz z mężem uroczystą kolację. Po prostu musi pani przyjść. Będą wszyscy. Zapraszam do naszej willi, punktualnie o ósmej. Proszę powiedzieć, że możemy na panią liczyć, księżno.

– To dla mnie zaszczyt – odparła Claire z uśmiechem.

Rozdział 7

Zazwyczaj zrównoważona i ostrożna Claire Orwell postanowiła raz w życiu zapomnieć o rozwadze. Do czasu przyjazdu Charmaine Beaumont do Saratogi zapragnęła podawać się za księżną Beaumont. Przez kilka niepowtarzalnych dni i nocy nacieszy się życiem bogatej, śmiałej księżnej, w świecie przepychu i wyższych sfer w Saratoga Springs.

Nie martwiło jej, że będzie się obracała w kręgach odmiennych niż dotychczasowe. Doskonale znała życie bogaczy i ich obyczaje. Ukochana nieżyjąca matka przed ślubem pełniła funkcję damy dworu królowej, a do jej obowiązków należało dbanie o królewską sypialnię. Matka Claire chętnie powracała do tamtych czasów i dzieliła się z córką cennymi wspomnieniami oraz spostrzeżeniami na temat dworskiego życia.

Claire mogła dać sobie radę w tym tłumie, potrafiła przekonać wszystkich, że jest księżną. To właśnie zamierzała uczynić.

Począwszy od dzisiejszego wieczoru, będzie obracała się wśród bogatych i potężnych obywateli Stanów Zjednoczonych. Będzie piła schłodzonego szampana, pogodnie śmiała się i flirtowała z dżentelmenami o nienagannych manierach. Skorzysta z okazji, by tańczyć do białego rana i niczym się nie przejmować.

Podekscytowana, pospiesznie wracała do posiadłości, aby bez zwłoki opowiedzieć Olivii o swoim pomysle.

Starsza kobieta ujrzała Claire w drzwiach wejściowych i od razu zaczęła się chwalić:

– Doskonale mi poszło. Od jutrzejszego poranka będziemy miały...

Claire machnęła ręką, aby uciszyć przyjaciółkę.

– Olivio, twoje wieści na temat służby mogą zaczekać – oznajmiła. – Wyjdź na taras i usiądź, proszę. Chciałam ci coś powiedzieć. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Zaciekawiona Olivia wyszła na zewnątrz i posłusznie zajęła miejsce we wskazanym przez Claire bujanym fotelu. Gdy już siedziała, przyjaciółka opowiedziała jej o zaplanowanej mistyfikacji. Mimo olbrzymiego zaskoczenia Olivia wyraziła całkowitą aprobatę dla planu Claire.

– Nie mam wątpliwości, że bezkarnie możemy ich wprowadzić w błąd – podkreśliła Claire stanowczo. – Księżna wyjechała z Saratogi siedem lub osiem lat temu. Wiele osób, które tutaj przybyły tego lata, nigdy jej nie widziało. Inni mieli mnóstwo czasu na to, by zapomnieć, jak wyglądała.

– A przecież jest wysoka i szczupła tak jak ty. I ma jasne włosy – uzupełniła Olivia i energicznie pokiwała głową.

– Otóż to. Powinnyśmy bez większego trudu przekonać wszystkich, że faktycznie jestem księżną Beaumont. Tego popołudnia w hotelu United States poznałam pewną panią w średnim wieku, która przedstawiła się jako Lillian Titus. Otóż dama ta pomyliła mnie z księżną i zaprosiła na kolację u siebie w domu. Przyjęcie odbędzie się dzisiaj wieczorem. Zaproponowała, że przyśle po mnie powóz. Właśnie to spotkanie podsunęło mi pomysł, aby przez pewien czas podawać się za księżną.

– Widziałam zdjęcia Charmaine Beaumont – przypomniała sobie Olivia. – Dostrzegam między wami pewne podobieństwo, ale jesteś bez porównania ładniejsza.

Claire podziękowała przyjaciółce uśmiechem.

– Jesteś stronnicza, Olivio – zauważyła skromnie. – Zresztą, jeśli to prawda – w co wątpię – wszyscy pomyślą, że wypiękniałam z wiekiem. Księżna ma trzydzieści trzy lata, a to jest wiek, w którym większość kobiet prezentuje się najlepiej, prawda?

– Nie wyglądasz na trzydzieści trzy lata, moje dziecko. Raczej na dwadzieścia trzy.

Dwudziestosiedmioletnia Claire ponownie się rozpromieniła.

– To naturalne, że wyglądam młodzieńczo – zauważyła. – My, szlachetnie urodzone kobiety, bardzo dbamy o prezencje. – Zachichotała i pod wpływem impulsu uklękła przed przyjaciółką, ujęła jej sterane dłonie i uścisnęła je gorąco. – Och, Olivio, wiem, że mój plan jest moralnie nie do przyjęcia. Właściwie obmyśliłam coś niewybacznego. Nic mnie to jednak nie obchodzi. Moja decyzja jest ostateczna. Będę szczęśliwa! Zamierzam się doskonale bawić i skwapliwie wykorzystać każdą chwilę w ciągu najbliższych dni. Będę nosiła piękne stroje i robiła to, na co mi przyjdzie ochota, jak najprawdziwsza arystokratka.

– Ale jak to zrobisz, Claire? Przecież nie mamy pieniędzy...

– Będziemy je miały – zapewniła przyjaciółkę i ponownie uścisnęła jej kruche dłonie. Po chwili je puściła i zerwała się na równe nogi. Rozejrzała się dla pewności, że nikt ich nie obserwuje, a potem uśmiechnęła się chytrze, uniosła suknię i odpięła fioletową sakiewkę z aksamitu, ukrytą w fałdach halki. Ponownie uklękła i wysypała zawartość woreczka na podłogę tarasu. Olivia momentalnie się pochyliła, a na jej twarzy pojawił się wyraz szczerzego zdziwienia. W gasnącym świetle słońca zalśniły i zamigotały drogocenne kamienie eleganckiej biżuterii.

Claire podniosła misterny naszyjnik ze szmaragdami i brylantami, a następnie wręczyła go oszołomionej przyjaciółce.

Olivia zważyła naszyjnik w dłoni i uniosła brwi.

– Claire, czy to własność barona? – spytała.

– Nie, nie ukradłam tej biżuterii. Należała do – mojej matki. Nie mam pojęcia, skąd ją wzięła, od kogo dostała te klejnoty. Wiem jednak, że mój ojciec z pewnością nie miał tyle pieniędzy, aby kupić coś tak cennego i kosztownego. Mama nigdy nie nosiła tych klejnotów w naszej obecności. Nie miałam pojęcia, że jest właścicielką takiego skarbu. Ujrzałam go dopiero po jej śmierci. Gdy umierała, szepnęła mi do ucha, żebym zajrzała pod toaletkę. Znalazłam tam przyklejoną fioletową sakiewkę z aksamitu. W środku znajdował się wzruszający list, w którym mama wyznała, że pragnie przekazać mi te klejnoty. Moim zdaniem są warte znaczną sumę, prawda?

– To oczywiście, ale chyba nie bierzesz pod uwagę...

– Wręcz przeciwnie, właśnie tak. Zastawimy te precjoza, aby sfinansować naszą małą przygodę. Nie oddam tylko jednej rzeczy.

Ze Stasika migoczącej biżuterii ostrożnie wyciągnęła delikatny, złoty łańcuszek, z którego zwisał dwuipółcentymetrowej długości medalion z masy perłowej ze złotym profilem kobiety-matki Claire. Młoda dama zawiesiła łańcuszek na szyi i dotknęła medalionu.

Olivia знаła ten wyjątkowy przedmiot. Miała świadomość, jak bardzo jest ważny, ale trzymała język za zębami.

– Zachowam tylko ten drobiazg – powiedziała Claire. – Za resztę dostaniemy dość pieniędzy, aby opłacić nasz wybryk.

Oczy Olivii lśniły niemal tak jak rozsypane przed nią klejnoty.

– Jeśli powierzysz mi część pieniędzy, uzyskanych za tę biżuterię, wkrótce będziemy bogate szepnęła zafascynowana.

Claire uśmiechnęła się domyślnie, zabrała naszyjnik z rąk przyjaciółki i pozbierała błyszczące cacka.

– Ach, więc jesteś hazardzistką? – zauważyła.

– I to nie byle jaką, jaśnie pani.

Obie kobiety roześmiały się głośno.

W ogrodzie na tyłach willi rozbrzmiewały dźwięki muzyki granej przez orkiestrę podczas popołudniowego koncertu. Hank wyszedł na korytarz, spojrzął na sznurki dzwonek, służących do przywoływania pokojówki, kelnera oraz

kamerdynera, i zadzwonił po tego ostatniego. Gdy mężczyzna się zjawił, Hank nakazał mu rozpakować bagaże i wyszedł.

Zrezygnował z jazdy powozem, gdyż tor wyścigowy w Saratodze znajdował się całkiem blisko hotelu. Radośnie pogwizdując, Hank minął trybuny i podążył prosto do stajni.

Miejsce to tętniło życiem. Właściciele, trenerzy i dżokeje zebrali się wokół licznych boksów, w których stały wspaniałe, wielokrotnie nagradzane konie pełnej krwi angielskiej. Hank co chwila przystawał, aby wymienić uściski dłoni z różnymi dżentelmenami. Panowie ci lubili wyścigi i uwielbiali wygrywać. Rywalizacja była ich żywiołem, dlatego przychylnym wzrokiem patrzyli na każdego nowego koniarza, który przybywał do Saratogi, aby z nimi współzawodniczyć. Tak samo traktowali Hanka.

– A niech mnie, jeśli to nie Hank Cassidy, Król Srebra! – wykrzyknął niski mężczyzna o okrągłej twarzy, Logan B. Bristow z New Jersey. Był to magnat na rynku nieruchomości i dumny właściciel konia pełnej krwi. – Naprawdę sądzisz, że ta twoja siwa chabeta ma szansę pokonać mojego trzylatka w wyścigu o nagrodę Traversa? – zaczepił Hanka ze śmiechem, podszedł do niego i klepnął go w plecy.

– Jak się masz, L. B. ? – Hank uśmiechnął się wesoło. Zanim rozmówca zdążył odpowiedzieć, dodał: – Przykro będzie patrzeć, jak tracisz pieniądze, ale właśnie tak się stanie, jeśli postawisz na swojego leniwego i ospałego konia pociągowego. – Ruchem głowy wskazał zgrabnego gniadego rumaka, zamkniętego w boksie tuż za plecami Bristowa.

Magnat roześmiał się donośnie, kiedy Hank poszedł dalej alejką między boksami, co rusz wymieniając uprzejmości, potrząsając wyciągniętymi dłońmi i obserwując konkurencję.

Zza wypełnionej sianem zagrody przy końcu alejki nagle wyszedł szczupły siwy mężczyzna. Uśmiechnął się szeroko na widok Hanka.

Hank pospiesznie ruszył w jego kierunku.

Po chwili obydwaj padli sobie w ramiona i gorąco się wyściskali. Sześćdziesięciodwuletni Fox Connor był dla Hanka nie tylko najbardziej uzdolnionym opiekunem i trenerem koni w Ameryce. Hank uważał go za w pełni profesjonalnego fachowca, a także za zaufanego przyjaciela i powiernika, który znał go lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Mądry i oddany Fox Connor był obecny w życiu Hanka od dawna. Pochodzili z tych samych stron. Z czasem obaj mężczyźni zaczęli się uważać za członków jednej rodziny. Fox Connor był całkiem samotny. Nigdy się nie ożenił i nie miał

potomstwa. Uważał Hanka za syna, którego zawsze mu brakowało. Był dumny z jego osiągnięć, cieszył się, że uczestniczy w życiu młodego przyjaciela. Nie mógł się doczekać dnia, w którym Hank znajdzie sobie żonę gotową urodzić mu dzieci. W skrytości ducha żywił nadzieję, że maluchy będą go nazywały dziadkiem.

– Kiedy tu przyjechałeś? – spytał Fox.

– Godzinę temu – odparł Hank. – Jak zniosły podróż? – zainteresował się, mając na myśli dwanaście pierwszorzędnych koni pełnej krwi, przetransportowanych przez Foxa z Kentucky.

– Czarny Atlas ma nadwerżony mięsień, ale za parę dni mu przejdzie. Czerwony Sos nie jadł dziś rano owsa i wyglądał na ociężałego, lecz już mu lepiej. Burza, Tancerka i reszta są w doskonałej kondycji. Wszystkie uczestniczyły w dzisiejszych porannych ćwiczeniach.

– Srebrny Dolar ma się dobrze? – Ten potężny rumak miał spore szanse zgarnąć nagrodę Traversa.

– Podczas porannego biegu czuł się doskonale zapewnił Fox. – Pokonał półtora kilometra w minutę i pięćdziesiąt sekund.

Zadowolony Hank wszedł do boksu, w którym stał Srebrny Dolar. Ogier parsknął na powitanie, a Hank otoczył ramieniem smukłą szyję i poklepał go czule.

– I jak, stary druhu, zdobędziesz dla mnie nagrodę Traversa? – spytał, a rumak zastrzygł uszami i potrząsnął wielkim łbem. Hank się zaśmiał i przytulił policzek do głowy zwierzęcia. – Tak, tak, będę z ciebie dumny. Wiem, że tak.

Starannie obejrzawszy konia, Hank opuścił boks i podszedł do stajennego. Po drodze sięgnął do kieszeni, wyciągnął banknot i wręczył go młodzieńcowi.

– Dopilnuj, żeby nikt nie zbliżał się do tego ogiera – polecił mu.

– Tak jest, proszę pana.

Hank i Fox Connor wyszli razem ze stajni, aby odbyć krótki spacer do miasta. Wkrótce stanęli przed hotelem.

– Masz plany na dzisiejszy wieczór? – zaciekał się Fox.

Hank skinął głową.

– Dostałem zaproszenie na kolację w domu Horace'a Titusa. A ty?

Fox uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze mnie znasz, Hank. Wrzucę coś na ruszt w Canfield, a potem pogram w ruletkę albo w faraona.

– Może spotkamy się późnym wieczorem?

– Szczerze wątpię. Jestem pewien, że podczas kolacji u państwa Titusów poznasz mnóstwo godnych uwagi dam. – Wymownie popatrzył na przyjaciela.

Hank nie odpowiedział ani słowem, ale przyszło mu do głowy, że być może wśród zaproszonych gości będzie złotowłosy anioł. Lillian Titus miała szczególny dar przyciągania na swoje przyjęcia ludzi najbardziej interesujących i najznamienitszych.

– Do zobaczenia jutro – zakończył rozmowę i pospieszył do willi.

Fox Connor zachichotał, odprowadzając go wzrokiem. Potem odwrócił się i ruszył do głównej części hotelu, do swojego apartamentu na najwyższym piętrze.

O godzinie siódmej Claire zeszła po schodach, przebrana do uroczystej kolacji. Zdenerwowana Olivia czekała w holu.

– Co ty na to? – spytała samozwańcza księżna, gdy dotarła na dół i obróciła się na marmurowej posadzce.

Olivia spojrzała na nią surowo. Złociste włosy Claire były upięte na czubku głowy, jasne loki połyskiwały w świetle świec żyrandola. Policzki lekko się zaróżowiły, a fiołkowe oczy błyszczały z podniecenia. Usta miała podkolorowane delikatnym różem. Twarz i włosy wyglądały idealnie.

Ale nie suknia.

Kolor pasował – suknię uszyto z fioletowej tafty dokładnie w takim samym odcieniu jak prześliczne oczy Claire. Olivia nie mogła jednak dostrzec innych zalet stroju.

– Długie rękawy w lipcu? Karczek aż po gardło?

Dławiący kołnierzyk do brody? – Z dezaprobatą pokręciła głową. – Bardziej wyglądasz na guwernantkę niż na bogatą księżną.

Claire ciężko westchnęła.

– Wiem – przyznała – ale jeszcze nie byliśmy na zakupach i nie mam nic lepszego. Skąd mogłabym wziąć wieczorową suknię?

– O której wychodzisz na przyjęcie?

– Pani Titus powiedziała, że przyśle po mnie powóz. Powinien się zjawić punktualnie o ósmej.

Olivia rzuciła okiem na wysoki zegar w holu.

– Zatem została cała godzina – oznajmiła zdecydowanie. – Księżno, masz szczęście. Niegdyś pracowałam u męskiego krawca przy Savile Row.

Wystarczy mi igła i nitka, a dokonam wszelkiego typu poprawek. Ściągaj suknię, zobaczę, co da się zrobić.

Niezwłocznie wzięła się do roboty.

Nie minęła godzina, a strój zyskał modne, krótkie i bufiaste rękawki. Znikły

karczek i kołnierzyk.

Suknia miała teraz głęboki dekolt, pełne piersi Claire zostały wysoko wypchnięte przez ciasny gorset. W rezultacie biust młodej kobiety był wyeksponowany bez przekraczania granic przyzwoitości.

– Jaśnie pani, zdaje się, że słyszę powóz, wtaczający się na podjazd – oznajmiła Olivia z uśmiechem.

– Jak teraz wyglądam? – spytała Claire niespokojnie i nerwowo podciągnęła wyciętą krawędź dekoltu. – Czuję się naga.

Olivia zachichotała, odsunęła dłonie przyjaciółki i ponownie ułożyła dekolt.

– Wyglądasz pięknie – pospieszyła z zapewnieniem. – Pamiętaj, nie jesteś Claire Orwell, tylko pewną siebie księżną Beaumont.

– Raga. Księżna z pewnością nie miałaby obiekcji przed eksponowaniem dekoltu.

– Najmniejszych – potwierdziła starsza pani i dodała z przebiegłym uśmiechem: – Słyszałam pogłoski, że odkąd mąż Charmaine Beaumont – opasły, nadęty stary książę – wyzionął ducha pięć lat temu, wdowa po nim nie stroni od przystojnych kochanków. Czy zamierzasz dodać kilku do jej listy?

– Tylko jednego – odparła Claire bez wahania, a oczami wyobraźni ujrzała ciemnowłosego mężczyznę, którego zauważyła po południu. – Chciałabym choć raz w życiu przeżyć prawdziwą namiętność – wyznała szczerze. – Mam ochotę sprawdzić, jak to jest kochać się z mężczyzną, na którego widok uginają się kolana i kręci się w głowie. Mój zmarły mąż był dobrym, pocziwym człowiekiem, ale nasz związek nigdy nie opierał się na miłości i siebie nie pragnęliśmy. – Wzruszyła gładkimi obnażonymi ramionami, uśmiechnęła się lekko – i dodała: – Księżna będzie ze mnie dumna. Zakładam, że jaśnie pani nie ma oporów przed sięganiem po wszystkich mężczyzn, którzy wpadną jej w oko. Z tego względu zamierzam zapolować na najatrakcyjniejszego mężczyznę w Saratodze. – Umilkła, a po chwili uzupełniła: – Rzecz jasna, chcę go uwieść.

– Uwieść? Jak? – wymamrotała Olivia. Claire uśmiechnęła się chytrze.

– To proste. Będę go ignorowała.

Rozdział 8

Najatrakcyjniejszym mężczyzną w Saratodze był urodziwy, uwielbiający rozrywki Hank Cassidy z Nevady. Bogaty i młody Król Srebra miał na własność kopalnie, które zapewniały mu zysk ponad dziesięciu tysięcy dolarów dziennie. Ten zamożny człowiek był tak przystojny i męski, że rozbudzał namiętność w kobietach od szesnastego do sześćdziesiątego roku życia.

Popołudniowy przyjazd Hanka do kurortu wywołał poruszenie porównywalne z zamieszaniami związanym z przybyciem księżnej Beaumont. Wieści o jego obecności szybko obiegały miejscowość. Ludzie powtarzali sobie, że zatrzymał się w jednej z willi, należącej do hotelu United States. Po godzinie szeptano, że przyjął zaproszenie na uroczystą kolację u Lillian Titus. Krążyły też pogłoski, że na przyjęcie zawita także ekstrawagancka arystokratka.

Ci, których nie uwzględniono na liście gości Lillian Titus, poczuli się zlekceważeni. Rywalizujące gospodynie były rozczarowane, że Lillian zagarnęła jednocześnie Króla Srebra i księżnę Beaumont.

Hank postanowił zjawić się z krótką kurtuazyjną wizytą na kolacji, w której mieli uczestniczyć ludzie równi Morganom, Vanderbiltom i Rockefellerom. Poza tym, jak oświadczył gadatliwy służący hotelowy, na przyjęciu można się także spodziewać obecności pewnej pięknej, owdowiałej księżnej.

Pogłoski niewiele obchodziły Hanka. Tytuły nie robiły na nim wrażenia. Nie drgnęłyby mu powieka, nawet gdyby w Saratodze pojawiła się sama królowa – chyba że przywiozłaby ze sobą kilka koni wyścigowych. Niech inni goście nadskakują przybywającej z wizytą księżnej i robią z siebie głupców.

Jego to nie dotyczyło.

Do ósmej brakowało pięciu minut, kiedy Hank, ubrany w wykwintny czarny smoking, śnieżnobiałą koszulę i czarny krawat, przybył do posiadłości państwa Titusów. Powtarzał sobie, że natychmiast po zakończeniu kolacji przeprosi wszystkich zebranych i wyjdzie.

– Mój drogi Hanku – powitała go Lillian Titus, patrząc wzrokiem młodej oszołomionej pensjonarki. – Jesteśmy zachwyceni, że znalazłeś czas, by wpaść do nas dzisiaj wieczorem.

– Dziękuję za zaproszenie – odparł.

Pulchna, rozanielona gospodyni otoczyła Hanka ramieniem i oprowadziła go po

salonie. W ten sposób mogła przedstawić go wszystkim, których nie znał, i przypomnieć jego osobę starym znajomym z poprzednich lat.

Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie uwolniła jego ramię z mocnego uścisku, i odszedł, by samodzielnie pospacerować wśród gości. Nie zwracał uwagi na tęskne spojrzenia dam. Był przyzwyczajony do takich bezpośrednich form okazywania przychylności. Niestety, nie dostrzegł nikogo, z kim chciałby się bliżej zaznajomić, miał więc nadzieję, że wkrótce wszyscy zasiądą do stołu.

Dochodziło wpół do dziewiątej. Na co jeszcze czekali?

Hank stał, odwrócony plecami do innych gości, i sączył porto, kiedy na przyjęcie dotarła ostatnia zaproszona dama. Król Srebra nie zwrócił uwagi na szmer podniecenia, który przetoczył się przez zebrany tłumek. Właśnie gawędził z właścicielem koni pełnej krwi angielskiej, kiedy podeszła do niego Lillian Titus i przerwała mu wpół zdania.

– Wybacz, Hank – oznajmiła z radosnym uśmiechem. – Chcę, żebyś kogoś poznał.

Odwrócił się powoli.

Tuż przed nim stała subtelna złotowłosa piękność, której obrazu nie potrafił wyrzucić z pamięci. Nieznajoma była jeszcze bardziej urodziwa, niż zapamiętał, widząc ją przecież przelotnie. Miała wspaniałe złote loki, elegancko uczesane. Jej cudowna nieskazitelna skóra zdawała się jaśnieć w łagodnym świetle.

Ogromne i wyraziste oczy miały kolor niezwykłego odcienia fioleto i częściowo nikły za uwodzicielsko opuszczonymi, długimi, gęstymi rzęsami. Nieco odęte usta wydawały się miękkie i słodkie; momentalnie zapragnął je ucałować, a następnie obsypać pocałunkami kształtne nagie ramiona i smukłą szyję.

Stała przed nim, całkowicie opanowana i pewna siebie, lecz był gotów postawić wszystkie swoje konie pełnej krwi, że w głębi duszy miała niepokromiony temperament. Nie poruszyła się, nie powiedziała ani słowa, a jednak biła od niej świadomość własnej wartości.

Hank momentalnie jej zapragnął.

– Hank, mój drogi – powiedziała Lillian. – Pozwól, że przedstawię ci księżnę Charmaine Beaumont. Przyjechała do nas dzisiejszego popołudnia i pozostanie przez cały sezon. – Odwróciła głowę ku Claire. – Jaśnie pani, oto pan Hank Cassidy z Nevady.

Claire spojrzała na niego i momentalnie rozpoznała w nim człowieka, który tego samego popołudnia szedł ku hotelowym willom. Wiedziała, że stoi przed nią

mężczyzna, którego zamierzała uwieść. Sam jego widok wywoływał u niej gwałtowniejsze bicie serca i ucisk w piersiach.

Był wysoki, opalony, muskularny i wysportowany. Kruczoczarne gęste włosy połyskiwały granatowo w blasku świec na żyrandolu. Jego twarz wyglądała pięknie, a przy tym surowo. Miał błękitne oczy, których spojrzenie skierował prosto na nią; dostrzegła w nim niewypowiedziane wyzwanie. Patrzył na nią uważnie i w pewnej chwili zauważyła, że jego źrenice rozszerzają się nieznacznie, a kąciki ust unoszą w lekkim uśmiechu, zupełnie jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia. Poczowała się skrępowana i zarazem zaciekawiona.

Miał na sobie elegancki smoking z jedwabnymi kłapami oraz pasem, który doskonale prezentował się na wysokiej, szczupłej sylwetce. Biel plisowanej koszuli niemal oślepiła w zestawieniu ze smagłym odcieniem skóry. W prawej dłoni trzymał kieliszek porto, dzięki czemu Claire dostrzegła, że nieznajomy ma długie, zwięzające się palce o starannie przyciętych paznokciach. Wbrew sobie zaczęła się zastanawiać, jak by się poczuła, gdyby ta opalona dłoń spoczęła na jej ciele... Pieściła twarz... Głaskała ramiona.

Chociaż Hank nawet nie drgnął, jego seksualizm był oczywisty, niemal namacalny. W umyśle Claire nie pojawił się nawet cień wątpliwości: to mężczyzna, który potrafi wzbudzić w niej gorącą namiętność.

Oto jej niczego niepodejrzewający cel. Nie zamierzała mu jednak zdradzać, co planuje.

Jeszcze nie teraz.

Hank uśmiechnął się, w głębi duszy już Uczył minuty do końca przyjęcia. Miał ochotę natychmiast stąd wyjść i wziąć tę kobietę w ramiona. Nie widział żadnych przeszkód. Podobnie jak wszyscy inni, słyszał o niezliczonych romansach księżnej. Jej rozwiązłość całkowicie mu odpowiadała. Żałował tylko jednego: oboje musieli tkwić na tym nudnym przyjęciu, chociaż mogliby udać się do jej rezydencji lub do jego willi i tam bliżej się poznać.

Hank uścisnął delikatną dłoń księżnej, którą ku niemu wyciągnęła, i się przedstawił. Powtórzyła jego imię, a on poczuł, że po krzyżu przebiega mu dreszcz. Stanowczo zbyt wcześnie cofnęła rękę, niemal wyrwijąc się z jego uścisku.

– Musisz nam wybaczyć, Hank – oświadczyła Lillian Titus. – Inni chcą koniecznie złożyć uszanowanie księżnej.

Skinął głową. Był jednak zaskoczony i rozczarowany, kiedy piękna księżna się odwróciła, nawet na niego nie spojrzawszy. Natychmiast ogarnęło go nieprzyjemne

przekonanie, że arystokratka nie jest nim specjalnie zainteresowana.

Zniechęcony, patrzył, jak Claire z wdziękiem sunie po pokoju, uśmiecha się do nowo poznanych gości i wylewnie wita tych, których widywała podczas poprzednich letnich sezonów.

Hank nie spuszczał oczu ze zjawiskowej postaci we fioletowej sukni. Poczł, jak ogarnia go pożądanie. Zaciśnął zęby, w myślach błagając ją, aby się odwróciła i na niego spojrzała. Pragnął, by dała mu jakiś znak. Powiadomiła go, że jest świadoma jego obecności.

Do niczego podobnego nie doszło. Księżna ani razu nie zerknęła w jego kierunku.

Zdezorientowany Hank odetchnął z ulgą, gdy w otwartych podwójnych drzwiach pokoju stanął służący w eleganckim uniformie i ogłosił, że kolację podano.

Hank poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

– Oto Król Srebra we własnej osobie! – zaszczebiotał kobiecy głos. Hank niechętnie oderwał wzrok od księżnej. Rudowłosa nieznajoma w obcistej sukni ze szmaragdowozielonego jedwabiu uśmiechała się do niego uwodzicielsko. – Nie pamiętasz mnie, Hank, przyznaj się!

– Niestety, przykro mi.

– I słusznie – mruknęła przekornie. Jej oczy zalśniły. – Jestem Caroline Whit. Poznaliśmy się trzy lata temu. Byłam tu z mężem, Rodneyem. Przypominasz sobie? Rodney Whit z Vermontu.

– Rodney Whit? Pewnie. Jest tutaj dzisiejszego wieczoru?

– Mam nadzieję, że nie. – Zaśmiała się. – Zimą się rozwiedliśmy. Tylko nie mów, że ci przykro z tego powodu. I tak niepotrzebnie zwlekaliśmy z rozstaniem. – Przynęła się bliżej i szepnęła: – Jedyne, co mam po nim dobrego, to zamiłowanie do koni wyścigowych. Jak rozumiem, są one także twoją pasją.

– Z tego powodu przyjechałem do Saratoga Springs – odparł.

– Wiele nas łączy, Hank, ale na razie lepiej chodźmy na kolację. Mam nadzieję, że usiądziemy obok siebie.

Hank nie odpowiedział. Szarmancko poprowadził Caroline Whit do oświetlonej świecami jadalni, gdzie ustawiono długi, przykryty obrusem stół dla pięćdziesięciu gości.

– Caroline, masz miejsce przy końcu stołu, obok mojego Horace'a – oznajmiła Lillian Titus, kierując Caroline do jej krzesła. – Horace uważa cię za wyjątkowo miłą rozmówczynię i dlatego nalegał, abyś siedziała obok niego. – Caroline Whit

podjęła nieudaną próbę ukrycia rozczarowania. – A ty, Hank, usiądziesz obok księżnej Beaumont. – Lillian przysunęła się do niego i wyszeptała: – Liczę na to, że oczarujesz księżną i uprzyjemnisz jej wieczór.

Hank się uśmiechnął. Nikt bardziej niż on nie pragnął, by tego wieczoru księżna bawiła się szampańsko.

Claire była w doskonałym humorze.

Wszyscy ją pozdrawiali i nikt nie kwestionował, że jest księżną Beaumont. Nie było spojrzeń pełnych wątpliwości ani dyskretnych szeptów. Ledwie mogła się powstrzymać przed chichotem. Mistyfikacja okazała się znakomita. Claire żywiła nadzieję, że Olivia równie dobrze radzi sobie przy stoliku karcianym, jak ona odgrywa rolę królowej balu.

Przez cały wieczór Claire skutecznie ukrywała niewątpliwe zainteresowanie przystojnym Hankiem Cassidym.

Kiedy zajął sąsiednie krzesło, nie odwróciła się ku niemu i nie obdarzyła go uśmiechem. W żaden sposób nie dała poznać po sobie, że jest świadoma jego obecności. Udawała, że całkiem pochłonęła ją rozmowa z dżentelmenem po prawej, Parkerem Lawsonem z Nowego Jorku. Lillian Titus szepnęła Claire do ucha, że jasnowłosy przystojny Lawson, pożądaný kawaler, był jednym ze spadkobierców nieprzebranych bogactw Jaya Goulda. Po śmierci Goulda w 1892 roku Parker Lawson został niezwykle zamożnym człowiekiem.

Podczas pogawędki Claire ani przez moment nie zapominała o bliskości Hanka. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ten wspaniały mężczyzna dobrze wie, jak zadowolić kobietę. Pomyślała jednak, że trochę jeszcze poczeka, zanim zostanie jego kochanką. Miała ochotę jeszcze tego samego wieczoru rozpocząć romans, ognisty, lecz całkowicie wolny od zobowiązań.

Była jednak zbyt sprytna, aby zdecydować się na coś podobnego. Hank nie mógł się domyślić, że postanowiła zwabić go do łóża. Jeszcze nie. Zamierzała zaczekać tydzień albo dwa. Podczas oczekiwania planowała pogłębić jego zainteresowanie, udając obojętność.

Hank ściągnął brwi, słysząc, jak księżna roześmiała się perliście po jakiejś uwadze Lawsona. Kiedy wreszcie uwagę tego ostatniego odwróciła sąsiadka z prawej, Hank postanowił wykorzystać sposobność.

– Spędzi tutaj pani cały sezon? – spytał.

– Taki mam zamiar, proszę pana – odpowiedziała i skupiła uwagę na zupie z

porów.

– Proszę mi mówić Hank – poprosił. – A pani?

Jak mam się do pani zwracać?

– Jaśnie pani albo księżno – odparła oziębło.

Ten ton nie zmienił się przez całą kolację. Hank poruszał każdy temat, który mógł wzbudzić zainteresowanie księżnej. Bezskutecznie. Na wszystkie pytania odpowiadała jedynie monosylabami. Zabawne dykteryjki kwitowała skinieniem głowy. Nic jej nie ciekawiło. Wychodził ze skóry, aby uświadomić, jakie żywi wobec niej zamiary, a ona nie reagowała nawet mrugnięciem powieką.

Jeszcze nigdy dotąd nie usiłował tak desperacko zauroczyć kobiety i nie poniósł tak spektakularnej porażki. Poczucie wartości własnej Hanka dramatycznie się obniżyło. Miał ochotę źle życzyć księżnej, znieubić jej za takie traktowanie. Odnosiła się do niego chłodno, nieprzyjemnie, wręcz wrogo.

Mimo to zadurzył się w niej po uszy.

Claire czuła, że jej plan odnosi pożądane skutki, i była z siebie zadowolona.

Przez całą kolację udawała brak zainteresowania Hankiem. W rzeczywistości jednak chłonęła każde wypowiedziane przez niego słowo, z chęcią słuchała zabawnych opowiadań, z radością zauważała uśmiechy i marzyła o chwili, w której ten mężczyzna weźmie ją w ramiona.

Nie mogła jednak dopuścić, by doszło do tego już pierwszego wieczoru. Było zbyt wcześnie. Chciała zmusić Hanka do czekania.

Gdy goście dokończyli siódme i ostatnie danie, a następnie wstali i przeszli z powrotem do salonu, Claire nie dołączyła do nich. Podeszła do gospodarzy, pożegnała się i wyjaśniła, że jest nieco zmęczona po podróży.

Przed drzwi wejściowe natychmiast zajechał powóz. Parker Lawson, który nie odstępował jej na krok, odkąd wyszli z jadalni, zaproponował, że będzie towarzyszył Claire w drodze do domu. Podziękowała mu, lecz odmówiła.

Wsparta na jego ramieniu, zeszła po frontowych schodach posiadłości. Pomógł jej wsiąść do powozu, a przed rozstaniem spytał:

– Czy rankiem mogę odwieźć panią do Congress Park? Jak pani zapewne wie, będą tam dosłownie wszyscy.

– Jest pan bardzo uprzejmy. Już przyjąłem zaproszenie dołączenia do sześciu dam, które są obecne tutaj, na dzisiejszej kolacji.

– Zatem zobaczymy się w Congress Park?

– Z pewnością. Dobranoc panu.

– Dobranoc, księżno – odparł i niechętnie się wycofał. Claire popatrzyła na oświetlony budynek za plecami Parkera. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Hank Cassidy stał na tarasie, dobrze widoczny w blasku księżyca. Muskularnym ramieniem opierał się o kolumnę.

Nie wyglądał na zadowolonego.

Ten fakt wprowadził rzekomą księżną w doskonały nastrój.

Rozdział 9

– Olivio, gdzie jesteś? Przyjdź szybko! Spotkałam go. Poznałam mężczyznę, który zostanie moim kochankiem – oświadczyła Claire, kiedy minęła próg domu i znalazła się w holu.

– Już? – zdziwiła się Olivia. Słyszac głos przyjaciółki, wyszła z pokoju o lasce, przebrana w nocną koszulę i szlafrok. – Skąd ta pewność? Ledwie przyjechałyśmy. Spotkałaś tylko garstkę...

– To bez znaczenia – przerwała jej Claire, a jej fiołkowe oczy pojaśniały. – Znalazłam tego mężczyznę, którego powinnam była znaleźć, i na tym kończę poszukiwania. Był dzisiaj na przyjęciu i wszystkie obecne damy zazdrościły mi, bo siedzieliśmy obok siebie.

Podniecenie Claire udzieliło się Olivii, która nagle nabrała wigoru.

– Chodź natychmiast do mojego pokoju – poleciła przyjaciółce. – Opowiesz mi wszystko o tym jegomościu.

Obie panie ramię w ramię przeszły szerokim korytarzem do sypialni Olivii. Tam usiadły na kanapie przed zimnym kominkiem, a Claire westchnęła zadowolona.

– Nazywa się Hank Cassidy – wyjawiała. – To postawny i smagły mieszkaniec Nevady. Jest przystojny, uroczy, inteligentny i atrakcyjny – opisała go jednym tchem, a na koniec dodała, że wyczuwa w nim naturalną arogancję, niezwykle fascynujące potwierdzenie jego męskiej mocy. – Zapewniam cię, jest absolutnie cudowny.

– Nie wątpię – odparła Olivia. – Czym się zajmuje? Kim jest z zawodu?

– Nie wiem – oświadczyła Claire lekceważącym tonem. – Nie spytałam, a on tego nie wyjawiał. Zwróciłam jednak uwagę, że część gości nazywała go Królem Srebra. Dlaczego miałabym interesować się jego pracą? Czy to ważne? Nie szukam partnera na resztę życia. Potrzebny mi kochanek na kilka fascynujących nocy.

– Rozumiem. Powiedz mi jednak, czy ten boski Hank Cassidy jest mężczyzną, z którym można mieć romans bez wyrzutów sumienia?

– A czemu nie? – odparła Claire z uśmiechem. – Może zahukana, skromna Claire Orwell nie chciałaby tego, lecz przebojowa księżna Beaumont z pewnością jest gotowa na wszystko. – Claire wzruszyła smukłymi ramionami. – Będę się zachowywała tak, jak na nią przystało. Niech mnie pokocha, a potem się wynosi.

– Zamierzasz palić za sobą mosty, co? Niegrzeczna dziewczynka.

– Bezwzględnie – padła natychmiastowa odpowiedź. Claire wstała. – A teraz rozepnij mnie, proszę. Muszę wypocząć, żeby raniem dobrze wyglądać.

Olivia zerwała się z miejsca, stanęła za plecami przyjaciółki i sprawnie powyciągała haftki z pętelek.

– Jakie masz plany na jutro? – zainteresowała się.

– Wczesnym raniem ruszam do Congress Park, aby skosztować wód mineralnych. Potem jem śniadanie z panem Parkerem Lawsonem z Nowego Jorku. Rzecz jasna, nie jestem zainteresowana Lawsonem. Co to, to nie. Mam jednak nadzieję, że Hank Cassidy dowie się o tym wspólnym posiłku, zjemy go w miejscu publicznym. – Uśmiechnęła się psotnie i ciągnęła: – Następnie udam się na obiad do Grand Union, gdzie będzie mi towarzyszyło pół tuzina pań, które poznałam dzisiejszego wieczoru. Po obiedzie wracam tutaj, aby odpocząć przed koncertem o zmroku na tarasie hotelu United States.

– Twój dzień jest wypełniony po brzegi.

– Nie uwierzyłybyś, jak bardzo podziwiali mnie ci wszyscy bogaci Amerykanie. Jestem pewna, że absolutnie nikt nie wątpił, że jestem księżną Beaumont. Otrzymałam tyle zaproszeń na przyjęcia – i kolacje, że żadną miarą nie uda mi się pójść na wszystkie.

– Rozkoszne problemy dobrobytu. – Olivia westchnęła. – Jak mniemam, ten nieprawdopodobny Hank Cassidy zaszczyci swoją obecnością większość z tych przyjęć?

Kiedy suknia Claire była już rozpięta, Olivia rozplatała ciasny gorset i młoda kobieta mogła wreszcie odetchnąć z ulgą. Odwróciła się do przyjaciółki, która przybrała surowy wyraz twarzy.

– Jestem pewna, że ten mężczyzna zajmuje czołowe miejsce na wszystkich Ustach gości – oświadczyła Claire. – Nie chmurz się, nie zamierzam tracić dla niego głowy.

– A co z głową Hanka Cassidy'ego? Co zrobisz, jeśli się w tobie zadurzy?

– To byłby niefortunny zbieg okoliczności – przyznała Claire i się roześmiała. – Moja droga Olivio, nie zaprzataj sobie myśli ani mną, ani nim. Hank Cassidy to duży chłopiec. Jestem pewna, że doskonale potrafi o siebie zadbać. Krótkotrwały romans bez żadnych konsekwencji będzie dla niego równie atrakcyjny jak dla mnie. Kiedy nadejdzie stosowny czas i osiągniemy etap, który mnie interesuje, będę wobec niego całkowicie uczciwa.

– Uczciwa? – Olivia uniosła brwi.

– Już mówię, o czym myślę. Nigdy nie ujawnię prawdziwej tożsamości, ale

zachowam się uczciwie w sprawie naszego romansu. Nie interesuje mnie nic poza przelotnym związkiem fizycznym.

– A teraz jest już późno, jestem zmęczona. Dobranoc. – Ruszyła do drzwi.

– Miłych snów – pożegnała ją Olivia. – Tak na marginesie, ja również poczyniłam dzisiaj istotne postępy. Zatrudniłam gospodynię, pokojówkę, kucharkę i wytwornego kamerdynera, który będzie również pełnił rolę woźnicy. Obiecał, że w naszym imieniu wynajmie przyzwoity powóz, który przez cały sezon zatrzymamy tutaj, na terenie posiadłości. Personel zjawi się u nas z samego rana i... Ach, pan Walker prosił cię o wyrażenie zgody na jego wyjazd do Karoliny Południowej w odwiedziny do wnuczki. Powiedział, że to jego jedyna bliska osoba, a nie widział jej od ponad dziesięciu lat. Poza tym przypomniał, że kiedy przyjechałaś tutaj ostatnim razem – czyli około ośmiu lat temu – wielkodusznie nalegałaś, aby zrobił sobie półtoramiesięczne wakacje.

Claire się uśmiechnęła.

– Powiedz panu Walkerowi, że może wyjechać jutro i nie musi wracać do połowy sierpnia.

Olivia skinęła głową.

– Zatem ta sprawa jest już ustalona. W ciągu tygodnia dom będzie łśnił czystością i tętnił życiem.

– Jesteś prawdziwym skarbem. – Claire mówiła szczerze.

– Skoro mowa o skarbach, jutro przystąpię do dyskretnego zastawiania twoich klejnotów. Potem, jeśli pozwolisz, zabiorę część" gotówki i sprawdzę, czy sprzyja mi szczęście.

– Masz moją pełną aprobatę – oświadczyła Claire.

Cudownie rozluźniona Claire weszła po schodach na piętro. W sypialni zdjęła buty i zatańczyła na grubym dywanie z Aubusson, nucąc pogodne melodie. Następnie wyciągnęła szpilki, podtrzymujące fryzurę. Długie loki spłynęły na ramiona.

Gdy zakotłosała całym ciałem, poluzowana suknia osunęła się na podłogę. Po chwili jej los podzieliła halka oraz rozwiązany gorset. Claire odwróciła się, podeszła do łóżka, usiadła na krawędzi materaca i ściągnęła jedwabne pończochy. Wylądowały na dywanie, a wtedy Claire ponownie wstała i zatańczyła.

Jej energia wkrótce się jednak wyczerpała. Claire ziewnęła, wróciła do łóżka i zdjęła resztę bielizny. Potem sięgnęła po przygotowaną przez Olivię nocną koszulę. Nie włożyła jej jednak.

– Czy księżna spałaby w nocnej koszuli? – zadała sobie pytanie. – A może raczej położyłaby się nago?

Odrzuciła koszulę nocną i zgasiła lampkę przy łóżku. W pokoju zapanowały ciemności. Naga wsunęła się pod kołdrę. Jedwabisty dotyk materiału pieścił wrażliwą skórę. Claire odrzuciła kołdrę i skopała ją na skraj materaca, potem wyciągnęła się na plecach i zamruczała jak leniwa kotka.

Dwuskrzydłowe drzwi na balkon były otwarte. Nocny wietrzyk poruszał ażurowymi firankami, wpadał do środka i muskał nagą skórę Claire, rozbudzając jej zmysły. Odetchnęła głęboko i wyciągnęła ręce nad głowę.

Do tej pory nie uświadamiała sobie, że jest rozgorączkowana, jakby podskoczyła jej temperatura. Nie dała się jednak zwieść pozorom. Źródłem jej gorączki nie była dolegliwość, która jej zaczynała doskwierać, ani też zakaźna choroba. Chodziło o wyraźne wspomnienie palców Hanka Cassidy'ego, zaciśniętych wokół kieliszka wina podczas kolacji. Wyobraziła sobie, że te same palce pieszczą jej ciało, rozbudzają je...

Claire nagle usiadła i opuściła nogi z materaca. Odgarnęła włosy z twarzy, wstała z łóżka i chwyciła koszulę nocną. Wsunęła ręce w rękawy, ale nie zawiązała paska w talii. Minęła podwójne drzwi, wyszła na balkon i rozejrzała się ostrożnie, aby mieć pewność, że nikt jej nie podgląda.

Podeszła do szerokiej, sięgającej pasa balustrady i oparła na niej dłonie. Nocny wietrzyk muskał jej włosy i bawił się z jej luźną nocną koszulą, jednocześnie chłodząc rozpalone ciało. W umyśle Claire pojawił się następny niepokojąco zmysłowy obraz: ujrzała Hanka Cassidy'ego, który nago stał obok niej na tym samym balkonie, trzymał ją w ramionach i kochał się z nią pod gwiazdami, w blasku księżyca.

Przeszył ją dreszcz rozkoszy.

Ta myśl nie była całkiem nierealna. W gruncie rzeczy wydawała się łatwa do urzeczywistnienia. Claire mogła się o to postarać, lecz musiała cierpliwie poczekać.

Była zdyscyplinowaną kobietą i nie zamierzała rujnować własnych planów.

Precyzyjnie ustaliła terminarz postępowania. Przez nie mniej niż dwa tygodnie będzie demonstrowała obojętność w stosunku do Hanka Cassidy'ego. Jednocześnie zamierzała go obserwować i zwracać uwagę na to, gdzie przebywa, by trafić tam, gdzie on. Poza tym chciała się dobrze bawić, śmiać i bezwstydnie flirtować, by Cassidy uznał, że jej reputacja kobiety pozbawionej zahamowań jest całkowicie uzasadniona.

Rozdział 10

Hank obudził się wcześniej.

Znacznie wcześniej niż zwykle.

Z nagim torsem i ręcznikiem owiniętym wokół bioder stanął przed lustrem i zaczął się golić brzytwą o prostym ostrzu. Gdy skończył i wytarł resztki mydła, pochylił się, aby kilka razy ochlapać twarz zimną wodą. Podniósł czysty ręcznik i przyłożył go do gładko ogolonej twarzy, aby ją osuszyć.

Wreszcie odrzucił ręcznik i poszedł do sypialni, żeby się przebrać. Służący przygotował dla niego świeżo wyprasowany garnitur z beżowej popeliny; dopełnieniem stroju była bladoniebieska koszula i ciemnobrązowy krawat. Po namyśle Hank z niego zrezygnował i rozpiął kilka guzików przy kołnierzyku.

Gdy był już gotowy, wyszedł z willi i pospiesznie ruszył do Congress Park. Nie zamierzał tam korzystać z dobrodziejstw wód mineralnych, bo smakowały jak spalone zapalki. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie piją wodę ze źródeł.

Tymczasem powszechnie uznawano lecznicze walory miejscowej wody.

Każdego ranka przed śniadaniem do Congress Park maszerowała gromada barwnie i wytwornie ubranych dam, które radośnie trajkotały w drodze po zdrowie. Panowie zbierali się u źródeł, by obserwować tę poranną procesję. Był to rytuał, którego nie wolno przegapić – tak przynajmniej powiedziano kiedyś Hankowi, który ani przez chwilę nie zamierzał go przestrzegać. Nie pofatygował się do pijalni wód od swojej pierwszej wizyty w Saratodze.

Teraz jednak, kiedy zbliżał się do ozdobionego białym treliazem pawilonu, usytuowanego nad źródłami, jego serce mocniej zabiło. Był pewien, że pierwszego ranka po przyjeździe do Saratogi księżna Beaumont odwiedzi to miejsce.

On był już gotów na jej przybycie.

Beżowa jedwabna parasolka chroniła twarz Claire przed porannym słońcem, kiedy dołączyła do grupy dam, wybierających się na krótki spacer do Congress Park. Claire przyznała, że podczas poprzednich wizyt ani razu nie odwiedziła pijalni, ale miała ogromną ochotę skosztować słynnego płynu.

– Miejscowe wody są bardzo wysoko cenione – zauważyła Lillian Titus z niezachwianym przekonaniem.

– Lillian, moja droga – odezwała się elegancko ubrana Pauline Quinn, dama w średnim wieku, spadkobierczyni fortuny bankierskiej – istnieją jeszcze inne źródła,

które księżna koniecznie musi odwiedzić. Nie wolno nam zapomnieć o High Rock, Empire, Excelsior, Triton...

– Tak, tak – przerwała jej zniecierpliwiona Lillian – ale Congress Park to miejsce, w którym się bywa.

– Jaśnie pani, wody mają cudownie leczniczy wpływ zarówno na ciało, jak i na duszę – dodała Maxine Delaney, pomarszczona ze starości, drobna kobieta w słomkowym kapeluszu z ogromnym rondem.

Ładna rozwódka, rudowłosa Caroline Whit, nie wychwalała zalet źródeł. Nie odzywała się ani słowem, a Claire doszła do wniosku, że osoba ta z pewnością idzie do pijalni po to, by patrzeć na innych i dać się oglądać. Rudowłosa Caroline podążała niespiesznie przed siebie, kołysząc biodrami i dumnie wypinając piersi ukryte pod żółtą jedwabną suknią z wysokim kołnierzem. Nagle Claire uświadomiła sobie, że podczas ostatniego przyjęcia Caroline weszła do jadalni w towarzystwie Hanka Cassidy'ego.

Grupka dam wkrótce dotarła do rozległego parku, położonego nad jeziorem, wyposażonego w altany, fontannę, ławki, obeliski oraz podium dla orkiestry. Wytworny park w cieniu drzew pełen był elegancko ubranych ludzi.

Claire zauważyła, że w pijalni gromadzą się głównie panie, aby korzystać z uzdrawiających walorów wód mineralnych.

Można było odnieść wrażenie, że panowie przychodzą do źródeł tylko po to, aby obserwować poranną paradę dam. Kiedy Claire dotarła do białego pawilonu, zagrała orkiestra. Rzekoma księżna cierpliwie zaczekała na swoją kolej, a gdy zbliżyła się do źródła, uśmiechnięty chłopiec nalał kubek wody mineralnej i wręczył jej naczynie.

Claire podziękowała, odwróciła się i odeszła od towarzyszek. Przysiadła na ławce w cieniu, uniosła kubek i nabrała do ust spory łyk wody.

Natychmiast zapragnęła wypluć wszystko na ziemię. Płyn smakował odrażająco. Był gorszy od najwstrętniejszych lekarstw, jakie musiała dotąd przyjmować. Z najwyższym trudem usiłowała zapanować nad grymasem obrzydzenia; rozejrzała się niespokojnie, aby sprawdzić, czy nikt jej nie podgląda.

Od razu go dostrzegła.

W odległości trzydziestu metrów od niej Hank Cassidy opierał się o marmurowy pomnik. Stał z założonymi rękami i patrzył prosto na nią.

Śmiał się.

Kiedy Claire usiłowała przełknąć obrzydliwą wodę, Hank oderwał się od obeliska i ruszył w jej stronę. Stał obok niej, podciągnął nogawkę spodni,

podniósł nogę i oparł elegancki but o ławkę, na której siedziała Claire. Przedramię oparł na kolanie.

Następnie popatrzył na nią wymownie.

– Dalej, księżno! Niech pani to wypluje – zachęcił. – Nikomu nie powiem.

Claire przełknęła niepewnie łyk płynu, potem jeszcze jeden.

– Nie ma o czym mówić – powiedziała. – Woda mineralna smakuje orzeźwiająco.

– Czyżby? Zatem niech pani ją wypije, a ja przyniosę następny kubek. – Uśmiechnął się łotrzykowsko, opuścił nogę, wyjął naczynie z dłoni Claire i wylał jego zawartość na trawę.

– To było niepotrzebne – oznajmiła wyniośle.

– Przeciwnie.

Nie czekając na zaproszenie, Hank usiadł obok Claire, która w głębi duszy była zachwycona. Nie wątpiła, że przyszedł z rana do źródeł, gdyż liczył na spotkanie. Popatrzyła na niego uważnie i aż jej zaparło dech w piersiach. Wyglądał niesłychanie przystojnie: tacy bruneci jak on potrafili w jednej chwili bez wysiłku zdobyć serce kobiety.

Intensywnie niebieskie oczy przysłaniały nieprzyzwoicie długie rzęsy, a piękne usta rozchyliły się w chłopięcym uśmiechu. Nosił koszulę rozpiętą przy kołnierzu, eksponując gładką, opaloną szyję. Claire ledwie mogła oderwać od niego wzrok. Musiała się zmuszać, aby spojrzeć gdzie indziej.

– Księżno, zapraszam na śniadanie – powiedział Hank. – Filiżanka mocnej czarnej kawy pomoże pani usunąć ten ohydny posmak z ust.

– Wątpię – odparła Claire i wstała.

Hank również zerwał się z miejsca. Zanim zdołała go powstrzymać, wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Gdy poczuła na palcach jego uścisk, jej serce mocniej zabiło, nie dała jednak nic po sobie poznać. Hank splótł jej palce ze swoimi i lekko ścisnął.

– Śniadanie odpada? – spytał. – Trudno. Zatem zapraszam panią na kolację. Dzisiaj wieczorem.

Claire bez przekonania spróbowała oswobodzić dłoń. Hank pozwolił jej rozpleść palce, ale nie zwolnił uścisku. Cały czas trzymał ją w niewoli. Claire czuła, jak ciepło jego dotyku przenika jej ciało.

– Przykro mi, drogi panie – oświadczyła. – Ten wieczór mam już zajęty.

Hank rozluźnił palce, ale nie puścił dłoni Claire. Zacisnął rękę na wąskim kobiecym nadgarstku i bez trudu wyczuł, jak szybko bije puls.

– Czy jaśnie pani dobrze się czuje?

– Doskonale – burknęła. Miała nadzieję, że jej twarz nie poczerwieniała.

– Ma pani rumieńce i przyspieszone tętno. Może powinna pani iść do domu, zanim...

– Tu się pani zaszyła – rozległ się męski głos.

Hank i Claire skierowali wzrok na Parkera Lawsona, który zmierzał ku nim szybkim krokiem. Claire błyskawicznie wyrwała rękę i uśmiechnęła się ciepło do przystojnego Parkera.

Mężczyźni uklonili się sobie, wymienili uścisk dłoni, a następnie Parker skupił całą uwagę na Claire.

– Czy skosztowała już pani wody? – spytał.

– Tak, owszem – potwierdziła.

– Zdaniem księżnej tutejsza woda ma przewyborny smak – oświadczył Hank z szerokim uśmiechem. – Możesz przynieść jeszcze jeden kubek specjalnie dla niej.

Claire zignorowała Hanka i uśmiechnęła się do Parkera.

– Jestem gotowa na śniadanie z panem – oznajmiła i rozłożyła parasol.

– Umieram z głodu. – Parker wziął Claire pod rękę. – W Congress Inn podają wyśmienite dania. Może tam coś przekąsimy? – Claire z aprobatą skinęła głową, a Lawson Parker zwrócił się do Hanka: – Poprosiłbym cię, byś dotrzymał nam towarzystwa, Hank, ale jestem pewien, że właśnie wybierasz się na wyścigi.

Nie czekając na odpowiedź, Lawson pospiesznie odszedł z rzekomą księżną. Odeszła i nawet nie spojrzała na Hanka. Ten ostatni ze zgrozą patrzył, jak Lawson pochyla się, zbliża usta do ucha towarzyszk i szepcze coś przez chwilę. W odpowiedzi Claire wybuchnęła radosnym śmiechem, jakby nigdy w życiu nie słyszała nic równie zabawnego.

Hank Cassidy zmełł w ustach przekleństwo.

Rozdział 11

Spółeczność niewielkiej Saratoga Springs łączyły silne więzi emocjonalne. Letni goście byli niesłychanie towarzyscy. Większość z nich codziennie uczestniczyła we wszelkiego typu rozrywkach i przybywała na wieczorne przyjęcia w towarzystwie osób, z którymi bawiła się popołudniami albo poprzedniego wieczoru.

Nie istniała możliwość uniknięcia spotkania z kimś, kto również spędzał sezon w Saratodze.

Tak się złożyło, że nie było ani jednego dnia, ani jednego wieczoru, żeby Hank Cassidy nie natknął się na Charmaine Beaumont.

Przy każdej takiej okazji śliczna księżna, która gawędziła, przekomarzała się i żartowała z innymi dżentelmenami, w towarzystwie Hanka niezmiennie cichła i ledwie raczyła zauważyć jego obecność. Takie zachowanie go zdumiewało. Był skonfundowany. Nie rozumiał, co się dzieje. W końcu doszło do tego, że śmiech księżnej budził jego głęboką irytację.

Przy nim nigdy się nie śmiała bez względu na to, jak gorliwie próbował ją rozbawić. Nie miał najmniejszych trudności z oczarowaniem innych pań, gdyż umiejętność flirtowania z kobietami opanował do perfekcji. Większość pięknych dam szybko poddawała się jego urokowi.

Księżna okazała się inna.

Nie był przyzwyczajony do tego, by kobiety odmawiały wspólnej kolacji. Niczego mu nie skąpiły. Wszystkie atrakcyjne panie w Saratodze marzyły o tym, by zwrócił na nie uwagę. Wyjątkiem była złotowłosa księżna.

Hank interesował się wyłącznie tą pięknoscią.

Na przekór wszystkiemu pragnął tylko tej urokliwej damy, która najwyraźniej czerpała przyjemność z odrzucania jego zalotów. Nigdy dotąd nie spotkał się z takim traktowaniem. Był kompletnie zdezorientowany: nie rozumiał, jak to możliwe, że tak bardzo pociąga go śliczna kobieta, która zupełnie go nie akceptuje.

Tę kłopotliwą sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że on i księżna niezmiennie uczestniczyli w tych samych przyjęciach. Spotykali się wszędzie, zarówno na popołudniowych koncertach, jak i na uroczystych kolacjach i wieczornych balach.

Księżnej udało się nie lada sztuka: już po tygodniu oczarowała wszystkich w Saratoga Springs. Uderzająca uroda nie była jej jedynym atutem. W rozmowie z każdym – z wyjątkiem Hanka – księżna demonstrowała błyskotliwość, zyczliwość i

inteligencję. Wyczuwał, że dama ta jest całkowicie bezpretensjonalna, nie obnosi się z wiktoriańską pokorą i nie okazuje fałszywej skromności.

Nie było w niej ani krzty hipokryzji.

Wszyscy plotkarze w kurorcie zgodnie uważali, że ta ekstrawertyczna, błyskotliwa wdowa wkrótce znajdzie sobie kochanka – albo kochanków. Do wyboru miała rzesze zauroczonych dżentelmenów, którzy garnęli się do niej niczym pszczoły do miodu.

Hank Cassidy miał swoją dumę. Zdecydowanie nie godził się na rolę zaślinionego durnia, nawet jeśli wszyscy inni oszaleli na punkcie jakiejś kobiety. Nie zamierzał jednak składać broni i korzystał z każdej sposobności, by skupić na sobie jej uwagę.

Jak dotąd bezskutecznie.

Nie dawał za wygraną. To nie byłoby w jego stylu.

Oschłość księżnej i jej brak zainteresowania tylko wzmacniały jego postanowienie, by ją osiąść.

Pewnego ciepłego słonecznego popołudnia Claire stała przed szklaną ladą sklepu w hotelu Grand Union. Lokal był mały, gustownie urządzony i piekielnie drogi, a sprzedawano w nim towary luksusowe. Właśnie podziwiała importowane francuskie rękawiczki z koźlęcej skóry, kiedy do środka wszedł Hank Cassidy i, całkiem nieproszony, dołączył do Claire.

– Bierzemy te rękawiczki – oświadczył bez wahania. – Proszę zapisać je na mój rachunek – zwrócił się do subiekta.

– Wykluczone! – Claire zmarszczyła brwi. – Nie przyjmuję prezentów od nieznajomych.

– Niech mi się pani dobrze przyjrzy. – Hank powoli obrócił się dookoła. – Czy nadal wyglądam na obcego mężczyznę?

Wyglądasz na wyjątkowo fascynującego mężczyznę, pomyślała Claire. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto byłby choć w połowie równie atrakcyjny. Nie mogę się doczekać chwili, w której weźmiesz mnie w ramiona.

– W rzeczy samej, pod tym względem muszę panu przyznać rację – odparła. – Nie wygląda pan na mężczyznę, tylko na patałacha – oświadczyła ze złośliwym uśmiechem.

– Może zatem pozwoli pani, by obcy patałach zakupił pani upominek w postaci rękawiczek?

– Nie potrzebuję pańskich prezentów – oznajmiła z godnością Claire.

– A czego pani potrzebuje? – spytał. Na jego przystojnej twarzy pojawiło się lekkie rozbawienie, a Claire poczuła ucisk w piersiach. Hank ujął ją za łokieć. – Chodźmy.

– Słucham? Nie skończyłam zakupów.

– Zakupy mogą poczekać.

– Podobnie jak pan.

– Wręcz przeciwnie. Pani też nie może za- czekać. Jeśli się spóźnimy, wszystkie fotele bujane będą zajęte. Musimy pędzić. – Hank łagodnie wyprowadził Claire ze sklepu, po drodze dając ekspedientowi znak, by zapakował rękawiczki.

– Fotele bujane zajęte? A z jakiego powodu miałabym się przejmować...

– Z zasadniczego – przerwał jej i pokierował ją wzdłuż Broadwayu. Po drodze wielokrotnie kiwał głową i uśmiechał się do przechodniów. – Jeśli nie spędziła pani leniwego popołudnia w bujanym fotelu, zając się lodami na tarasie hotelu United States, nawet nie wie pani, co traci.

Claire starannie ukryła zainteresowanie. Udając wyniosłość, pozwoliła odprowadzić się do hotelu. Po chwili weszli po frontowych schodach, wiodących na rozległy taras, gdzie siedziały już dziesiątki osób. Na widok Claire i Hanka wszyscy zamilkli, a fotele bujane znieruchomiały.

Wzrok zebranych w jednej chwili skupił się na nowo przybyłych. Oboje wyglądali wspaniale: Hank był wysoki, smukły i przystojny; Claire delikatna, piękna, kobieca. Wszyscy goście hotelowi pomyśleli to samo: oto dwie najpopularniejsze osoby w Saratodze, księżna Beaumont oraz Król Srebra z Nevady.

– Jaśnie pani – wołali ludzie z różnych miejsc na tarasie. – Tutaj są wolne fotele. Zapraszamy do nas!

– Królu! Przyjdź do nas i przyprowadź swą piękną towarzyszkę! Mamy mnóstwo wolnych foteli! Chodź! Chodź koniecznie!

– Dziękuję, ogromnie dziękuję. – Hank się – uśmiechał i kiwał głową do każdego. Jednocześnie szybko prowadził Claire wśród ludzkiej cizby, omijał zestawione fotele i sprawnie potrzasał wyciągniętymi ku niemu rękami. Dłoń trzymał na plecach Claire, kiedy łagodnie popychał ją na skraj długiego zatłoczonego tarasu.

– Tutaj – zdecydował w końcu i ruchem głowy wskazał dwa wolne bujane fotele, nieco oddalone od pozostałych. Claire skinęła głową. Dotarli na miejsce i Hank pomógł jej usiąść. Zmarszczyła brwi, gdy przysunął drugi fotel. Meble stały teraz tak blisko siebie, że stykały się poręczami. Hank zajął miejsce i odetchnął z

ulgą.

– Ech, to jest życie, prawda? – mruknął.

– Całkiem przyjemne – przyznała Claire. Oparła ręce na poręczach fotela i zaskoczona zamrugała powiekami, gdy Hank swobodnie położył dłoń na jej palcach. – Na mnie pora – oświadczyła pospiesznie.

– Przeciwnie, musi pani jeszcze zostać – zaprotestował. – Wiem, czego pani potrzeba: lody owocowe błyskawicznie panią orzeźwią. – Podniósł rękę, a kelner w białej marynarce zjawił się niemal natychmiast. – Pani ma ochotę na lody truskawkowe – wyjaśnił Hank i spojrzął z uśmiechem na Claire. – Dobrze mówię?

– Chyba tak. A na co pan ma ochotę?

Hank zmrużył oczy i skierował spojrzenie na jej usta.

– Może skosztuję trochę od pani – zasugerował, uśmiechając się zmysłowo.

Claire przeszył dreszcz. Natychmiast odwróciła wzrok.

– Naprawdę muszę już iść.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Gdy przyniesiono jej porcję lodów, chętnie spróbowała smakołyku i musiała przyznać, że deser smakuje wybornie. Doskonale się bawiła, chociaż nie opuszczało jej zdenerwowanie. W obecności Hanka odczuwała onieśmienie i niepokój, natomiast jej towarzysz sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

Hank kierował rozmową, poruszał tematy błahe i neutralne, a Claire zorientowała się, że chłonie każde jego słowo i cały czas uśmiecha się życzliwie. Uwielbiała tembr głosu Hanka, z przyjemnością patrzyła na błyszczące oczy i białe zęby.

Nie mogła uwierzyć, kiedy ziewnął i zamknął oczy. Obserwowała go zbulwersowana.

– Jeżeli zamierza pan iść spać, to ja...

– Nigdzie nie idę, księżno. – Otworzył oko i uśmiechnął się do niej. – Jestem tam, gdzie pragnę być. – Ponownie opuścił powiekę.

Odetchnęła głęboko. Wiedziała doskonale, że powinna wstać i odejść. Nie chciała jednak tego czynić. Czuła się wspaniale w to ciepłe letnie popołudnie, u boku nieprawdopodobnie atrakcyjnego mężczyzny. Nigdy nie przyznałaby się do tego przed nim, ale i ona była tam, gdzie pragnęła być.

Ostrożnie odwróciła głowę i popatrzyła z podziwem na Hanka. Przystojna, zrelaksowana twarz pasowała do niewinnego młodego chłopca. Połyskujący kruczoczarny kosmyk swobodnie opadał na wysokie czoło. Usta miał zmysłowe, wyglądały na miękkie i słodkie, zdecydowanie uwodzicielskie.

Claire powoli skierowała wzrok na szeroką klatkę piersiową Hanka, która łagodnie unosiła się i opadała. Marynarka była swobodnie rozpięta, a pod koszulą z białego jedwabiu Claire dostrzegła cień gęstych włosów na torsie.

Zaschło jej w gardle.

Hank Cassidy był dokładnie takim mężczyzną, jakiego poszukiwała na towarzysza miłosnych igraszek. Śniady, uwodzicielski, flirciarz w każdym calu. Taki człowiek budził namiętność nawet w najbardziej szanowanych kobietach, także w niej.

Zastanowiła się, jak by wyglądał bez koszuli. Bez ubrania.

Ta wizja sprawiła, że do jej policzków napłynęła krew.

Skupiła uwagę na smukłej brązowej ręce, która ponownie przykryła jej dłoń. Czuła się dobrze ze świadomością tej bliskości. Zbyt dobrze. Zaczynała tracić silną wolę.

Musiała iść.

W ciszy ostrożnie uwolniła się z uścisku. Nie poruszył się. Nawet nie drgnął. Spał, do diabła! Claire poczuła się głęboko urażona. Z trudem tłumiąc narastającą złość, wstała z godnością i odeszła.

Gdy dotarła do szerokich hotelowych schodów, była już wściekła. Nadal drżała na wspomnienie dotyku dłoni Hanka, a on nawet nie wstał, żeby się z nią pożegnać.

Sfrustrowana, nagle zwątpiła w swoją urodę. Zeszła po schodach, czując się tak, jakby wszyscy wbijali w nią wzrok i szeptali o uwielbiającej zabawę księżnej, obiekcie westchnień każdego z wyjątkiem Króla Srebra, który przy niej zasnął.

Rozdział 12

– Najwyraźniej znacznie przeceniłam swoje walory – powiedziała z westchnieniem Claire, kiedy wróciła do posiadłości i zastała Olivię na tarasie z tyłu domu.

– Szczerze wątpię – oświadczyła Olivia. W palcach trzymała igłę, a na kolanach błękitny szyfon. – Powiedz, co się stało, a raczej do czego nie doszło, skoro wygadujesz takie niedorzeczności.

Claire odetchnęła głęboko i usiadła na krześle.

– Byłam w jednym ze sklepów w Grand Union, kiedy wszedł Hank Cassidy i...
– Urwała, po czym szczegółowo opisała wszystko to, co się jej przytrafiło. Na koniec wyznała przygnębiona, że Hank Cassidy zasnął w fotelu bujanym, i z desperacją na twarzy oświadczyła: – Nie mam żadnych wątpliwości: Hank Cassidy był mną znudzony.

– Nie wierz w to ani przez sekundę. Może ten młody mężczyzna najzwyczajniej czymś się zmęczył – zastanawiała się Olivia. – A może w twoim towarzystwie ogarnęła go taka błogość, że...

– Błogość? Nie chcę, żeby mu było błogo! – Claire zerwała się z miejsca i zaczęła niespokojnie chodzić w tę i z powrotem. – Powinien być zaintrygowany. Zniecierpliwiony. Miotany namiętnością. Chcę go doprowadzić do stanu, w którym nie będzie miał ochoty na sen.

– Jeśli ktokolwiek potrafi dokonać tej sztuki, to tylko ty – zapewniła ją Olivia i zaśmiała się serdecznie. – Zaczekaj, aż zobaczy cię w tej sukni. – Podniosła niebieski strój, który pracowicie przerabiała. – Przy jasnej cerze i blond włosach będziesz absolutnie bezkonkurencyjna. Jeśli chcesz, pospieszę się i skończę pracę do dzisiejszego wieczoru, żebyś mogła się przebrać w tę suknię na kolację.

Claire wzięła do ręki piękną, gładką tkaninę i ją pogłaskała. Uśmiechnęła się po raz pierwszy od momentu rozstania ze śpiącym Hankiem.

– Mój widok w takim stroju z pewnością by go rozbudził, prawda?

– Bez wątplenia – przytaknęła Olivia.

– Suknia nie jest w pełni gotowa, podobnie jak ja. – Claire wracała pewność siebie. Oddała suknię przyjaciółce i powiedziała: – Jeszcze tydzień i sprawa będzie załatwiona. – Zastanawiała się przez chwilę. – Księżna przyjeżdża w sobotę, dziesiątego sierpnia. Dzisiaj mamy sobotę dwudziestego lipca.

Innymi słowy, mogę opóźnić o jeszcze jeden tydzień to, co nieuniknione. Przez

ten czas będę dla niego na przemian miła i oziębła. Całkiem zawrócę mu w głowie, a na koniec poddam się w następną sobotę wieczorem. Dzięki temu będę mogła spędzić z nim dwa tygodnie... – Umilkła. Uśmiechnęła się i dodała: – Hank Cassidy ma jeszcze siedem dni na rozważania i wątpliwości. Siedem dni i siedem nocy.

Olivia ponownie skinęła głową.

– Pośród wielu zaproszeń, które dzisiaj otrzymałaś, jest jedno od Williama Kissama Vanderbilta. Jak rozumiem, William to najstarszy syn zmarłego Corneliusa Vanderbilta, potentata kolejowego i zarazem jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

– Wiem. – Claire westchnęła. – Odkąd tu przyjechałyśmy, wiele słyszałam o Vanderbiltach, o Brylantowym Jimie Bradym oraz o innych bogaczach. Saratoga z pewnością przyciąga najzamożniejszych ludzi Ameryki.

– Nie tylko Ameryki – sprostowała Olivia. – Wczoraj wieczorem trafiłam do pewnego małego kasyna i podsłuchałam rozmowę właścicieli koni, którzy emocjonowali się wyścigami. Jeden z koniarzy skarżył się kompanom, że miał sporo trudności ze znalezieniem stajni. Podobno kilku utytułowanych Anglików sprowadziło tutaj doskonałe konie pełnej krwi angielskiej, aby je wystawić w finałowych gonitwach i...

– Anglicy przyjeżdżają do Saratogi? – przerwała Claire niespokojnie. – A jeśli znają księżnę? Istnieje spore prawdopodobieństwo, że jeden z nich albo wszyscy są jej znajomymi, a kto wie, może wręcz – przyjaciółmi. Zostanę zdemaskowana! Moje oszustwo wyjdzie na jaw! Czy słyszałaś jakieś nazwiska?

– Nie mamy powodów do obaw – uspokoiła ją Olivia. – Owi dżentelmeni przybędą tu dopiero w połowie sierpnia, czyli wtedy, gdy będziemy zwijały manatki, by zniknąć w świetle zachodzącego słońca.

– Dzięki Bogu. – Claire odetchnęła z ulgą i natychmiast się odprężyła. Zmieniając temat, spytała: – Powiedz mi, czy wygrałyśmy dzisiaj jakieś pieniądze?

– Mów mi Szczęściara. – Olivia uśmiechnęła się z satysfakcją. – Zdobyłam trzysta dolarów w niespełna cztery godziny. – Obie panie wybuchnęły śmiechem. – A teraz wróćmy do zaproszenia od Vanderbiltów. W następną sobotę, czyli dokładnie za tydzień, wydają uroczysty bal w hotelu United States.

– Wyśmienicie – podsumowała Claire z satysfakcją. – Będzie tam Hank Cassidy, to pewne. Pod koniec wieczoru wykonam zaplanowane posunięcie. – Przeszył ją dreszcz emocji. – Wystosuj odpowiedź w imieniu księżnej.

Hank był zadowolony, że księżna została z nim na tarasie, ucięła sobie z nim

pogawędkę, uśmiechała się do niego. Jej zachowanie uznał za dobry prognostyk. Widok Claire zapierał mu dech w piersiach, a możliwość dotykania jej małej delikatnej dłoni wzbudziła w nim dreszcz rozkoszy. Najchętniej pozostałby tu z tą piękną kobietą na zawsze, kołysząc się w fotelu i ciesząc lenistwem.

Tak naprawdę wcale nie zasnął na tarasie hotelu United States.

Miał zamknięte oczy, ale ani przez chwilę nie spał. Był świadom, jak uważnie patrzy na niego księżna, przekonana o tym, że jej towarzysz znalazł się w objęciach Morfeusza. Wyczuwał jej spojrzenie na swojej twarzy i ciele.

Właśnie tak to zaplanował.

Z najwyższym trudem zachowywał spokój i leżał nieruchomo, kiedy go obserwowała, ale dał sobie radę. Jeszcze więcej wysiłku kosztowało go pozostanie na miejscu, gdy wstała i odeszła. Zaciśnął jednak pięści i wytrwał, bo miał nadzieję, że udając sen, wyprowadzi ją z równowagi i wzbudzi w niej wątpliwości.

Nie mogła tego wiedzieć, ale kiedy tylko wstała z fotela, lekko uniósł powieki i spod rzęs patrzył zadowolony, jak Claire niepewnie mija ludzi, spoczywających w bujanych fotelach. Całkowicie nieruchomy, uważnie spoglądał na odchodzącą damę. Z wielkim trudem opanował uśmiech satysfakcji.

Była urażona i zirytowana. Wystarczyło spojrzeć na jej piękną twarz. Mogło to oznaczać tylko jedno: Claire była nim zainteresowana, choć jej zachowanie świadczyło o czymś innym.

Teraz musiała zwątpić w swój powab i dojść do wniosku, że zaskakująca nonszalancja towarzysza dowodzi obojętności z jego strony.

Uśmiechnął się przebiegle.

Czuł, że jest coraz bliższy uwiedzenia pięknej księżnej Beaumont.

Kiedy spotkają się następnym razem, będzie starała się zwrócić na siebie jego uwagę. Jeśli się mylił, znaczyło to, że nie jest godzien nazwiska Cassidy!

– Psiakrew! – zaklął Hank, kiedy tej nocy wrócił do willi po długim, rozczarującym wieczorze. Zdarł z szyi czarny fular i cisnął go na zarzucone ubraniami krzesło. – Niech ją diabli! – mruknął i zrzucił z siebie marynarkę od smokingu. – Niech mnie diabli! – dodał i wyciągnął śnieżnobiałą koszulę z eleganckich spodni.

Rozpiął guziki, a wtedy materiał koszuli się rozchylił, ukazując smagły tors. Hank nalał sobie szklankę z aczej whisky i wypił alkohol jednym haustem. Skrzywił się, odstawił puste naczynie i otarł usta wierzchem dłoni, po czym wyszedł na balkon z widokiem na zadbane ogrody hotelowe i głęboko odetchnął.

Z drewnianego pudełka na niskim metalowym stoliku wyciągnął wyborne

kubańskie cygaro. Odgryzł koniec, wetknął cygaro między zęby, potarł zapałkę i zaciągnął się, chroniąc tańczący na wietrze płomyk między dłońmi.

Czubek cygara zaczął się żarzyć. Hank zgasił zapałkę, rzucił ją do popielniczki i zajął wygodne krzesło. Potem oparł nogi o balustradę i zakołysał się na tylnych nogach mebla. Ponownie się zaciągnął, przez chwilę przytrzymał gęsty dym w płucach i powoli go wypuścił. Znowu głęboko odetchnął.

Gdzieś w rozległym ogrodzie zabrzmiał przyciszony kobiecy chichot, a chwilę później zawtórował mu męski śmiech. W świetle księżyca spacerowały lub siedziały na ławkach liczne pary hotelowych gości, ukryte pod gałęziami wysokich rozłożystych drzew.

Zapowiadała się romantyczna noc.

Było przyjemnie ciepło, choć łagodny wietrzyk szeleścił liśćmi na drzewach. Wielki księżyc wędrował po niebie pośród jasnych gwiazd i chmur, nad rozległym zadbanym ogrodem unosił się słodki zapach róż.

Samotny Hank palił w milczeniu i rozmyślał. Był spięty, rozdrażniony, niespokojny. Pragnął kobiety, której nie mógł zdobyć, i powoli popadał w obsesję na jej punkcie.

Całkowicie się pomylił w ocenie Charmaine Beaumont.

Najwyraźniej jednak nie przejęła się tym, że tego popołudnia zasnął w jej towarzystwie. Butnie zakładał, że głęboko zrani jej ego, a ten udawany brak zainteresowania wzbudzi jej fascynację. Spodziewał się, że podczas dzisiejszej kolacji w Congress Inn będzie całkowicie zauroczona jego osobą.

Popęłnił błąd.

Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Nawet nie mrugnęła okiem, nie mówiąc już o uroczym uśmiechu lub choćby symbolicznym flircie.

Sfrustrowany Hank odetchnął głęboko. Serce waliło mu jak młotem. Pragnął pięknej księżnej z namiętnością utrudniającą normalne funkcjonowanie. Był przygnębiony chłodem emocjonalnym wymarzonej kobiety, odczuwał także niechęć do siebie, bo przejmował się tą sytuacją. Zachowywał się jak skrzywdzony chłopiec i nadeszła najwyższa pora, by wziął się w garść i otrząsnął z tego zadurzenia.

W Saratodze odpoczywało wiele pięknych kobiet. Caroline Whit jasno dała mu do zrozumienia, że z najwyższą ochotą zostanie jego kochanką. Podobnie odczytywał intencje apetycznej brunetki, Abby Hall, spadkobierczyni fortuny potentanta w branży transportu morskiego. Nie mógł zapomnieć o debutantce, Dawn Fleming. Była też urocza Cynthia Warner. I Beryl Thomas. A także Linda

Jackson. Lista chętnych ślicznotek zdawała się nie mieć końca.

Nie musiał spędzać samotnie jeszcze jednej nocy.

Zacisnął równe białe zęby. Tak naprawdę wcale nie chciał żadnej innej kobiety. Pragnął zimnej Charmaine Beaumont. Zastanawiał się, gdzie ona teraz jest. Z kim spędza czas? Co robi? Oczami duszy ujrzał księżną w ramionach Parkera Lawsona i jęknął z rozpacz.

Wiedział, że jeśli położy się do łóżka, nie będzie mógł zasnąć. Rozgoryczenie nie dawało mu spokoju. Zbyt się przejmował.

Ta piekielna księżna zatruwała mu życie, choć powinien cieszyć się odpoczynkiem w kurorcie. W głębi serca wiedział, że czekają go jeszcze gorsze męczarnie.

Miał słuszość.

Przez następny tydzień wyniosła księżna Beaumont zmieniała jego życie w piekło. Każdego ranka Hank konsekwentnie chodził na tor, żeby obserwować rumaki, lecz nie potrafił się skoncentrować. Był zdecydowanie rozkojarzony, a jego myśli bezustannie powracały do księżnej.

Widował Charmaine Beaumont wszędzie z wyjątkiem toru wyścigowego. Traktowała go jednak jak powietrze. Równie dobrze mógłby nie istnieć, nawet na niego nie spojrziała.

– Niech ją czarci – pomstował w rozmowie z przyjacielem, Foxem Connorem, kiedy w sobotni wieczór ubierał się na balu Vanderbiltów. – Gdziekolwiek pójde, wszędzie ją widzę. Czy ona nigdy nie odpoczywa? Na dzisiejszym przyjęciu również ją zobaczę, jestem pewien.

Fox wypił łyk burbona z Kentucky i lekko się uśmiechnął.

– Nie ma takiego prawa, które nakazywałoby ci tam iść, prawda? – zauważył.

Hank znieruchomiał z rękami na czarnym jedwabnym fularze, zastanowił się i roześmiał.

– W rzeczy samej, nie ma takiego obowiązku przyznał. – Niemniej Uczę minuty dzielące mnie od spotkania. W sumie to niedorzeczne, bo ona kompletnie mnie ignoruje.

Fox wypił alkohol, odstawił szklaneczkę i wstał.

– Potrafię to zrozumieć – powiedział i westchnął. – Podobnie się czuję na widok ruletki. Serce zaczyna mi mocniej bić. Dłonie robią się wilgotne. I, podobnie jak twoja piekielna księżna, fortuna bezustannie mną gardzi.

Rozdział 13

Claire nie kryła podniecenia.

Czuła się jak młoda dziewczyna, która wie, że wkrótce doświadczy emocji związanych z pierwszym pocałunkiem.

Przez całe popołudnie kręciła się po pokojach i sprawdzała, czy w domu panuje nienaganny porządek. Cała posiadłość musiała być gotowa na przybycie wieczornego gościa. Kiedy wreszcie poczuła się usatysfakcjonowana, gdyż wszystkie meble lśniły, francuskie dywany z Aubusson zostały oczyszczone z najdrobniejszych pyłków, a na grubych zasłonach nie pozostał nawet gram kurzu, wydała polecenie, by punktualnie o północy dostarczone do posiadłości sześć tuzinów wysokich róż w kolorze kości słoniowej.

Nie spytała, czy dostawa kwiatów o tak osobliwej porze jest możliwa. Przyzwyczała się, że wszystkie prośby księżnej Beaumont są traktowane jak rozkazy i ochoczo spełniane.

– Gdy zjawią się róże, trzy tuziny należy gustownie ułożyć w wazonach w bawialni – poleciła kamerdynerowi nazwiskiem Jenkins. – Pozostałe mają się znaleźć na górze, w apartamencie.

– Tak, jaśnie pani – odparł Jenkins. – Czy to wszystko?

– Szampan będzie czekał w lodzie? – spytała.

– Punktualnie o godzinie drugiej w nocy, jak jaśnie pani sobie zażyczyła.

– A najpóźniej o północy cała służba będzie mocno spała w swoich pokojach?

– Z moim wyjątkiem, jaśnie pani – odpowiedział z całkowicie obojętną miną. – Udam się na spoczynek kwadrans po drugiej. Wszystkie światła zostaną wygaszone, nie Uczęc przyćmionego żyrandola w holu. Drzwi wejściowe pozostaną otwarte.

– Dziękuję. Czy moja kąpiel jest gotowa?

– Oczywiście. Kazałem nalać pełną wannę gorącej wody.

– Wyśmienicie – pochwaliła służącego. – Za pół godziny będę chciała rozmawiać z Olivią.

– Przekażę jej życzenie jaśnie pani. – Ukłonił się i wyszedł.

Claire skinęła głową i po raz ostatni rozejrzała się po bawialni. Była w tak doskonałym humorze, że dyskretnie nuciła wesołą melodię. Wytrzepała poduszkę na kanapie, wygładziła fałdkę na zasłonach, aż wreszcie poczuła się całkowicie usatysfakcjonowana wyglądem pokoju.

Uśmiechnięta, szybko wyszła do holu, którego podłogę tworzyły marmurowe płyty, ułożone w czarno-biały wzór. Uniosła suknię i weszła po przykrytych dywanem schodach na piętro, do swojego apartamentu. Tam zamknęła za sobą dwuskrzydłowe drzwi, oparła się o nie i westchnęła.

W Saratodze dochodziła godzina ósma i letnie słońce powoli zniknęło za horyzontem. Zdominowany przez biel pokój był teraz skąpany w ciepłej, złocistej poświacie. Claire tak bardzo przypadł do gustu ten zmierzch, że na razie zrezygnowała z zapalania lamp.

Bez pośpiechu przeszła przez wyłożoną dywanem podłogę i zatrzymała się przed otwartymi na oścież, podwójnymi drzwiami balkonowymi. Stała tuż przed progiem, otoczona szeroką framugą niczym ramą obrazu.

Z przebiegłym uśmiechem zaczęła ściągać suknię.

Od pewnego czasu traktowała rozbieranie się jak pogański rytuał. Uwielbiała, kiedy ostatnie promienie letniego słońca spływały oślepiającymi strumieniami na jej ciało. Czuła wtedy, że oddaje się bogowi złocistego światła. Po kilku sekundach stała całkowicie naga przed wszechpotężnym bóstwem i ochoczo korzystała z jego łaski. Poczowała na sobie żar jego obezwładniającego pocałunku.

Było to wspaniałe doświadczenie. Zachodzące słońce uprawiało z nią miłość, a ona rozkoszowała się każdą chwilą w jego gorących objęciach.

Stała nieruchomo przez dłuższy czas, aż wreszcie kapryśne słońce ją opuściło i zniknęło za horyzontem, pozostawiając po sobie gęstniejący zmrok oraz podnieconą i niecierpliwą Claire. Nie mogła się doczekać śniadego kochanka gotowego zająć miejsce zwolnione przez nieziemskiego adoratora.

Odwróciła się i weszła do ukrytej w cieniu łazienki, gdzie czekała porcelanowa, biała wanna, pełna gorącej wody. Rzekoma księżna zapaliła świecę i ustawiła srebrny świecznik na podłodze przy wannie, po czym wyprostowała się i związała długie włosy w niedbały kok, który spięła szpilką na czubku głowy. Weszła do wanny, położyła się, wyprostowała nogi i westchnęła.

Po chwili, nucąc pod nosem, mydliła smukłe kończyny i rozmyślała o Hanku Cassidym, mężczyźnie, którego pocałunek z pewnością potrafi urzeczywistnić wszystkie jej erotyczne fantazje. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już za kilka godzin ten kuszący mężczyzna, który tak świetnie wyglądał w szytych na miarę garniturach, zrzuci ubranie i wyląduje w jej łóżku.

Claire zadrżała z rozkoszy i w tej samej chwili zganiła się w duchu. Czy powinna przygotować się na rozczarowanie? Jeśli faktycznie zdoła zwabić Hanka Cassidy'ego tutaj i go uwieść, to czy przeżyje zawód? A może Hank okaże się nie

bardziej ekscytujący w łóżku niż jej mąż? Czy ekstaza to pojęcie całkowicie odmienne dla mężczyzny i kobiety? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak kobieca ekstaza? A jeśli tak, czy stanie się ona jej udziałem?

Pukanie do drzwi wyrwało Claire z rozmyślań.

– Pomogę ci się ubrać – oświadczyła Olivia od progu apartamentu. – Dlaczego tu tak ciemno? – W jej głosie dało się wyczuć troskę. – Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym! – zawołała Claire. – Biorę kąpiel. Wyjdę za chwilę.

Olivia zabrała się do zapalania lamp.

– Lepiej się pospiesz – poradziła. – Nie chciałabyś się spóźnić na bal. Hank Cassidy mógłby przyjść i wyjść, nie zastając ciebie.

Claire nie wzięła pod uwagę tej ewentualności. Gdyby tak się stało, cały jej misterny plan spaliłby na panewce. Zmarszczyła brwi i zerwała się na równe nogi. Chwyciła duży biały ręcznik, pospiesznie się wytarła, cisnęła go na podłogę i złapała następny. Owinęła się nim i pobiegła do sypialni.

– Czy potrafisz ułożyć mi włosy w pięć minut! – zapytała.

Olivia tylko się uśmiechnęła.

– A czy potrafisz w pięć minut włożyć suknię balową?

Dwadzieścia minut później Claire biegła po schodach posiadłości ku podstawionemu powozowi. Na tarasie pozostała uśmiechnięta i dumna Olivia, która machała i patrzyła, jak pojazd się oddala.

Z założonymi rękami stała w tym samym miejscu jeszcze wtedy, gdy powóz zniknął w oddali, pozostawiając po sobie tylko kłęby kurzu, zawieszony w rozrzedzonym górskim powietrzu. Podniecenie i niecierpliwość Claire udzieliły się Olivii. Przypomniała sobie, jak to jest być młodą i tryskać energią.

Jej uśmiech wkrótce jednak przygasł. Westchnęła i zmarkotniała.

Nadal zdarzało się jej wspominać z najdrobniejszymi szczegółami tamtą ciepłą czerwcową noc, dawno temu, kiedy poznała jedyne go mężczyznę, którego naprawdę kochała. To dopiero było lato! Zaznała wtedy prawdziwego szczęścia. Tamte cudowne marzenia... Do chwili gdy...

Otrząsnęła się z bolesnych wspomnień, odwróciła i weszła do cichego domu.

Parę minut po dwudziestej pierwszej wszyscy skierowali wzrok na Claire, kiedy oficjalnie zaanonsowana przez rozpromienionego gospodarza, W. K. Vanderbilta, wkroczyła do zatłoczonej sali balowej hotelu United States.

Patrzyli na nią wszyscy z wyjątkiem jednej osoby.

Claire zlustrowała zebranych wzrokiem i natychmiast rozpoznała Hanka Cassidy'ego po charakterystycznych szerokich ramionach, połysku czarnych jak noc włosów i imponującym wzroście. Stał do niej plecami. W przeciwieństwie do reszty gości nie odwrócił się ani w żaden inny sposób nie okazał, że jest świadomy jej obecności.

Claire ponownie popadła w zwątpienie.

– Czy mogę panią prosić o ten taniec? – spytał Parker Lawson i nie musiał długo czekać na odpowiedź.

Pozostałe pary przerwały płąsy i patrzyły, jak zachwycony Lawson wiruje z księżną na błyszczącym parkiecie. Włosy Claire lśniły złościście w świetle żyrandoli, a spod błękitnej sukni z szyfonu od czasu do czasu wyzierały kształtne kostki. W pewnej chwili Claire uśmiechnęła się i uniosła rękę, aby w ten sposób zachęcić innych do kontynuowania zabawy.

Wśród śmiechów i oklasków parkiet ponownie się zapełnił. Hank Cassidy w końcu się odwrócił, lecz pozostał na drugim końcu sali. Stał z założonymi rękami, a na jego przystojnej twarzy widniał grymas niezadowolenia.

Hank zmrużył oczy i patrzył, jak księżna sunie po parkiecie, obraca się i śmieje. Kiedy orkiestra umilkła między jedną melodią a drugą, Claire z gracją położyła dłoń na ramieniu jegomościa w średnim wieku. Nieznajomy nie krył zadowolenia.

Samozwańcza księżna jak zwykle wyglądała oszłamiająco. Jasne ramiona były obnażone, a obcisła górna część sukni eksponowała piersi w wyjątkowo kuszący sposób. Złote włosy księżna upięła na czubku głowy w misterny kok, lecz kilka niesfornych kosmyków wymknęło się spod spinki.

Hank zapragnął przysunąć usta do karku Claire, aby oddechem wzbudzić w niej dreszcz podniecenia. Miał ochotę wyciągnąć szpilki z fryzury i patrzeć, jak włosy spływają po plecach i ramionach Claire.

– Księżna najwyraźniej cię ignoruje. – Hank odwrócił się i ujrzał, że Caroline Whit dyskretnie się do niego podkradła. – Obserwowałam ją uważnie przez ostatnie dwa tygodnie i obawiam się, że twoje szanse są znikome. – Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Moje szanse? – powtórzył. – Na co?

– Och, to oczywiste. Z pewnością wiesz, że wszyscy w Saratodze mówią tylko o tym, iż księżna Beaumont jeszcze nie wybrała kochanka. – Caroline wskazała dłonią parkiet. – Największe szanse daje się Parkerowi. Nie zdziwiłabym się, gdyby dawno oczekiwane zbliżenie nastąpiło dzisiaj. A ty? – Skierowała na niego

wzrok.

– A ja bym powiedział, że to nie moja sprawa. Ani twoja – dodał.

– Och, wręcz przeciwnie – zaprotestowała z naciskiem. – Jeśli księżna wybierze Lawsona na kochankę, ja będę mogła zagarnąć ciebie. – Wsunęła mu rękę pod ramię. – Mam pomysł, Hank – szepnęła. – Dam ci coś, czego ona nigdy by ci nie dała. Zrobię wszystko, czego zapragniesz. Wszystko. Wyjdźmy stąd. Pojedziemy do twojej willi i...

– Czy mogę panią prosić do tańca? – zabrzmiał głos grubego, śniadego i wąsatego Gordona Lancastera, którego majątek wyceniano na wiele milionów i który szukał żony.

– Pani Whit z ochotą z panem zatańczy – odparł – Hank w imieniu Caroline, oswobodził się z jej uścisku i przekazał niedoszlą kochankę następcy.

Caroline mruknęła pod nosem coś niepoehlebnego na temat Hanka, ale odeszła tanecznym krokiem, a wokół niej skakał uśmiechnięty i zachwycony Gordon Lancaster.

Hank ponownie założył ramiona na piersi, odetchnął z ulgą i rozejrzał się w poszukiwaniu błękitnej sukni. Księżna już nie tańczyła. Stała odwrócona plecami do niego i rozmawiała z czterema damami.

Choć Claire gawędziła z uśmiechniętymi potakującymi kobietami, wyraźnie poczuła na sobie spojrzenie Hanka. Wiedziała, że Król Srebra ją obserwuje, więc się roześmiała, potrząsnęła głową i udawała, że jest całkowicie zajęta rozmową.

W pewnej chwili damy zamilkły.

Claire domyśliła się, że Hank idzie przez parkiet prosto ku niej. Mimo to cały czas mówiła. Nagle przerwała w połowie zdania, bo ciepła męska dłoń chwyciła ją za łokieć. Wysoki, pewny siebie Hank Cassidy bardziej rozkazał, niż spytał:

– Zatańczymy, księżno.

Skinął głową rozmówczyniom Claire i zaprowadził ją na parkiet.

– Nie zaczekał pan na przyzwolenie – zauważyła i popatrzyła na niego znacząco. – A jeśli nie mam ochoty z panem tańczyć?

– A jeśli sprawię, że zapragnie pani ze mną tańczyć? – Objął ją w pasie.

– A jeśli to wykluczone?

– . A jeśli dowiodę, że wręcz przeciwnie? – Hank uśmiechnął się szatańsko.

– A jeśli...

– A jeśli wreszcie się zamkniesz, to zobaczysz, co się stanie.

– Ależ...

– Cicho – rozkazał. Przystawił ich zaciśnięte dłonie do swojej klatki piersiowej i przywarł gładko ogoloną szczęką do skroni Claire.

Zadowolona Claire udawała dezaprobatę. Nie zamierzała unieść wolnej ręki i kłaść jej na ramieniu partnera, ten jednak wydawał się niezrażony. Przekonany o swoich wybitnych zdolnościach tanecznych i zdecydowany dowieść księżnej, jak przyjemnie jest płasć w jego ramionach, odważnie przytulił ją mocniej i zaczął powoli krążyć po parkiecie.

Zauroczona, ledwie uświadamiała sobie, z jakim zainteresowaniem obserwują ich zgromadzeni na balu goście. Nagle wszyscy zaczęli szeptać do siebie i komentować to, co wyprawiał Hank. Po chwili Claire przestała zwracać uwagę na otoczenie. Istniał tylko Hank.

Był wybornym tancerzem. Gracja i zwinność ruchów umożliwiały mu płynne prowadzenie partnerki. Wspólnie kołysali się i obracali, jakby tworzyli jedno ciało. Claire uznała, że to niesłychanie emocjonujące.

W końcu uniosła wolną rękę, położyła ją na ramieniu Hanka. Miał odrobinę za długie włosy, lecz jego lśniące pukle prezentowały się bardzo atrakcyjnie, dotykając sztywnego kołnierza białej koszuli. Palce Claire wbrew jej woli musnęły jedwabiste kosmyki na jego karku.

Hank lekko opuścił głowę i przyłożył usta do jej ucha. Była pewna, że pragnie coś jej powiedzieć. Może chciał zachęcić ją, by wspólnie opuścili bal, albo wyznać, że pragnie wyłącznie jej i nikogo więcej.

Nie powiedział jednak ani słowa, tylko mocno ją przytulił. Claire niemal zemdląła z wrażenia i rozkoszy. Jego ciało przywarło do niej w sposób, który z pewnością stanowił preludium późniejszych miłosnych igraszek.

Ledwie zdołała złapać oddech. Czuła, jak mocno wali mu serce, a jego twarde uda ocierają się o nią przez ubranie. Zamknęła oczy i westchnęła z zachwytem. Chciała oddać się temu mężczyźnie, który ją zdominował i sprawił, że rozkwitła niczym egzotyczny kwiat.

Claire zamrugła powiekami, kiedy muzyka urwała się nagle, a jej partner równie raptownie wypuścił ją z objęć.

– Dziękuję, księżno – powiedział Hank, odwrócił się i odszedł.

Serce łomotało Claire po tym pełnym erotyzmu tańcu. Patrzyła, jak jej partner oddala się, i nie mogła wykrztusić ani słowa. Uginały się pod nią kolana, była bliska omdlenia, on zaś zostawił ją, jakby nic między nimi nie zaszło.

Zmarszczyła brwi i przygryzła wargę, gdy Hank nieoczekiwanie przystanął i wziął w ramiona rudowłosą Caroline Whit, by z nią *zatańczyć*.

Claire w popłochu rozejrzała się w poszukiwaniu partnera do tańca. Momentalnie ruszyło ku niej sześciu ochotników; podała dłoń pierwszemu z brzegu. Przez następną godzinę tańczyła, śmiała się i flirtowała ze wszystkimi przygodnymi dżentelmenami.

Jednocześnie jednak uważnie obserwowała Hanka Cassidy'ego.

Hank stał na wyludnionym tarasie przed hotelem i w mroku letniej nocy samotnie palił cygaro.

Minęła godzina jedenasta i bal trwał w najlepsze.

Król Srebra nie wierzył własnym oczom, kiedy elegancko ubrana księżna wyszła z budynku, ruszyła prosto ku niemu i oświadczyła cicho:

– W środku jest okropnie duszno. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Hank popatrzył na nią z zachwytem. Uniósł rękę, dotknął złotego łańcuszka, który wieńczył szyję Claire, i powoli przesunął po nim palcami, docierając do miejsca, w którym medalion zniknął za głęboko wyciętym dekoltem.

Przez chwilę bawił się medalionem, spoczywającym między pełnymi piersiami Claire.

– Nie po to tutaj przyszłaś, księżno – oświadczył oskarżycielskim tonem.

Claire poczuła, jak jego ciepłe palce muskają jej skórę. Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– Nie – przyznała. – Rzeczywiście, nie po to. Powiem prawdę. Jeśli natychmiast mnie nie pocałujesz, zacznę sądzić, że mnie nie lubisz.

Rozdział 14

Hank bez słowa wyrzucił cygaro za balustradę tarasu. Objął Claire w talii, przyciągnął ją do siebie, pochylił ciemnowłosą głowę i pocałował od dawna upragnioną kobietę w usta.

Nie był to zdawkowy wytworny pocałunek. Przeciwnie, pocałował ją gorąco, zaborczo, jak przystało na rozpalonego mężczyznę, świadomego, co robić, by wzbudzić w kobiecie namiętność. Właśnie takiego kochanka Claire potrzebowała. Zwarli się w pocałunku głębokim, pełnym pasji. Oboje wiedzieli, że to tylko preludium tego, co ich wkrótce połączy.

Rozdygotana, wstrząśnięta faktem, że Hank z taką łatwością potrafi wprowadzić ją w stan silnego podniecenia, Claire bez przekonania próbowała się odsunąć. Jednak Hank nie zamierzał na to pozwolić. Przytrzymał jej głowę, aby nie mogła się ruszyć.

Długi, gorący pocałunek trwał.

Nawet gdy nieopodal rozległy się głosy, świadczące o tym, że goście opuszczają hotel i tłumnie wychodzą na taras, Hank nadal całował Claire. Podczas gdy jego rozpalone usta nabrzmiały z namiętności, a zwinny język muskał podniebienie Claire, Hank zsunął dłoń z jej talii, przesunął po apetycznej krzywiznie biodra i dotknął okrągłych pośladków, ukrytych pod fałdami obfitej, szyfonowej sukni. Przywarł do Claire, aby się przekonała, jaki ma na niego wpływ.

Claire zamknęła oczy, na jej policzkach wykwitł rumieniec. Doskonale wiedziała, że musi położyć kres tej sytuacji. Nie mogli się dłużej całować, bo jeszcze chwila i zaczęliby uprawiać miłość tam, gdzie stali, na hotelowym tarasie.

Uniosła ręce i położyła je na torsie Hanka, by go odepchnąć. W końcu oderwał od niej usta, uniół głowę i popatrzył na Claire roznamiętnionym wzrokiem. Był już pewien, że jego wybranka jest gotowa do tego, aby ją posiadać.

Jednak namiętność ustąpiła złości i frustracji, kiedy Claire ponownie go rozczarowała.

– A teraz dobranoc – oświadczyła i stłumiła ziewnięcie.

Następnie się odwróciła i odeszła. Wiedziała, że Hank patrzy za nią, bo wyczuwała na sobie jego pożądliwe spojrzenie.

Claire bez pośpiechu przeszła przez taras, zeszła po schodach i ani razu się nie odwróciła.

Kiedy dotarła do oczekującego ją powozu, odetchnęła głęboko i usiadła na miękkiej skórzanej kanapie, po czym zamknęła oczy i uśmiechnęła się, zadowolona. Przez dwadzieścia siedem lat życia jeszcze nikt nigdy nie pocałował jej tak jak Hank Cassidy.

Usta, które potrafiły tak całować, z pewnością zafascynowałyby nawet zatwardziałe sekutnice. Nic więc dziwnego, że taki pocałunek bez trudu podbił jej serce. Musiała jednak pamiętać, że nie jest już prostoduszną Claire Orwell, tylko dojrzałą i doświadczoną księżną Beaumont. Musiała zachowywać się stosownie do odgrywanej przez siebie roli. Innymi słowy, gdy zostanie w swoim apartamencie sam na sam z Hankiem, nie będzie mogła demonstrować ani odrobiny nieśmiałości. Nie wolno jej będzie także okazywać zdumienia tym, co on będzie robił i mówił.

Uśmiech Claire przygasł, ustępując miejsca trosce. Jak dotąd wszystko wydawało się stosunkowo łatwe. Udało się jej skutecznie przekonać Hanka i resztę gości w Saratodze, że jest wyrafinowaną księżną, która uwielbia dobrą zabawę. Nie napotkała na swej drodze ani jednego niedowiarka. Nikt nie okazał cienia podejrzenia, wszyscy brali jej słowa za dobrą monetę. Czy jednak będzie potrafiła wiarygodnie udawać kogoś innego w łóżku?

Zarumieniła się na samą myśl o tym, co ją nieuchronnie czeka. Niewiele wiedziała o uprawianiu miłości. Jej mąż był niemal równie skryty w sprawach seksu jak ona. Nigdy dotąd nie dała się ponieść fali namiętności tak intensywnej, by zapomnieć o zahamowaniach. Nie miała okazji spędzić cudownych chwil wraz z oszalamiająco przystojnym kochankiem. Nie kochała się przy zapalonym świetle. Nie uprawiała seksu za dnia. Miłość fizyczna wchodziła w grę wyłącznie w łóżku.

I jeszcze nigdy nie uprawiała seksu w innej pozycji niż klasyczna.

Claire westchnęła. Dotąd nie doświadczyła ulotnej tajemnicy orgazmu.

Dotarła do domu przepelniona wątpliwościami. Jednocześnie była rozgorączkowana przez niespokojne wyczekiwanie na to, co od dawna planowała.

Gdy tylko minęła próg, uniosła suknię i natychmiast pobiegła na górę. Tam wyciągnęła z porcelanowego wazonu dwie róże koloru kości słoniowej i popędziła na dół. Wyszła przed drzwi frontowe i zaczęła zrywać płatki jednego z kwiatów. Pierwszy płatek upuściła na szerokich schodach od frontu budynku, potem cofnęła się przez taras ku drzwiom, po drodze rzucając następne płatki.

W domu utworzyła wyraźną ścieżkę z płatków, która wiodła przez marmurowy hol w bieli i czerni ku wielkim schodom. Upuszczając co najmniej po jednym płatku na każdy kryty dywanem stopień, Claire uśmiechała się łobuzersko. W końcu dotarła przed dwuskrzydłowe drzwi apartamentu.

Pozostałe płatki rozsypała na progu.

Weszła do środka i podążyła prosto ku przestronnej łazience. Rozebrała się i wzięła jeszcze jedną gorącą kąpiel. Kiedy wyszła z wanny i osuszyła całe ciało, sięgnęła po wykwintne francuskie perfumy i oszczędnie skropiła się za uszami, między piersiami i w zgięciach kolan.

Zupełnie naga przemaszerowała do bawialni apartamentu. Wzięła do ręki jeszcze trzy róże o barwie kości słoniowej i podeszła do łóżka. Zerwane płatki rozrzuciła na jedwabnej pościeli oraz poduszkach. Na koniec oderwała łodyżkę ostatniej róży i wpięła wonny kwiat we włosy, tuż ponad lewym uchem.

Dla zabicia czasu, w oczekiwaniu na podniecającą, erotyczną przygodę Claire wyszła na balkon i głęboko odetchnęła świeżym górskim powietrzem. Noc była chłodna, lecz Claire czuła, że wypełnia ją ciepło. Nie, nie ciepło. Żar. Była rozpalona perspektywą spotkania z mężczyzną, który wkrótce zjawi się w jej apartamencie i weźmie ją w ramiona.

A jeśli nie?

Może nietrafnie go oceniła? Albo błędnie oszacowała własne możliwości?

Zdjęta wątpliwościami, odwróciła się i weszła do pokoju. Podniosła piękną, koronkową koszulę nocną, kupioną wyłącznie na tę jedną okazję. Włożyła ją przez głowę i czekała, aż delikatny materiał miękko osunie się po jej ciele, aż do kostek. Nie potrafiła się powstrzymać i postanowiła zerknąć do lustra.

Podeszła do zwierciadła, znieruchomiała przed nim i przygryzła dolną wargę. Równie dobrze mogłaby paradować nago. Koronki niczego nie ukrywały. Spojrzała na francuski zegar o tarczy z masy perłowej, ustawiony na półce nad kominkiem, wykonanej z białego marmuru.

Zesztywniała. Właśnie o tej porze Hank powinien otrzymać wiadomość.

Hank nie mógł zasnąć. Minęła druga w nocy, a sen nie nadchodził. Na dodatek był zaniepokojony. Leżał w łóżku, ręce trzymał splecione za głową, patrzył na sufit i w duchu przeklinał okrutną piękność, która znajdowała przyjemność w znęcaniu się nad nim.

W pewnej chwili zmarszczył brwi i oderwał głowę od poduszki, gdy usłyszał pukanie do drzwi willi. Usiadł, opuścił długie nogi na podłogę i wstał. Chwycił czarny szlafrok z jedwabiu, rzucony na materac, wsunął ręce w rękawy i naprędcę zawiązał pasek.

– Idę! – zawołał i ruszył przez pogrążoną w półmroku willę ku drzwiom. Zirytowany tą nieoczekiwaną nocną wizytą, gwałtownie otworzył drzwi. – O co

chodzi?! – spytał głośno.

Na progu stał pracownik hotelu, ubrany w elegancki uniform, i trzymał srebrną tackę, na której spoczywała zaklejona koperta. Zanim zaskoczony Hank zdążył cokolwiek powiedzieć, posłaniec wręczył mu kopertę, obrócił się na pięcie i odszedł.

Oszołomiony Hank zamknął drzwi, przeszedł do bawialni i zapalił światło. Gdy rozdarł kopertę, ze środka wypadł płatek róży w kolorze kości słoniowej i poszybował na podłogę. Hank rozłożył list i przeczytał: „Nie mogę spać. Wiem, że Ty również. Nim zaświta, przyjdź do mojego domu. Wspólnie obejrzymy wschód słońca. Znajdziesz mnie, jeśli podążysz szlakiem płatków róż. Czekam. Czekam na Ciebie. Charmaine Beaumont”.

Odłożył list na stół, schylił się i podniósł płatek róży. Położył go na środku dłoni i pogrążył się w rozmyślaniach. Nie wiedział, czy powinien skorzystać z zaproszenia.

A jeśli pojedzie do niej i zastanie zamknięte drzwi? Czy księżna tak bardzo lubiła robić z niego durnia, że chciała sobie popatrzeć przez okno, jak Hank bezradnie dobija się do drzwi zamkniętych na cztery spusty?

Do diabła z nią!

Co ona sobie myślała? Z kim miała do czynienia, w swoim mniemaniu? Ze sztubakiem, który nigdy nie widział ładnej kobiety? Nie powinna uważać go za marionetkę, na litość boską! Miał dość księżnej i jej męczącego stylu bycia.

Chociaż zrezygnował z odwiedzin, jego ciało pragnęło czegoś całkiem przeciwnego. W następnej sekundzie pospiesznie się ubierał.

Niecałe pół godziny po odebraniu przesyłki od umyślnego Hank wysiadał z wynajętego powozu przed wejściem do posiadłości księżnej.

– Proszę tutaj zostać – polecił woźnicy, wręczając mu zapłatę za kurs. – Jeśli nie wrócę w ciągu dziesięciu minut, może pan jechać.

Następnie się odwrócił i skierował wzrok na pogrążony w mroku budynek. Do drzwi frontowych prowadziła ścieżka z płatków róży. Podeszedł, chwycił mosiężną klamkę i wstrzymał oddech.

Drzwi ustąpiły. Otworzył je bez trudu i wszedł do środka.

Znieruchomiał w przestronnym holu o wysokim sklepieniu. Żyrandol dawał przytłumione światło, które z trudem rozjaśniało pomieszczenie. Hank skierował wzrok na podłogę w czarno-biały wzór.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Na marmurach spoczywały rozrzucone płatki róży, prowadzące prosto do schodów.

Spojrzał na półpiętro i cicho wszedł na pierwsze stopnie. Różany szlak prowadził do białych, dwuskrzydłowych drzwi na szczycie schodów. Hank zatrzymał się tam i znowu zerknął na podłogę. Płatkowa ścieżka kończyła się przed zamkniętymi drzwiami.

Rozdział 15

Hank nie zapukał.

Wszedł do środka i w ciszy zamknął za sobą drzwi. Szlak płatków róży zaprowadził go przez wyłożoną białym dywanem bawialnię do sypialni.

Na progu zaparło mu dech z wrażenia.

Na nocnym stoliku paliła się tylko jedna lampa. Ujrzał piękną księżną Beaumont, która na wpół leżała, na wpół klęczała na środku dużego łoża nakrytego jedwabną pościelą w kolorze kości słoniowej.

Złociste włosy powabnej damy, rozpuszczone i spływające na jej nagie ramiona, zdobiła róża, również barwy kości słoniowej. Koronkowa nocna koszula była do tego stopnia przejrzysta, że prześwitywały przez nią duże, kształtne piersi, a także trójkąt gęstych, złotych loków między udami.

Nie odrywając wzroku od księżnej, Hank zdjął buty i czarne skarpety, a następnie podszedł po płatkach prosto do łóżka. Wspiął się na materac i uklął pośród rozrzuconych płatków róży. Popatrzył na przepiękne oblicze Charmaine Beaumont. Przez kilka długich sekund zaglądał jej w oczy, nim spytał:

– Ile razy cię widziałem, księżno?

– Nie wiem – odparła ze zniewalającym zmysłowym uśmiechem. – Tuzin. Może więcej. Trudno powiedzieć.

– Z każdym spotkaniem stajesz się coraz piękniejsza – zauważył szczerze.

– Dziękuję.

– Proszę.

Hank nadal był spięty, bo nie wiedział, co powie i co zrobi urocza i niesłychanie pociągająca, a przez niego upragniona kobieta. Odprężył się dopiero wtedy, gdy księżna oznajmiła:

– Ciepło tutaj. Bardzo ciepło – dodała. – Zdejmij koszulę, Hank.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, księżno – szepnął. – Jeśli mam pozostać bez ubrania, sama musisz się tym zająć – Z przyjemnością – odparła. Uniosła dłonie i przystąpiła do rozpinania guzików koszuli.

Gdy jej zwinne palce muskały ciało i ubranie Hanka, powiedział cichym aksamitnym głosem:

– Jedyne, czego pragnę, to kochać się z tobą.

– Wiem – odparła, jak przystało na pewną siebie światową kobietę, którą Claire

tak zręcznie udawała. – Dobrze o tym wiem, Hank. – Rozchyliła – jego koszulę, dotknęła wargami nagiego torsu i obsypała go delikatnymi pocałunkami, Hank wstrzymał oddech. Po chwili rzucił koszulę na podłogę i wyciągnął ręce ku księżnej. Wziął ją za ramiona i zmusił do podniesienia głowy.

– Popatrz na mnie – zażądał.

Claire była zajęta podziwianiem pięknej rzeźby mięśni jego ramion i torsu, a także płaskiego brzucha.

– Powiedziałem, żebyś na mnie popatrzyła – powtórzył. Claire powoli podniosła głowę i zajrzała mu w oczy. – Twoje gierki dobiegły końca, a moja cierpliwość jest na wyczerpaniu – oznajmił surowo.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Wezwałeś mnie. Przyjechałem. Wiesz, po co tu jestem.

– To prawda, Hank.

– Chcę się z tobą kochać i nie chodzi mi o nic innego. Rozumiesz?

Claire uśmiechnęła się i pokiwała głową. Hank nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jeżeli zamierzasz co innego, jeżeli postanowiłaś dręczyć mnie, a potem wycofać się w ostatniej chwili, to masz pecha. – Uniósł rękę, zahaczył kciukiem o wąskie, koronkowe ramiączko koszuli nocnej i zsunął je z ramienia Claire.

– Pragnę, byś się ze mną kochał, Hank – wyznała i nawet nie drgnęła, gdy zsuwał drugie ramiączko. – Właśnie dlatego zaprosiłam cię tutaj.

Koronki osunęły się, ale zatrzymały na pełnych piersiach. Claire była pewna, że Hank zaraz je obnaży. Tymczasem wziął ją za rękę i popatrzył na nią spod przymrużonych, ciężkich powiek.

– Jesteś grzechu warta. – Nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia. – Nawet nie podejrzewasz, jak bardzo cię pragnę.

– A ja ciebie – zapewniła go. – Jest tylko jeden problem.

Hank zmarszczył brwi.

– Jaki?

Uśmiechnęła się do niego.

– Oboje musimy pamiętać, że chodzi wyłącznie o krótkotrwały letni romans. Nic więcej. Bez żadnych zobowiązań i wzajemnych oskarżeń, gdy nadejdzie kres.

– Dobraś sobie partnera w korcu maku, księżno – odparł rozbawiony Hank. Mówił zupełnie szczerze.

Lekko rozczarowana Claire przechyliła głowę na bok.

– Och, doprawdy? – spytała z przekąsem. – Taki jesteś pewien, że ani trochę się we mnie nie zakochasz?

– Jestem o tym przekonany, podobnie jak o tym, że zapomnisz o mnie w chwili wyjazdu z Saratogi. Jesteśmy ludźmi tego samego pokroju. Rozumiemy się bez słów.

Hank ukląkł i przyciągnął Claire do siebie. Momentalnie poczuła, jak pod koronkowym materiałem sztywnieją koniuszki jej piersi.

– Nie traćmy cennego czasu. – Pocałuj mnie, Charmaine. Pocałuj.

Claire skinęła głową na znak zgody, oparła dłonie na ramionach Hanka i lekko musnęła ustami jego wargi. Zdumiało ją i rozczarowało, że zareagował ozięble. Ponowiła próbę, lecz nic nie wskórała. Filuternie przesunęła językiem po wargach Hanka, przygryzła jego pełną, dolną wargę. Otoczyła go rękami w pasie i obsypała jeszcze bardziej namiętymi pocałunkami. Wsuwała mu język między zęby, aby go dotykać i drażnić. Całowała go raz za razem, bezustannie. Na koniec się odsunęła.

– Co się stało? – spytała niespokojnie. – Robię coś niedobrze?

W tej samej chwili dostrzegła szatański błysk w jego pięknych błękitnych oczach. Natychmiast zrozumiała, że bawił się z nią tak samo jak ona z nim.

– Dość gierki, Hank – ostrzegła go. – Nie ciągnij tego dłużej.

– W takim wypadku... – Oderwał ręce Claire od swojego ciała. Całą uwagę skupił na jej kremowych piersiach. Nie dotknął ich jednak. Jeszcze nie. Wolał położyć dłoń na jej biodrze i podciągnąć koronkową nocną koszulę Claire pomogła mu, unosząc najpierw jedno kolano, potem drugie. Po chwili Hank posadził ją z powrotem na piętach i podciągnął koronki powyżej jej zgrabnych kolan, ale nie dalej.

Nagle poczuła się bezbronna i straciła pewność siebie. Ogarnęło ją nieznane dotąd zdenerwowanie. Nie była zdecydowana na to, co mogło nastąpić. Zadrzała, gdy Hank impulsywnie pochylił głowę i pocałował ją w prawe kolano. Zaczęła szybko oddychać po tym, jak Hank powoli przeciągnął gorącymi wargami po jej udzie.

Przestraszona, że Hank będzie sunął wyżej, i niespokojna, bo mógłby przestać, Claire wstrzymała na chwilę oddech i wypuściła powietrze, gdy podniósł głowę i uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

Następnie bez jednego słowa oboje przytulili się do siebie. Hank popatrzył w lśniące fiołkowe oczy Claire.

– Pocałuj mnie raz jeszcze – zażądał. – Tym razem nieco ci pomogę.

Skinęła głową i ochoczo przycisnęła wargi do jego ust. Hank zareagował natychmiast. Przechylił głowę i rozsunął jej usta językiem. Podobnie jak na tarasie hotelu United States, Claire uznała jego pocałunek za niewiarygodnie podniecający

i tak wstrząsająco intymny, jakby już uprawiali miłość.

Zamknęła oczy i nagimi piersiami przywarła do twardego torsu Hanka. Klęczała na rozrzuconych płatkach róży, w jedwabnej pościeli, i całowała najbardziej podniecającego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek dane jej było znać. Czuła się jak w niebie. Przeszło jej przez myśl, że gdyby oboje postanowili zakończyć pieszczoty na tym etapie, byłaby całkowicie usatysfakcjonowana.

Po chwili zmieniła zdanie. Miała wrażenie, że nie nasyci się jego ognistymi pocałunkami. Nagie sutki Claire sterczały i były tak obolałe jak jeszcze nigdy dotąd. Żywiła nadzieję, że Hank nie ma pojęcia, jak silnie działają na nią pocałunki. Skąd mógłby przecież wiedzieć, że ma do czynienia z niewprawną nowicjuską, której uspięte namiętności potrafił obudzić bez najmniejszego trudu?

Palce Hanka głaskały szyję Claire i sunęły niżej, ku piersiom, palące pocałunki nie ustawały. Czuła się tak, jakby jej ciało stanęło w płomieniach. Pocałunki Hanka stały się pożądliwe i zaborcze. Językiem sięgał głęboko, aż Claire doznawała dreszczy rozkoszy.

Po kilkudziesięciu gorących, namiętnych pocałunkach Hank odsunął się od Claire. Odchyliła głowę, oszołomiona. Opadła na pięty i podniosła na niego przepętniony namiętnością i pożądaniem wzrok. Najwyraźniej zadowolony z jej reakcji, Hank rozchylił kolana, wyciągnął ręce i objął Claire w talii. Przyciągnął kochankę ku sobie i po chwili znalazła się między jego nogami. Potem uniósł ją, pochylił się, wyszeptał jej do ucha kilka nieprzyzwoitości, po czym pocałował ją w szyję i powoli skierował usta ku piersiom.

Westchnęła i wstrzymała oddech, kiedy usta Hanka przesuwały się coraz niżej, powoli, niepokojąco, aż wreszcie musnęły pocałunkiem jej jędrną lewą pierś.

Ta pieszczota sprawiła, że Claire mimowolnie się wyprężyła. Hank kilka razy przesunął językiem po jej piersi; oddech Claire stał się szybszy i płytki, a jej dłoń zanurzyła się w gęstwinie kruczoczarnych włosów partnera. Instynktownie wypowiedziała jego imię i przytuliła go mocno.

Hank przesunął usta ku drugiej piersi, aby przez kilka rozkosznych sekund ją pieścić. Claire ponownie ucałowała jego zwichrzone włosy i bez sił opadła na pięty.

Podniósł głowę i przyjrzał się kochance.

Jeszcze nigdy w życiu nie widział równie pięknej kobiety. Siedziała w koronkowej koszuli, opuszczonej do bioder, z obnażonymi, idealnie kształtnymi piersiami. Rozpuszczone złociste włosy spływały jej na ramiona, a tuż nad uchem nadal tkwiła róża.

Oczy Claire błyszczały nieskrywanym pożądaniem, lecz mimo to emanowała z niej dziewczęca nieśmiałość. Hank uznał to połączenie za niesłychanie atrakcyjne. Od razu zapragnął ponownie wziąć ją w ramiona, czule głaskać i cierpliwie uczyć wszystkiego, jakby była zupełnie niewinna.

– Nie ruszaj się z miejsca, Charmaine – polecił i zwinnie zaszedł ją od tyłu. Zamrugła powiekami ze zdumienia: nie spodziewała się po nim takiej gracji i prędkości ruchów. Zrozumiała, że klęczy za jej plecami i przyciąga ją do siebie. Objął ją mocnym przedramieniem w talii i pocałował w kark i ramię.

Claire zamknęła oczy, kiedy zwolnił uścisk i położył dłoń na jej brzuchu. Następnie wsunął rękę pod koronkowy materiał i musnął biodra. Czowała jego delikatne palce na swym nagim brzuchu, kiedy głaskał ją łagodnie i przesuwiał się coraz niżej.

Westchnęła głęboko, uniosła ramię i objęła głowę Hanka. Serce biło jej jak młotem, całe ciało miała spięte. Czekwała. Pragnęła.

Tymczasem dłoń Hanka powoli osuwała się coraz niżej. Pod osłoną koronki łagodnie głaskał i pieścił jej brzuch. Kiedy dotarł do trójkąta złocistych loków, zaborczym ruchem przygarnął Claire.

– Dzisiejszej nocy jesteś moja – szepnął chrapliwie. – Cała moja.

– Tak, Hank – odparła cicho. – Weź mnie całą.

Uścisnął ją nieco mocniej i zdecydowanym ruchem przywarł biodrami do jej pośladków. Pocałował ją w skroń i zaczął pieścić.

– Ach – westchnęła, gdy jej dotykał. – Hank.

Och, Hank...

To, co robił, było cudowne. Claire była coraz bardziej niespokojna, jakby z jej ciałem działo się coś, nad czym nie potrafiła zapanować. Coś zmysłowego, intensywnego, budzącego lęk, obcego.

Hank z najwyższą uwagą obserwował księżnę. Chciał wiedzieć, co ją porusza, jakie są jej uczucia. Doskonale sobie uświadamiał, że jej podniecenie się nasila. Była tak rozpalona, że nie posiadał się ze zdumienia. Nie mógł wyobrazić sobie bardziej namiętnej kochanki, zachowywała się tak, jakby od dawna nie miała partnera. Rzecz jasna, było to wykluczone.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Zapowiadała się dzika i szalona noc.

Szepcząc czule słowa, Hank ofiarował księżnej to, czego pragnęła najbardziej. Było już za późno – przynajmniej na razie – by cofnąć rękę, rozebrać się, położyć kochankę na plecach, przywrzeć do niej całym ciałem i zanurzyć się w niej bez

opamiętania. Musiał poczekać.

– Hank, Hank, Hank... – Claire szeptała jego imię aż do utraty tchu.

Tymczasem on nadal pieścił ją i drażnił. Podczas tej rozkosznej zabawy szeptał jej do ucha czułe słowa. Mówił cichym, łagodnym tonem o rym, że bardzo pragnie dać jej tyle rozkoszy, ile tylko będzie chciała.

– Przez godzinę – zapewniał ją. – Przez noc.

Przez wieczność, moja słodka.

– Przez wieczność – powtórzyła.

Rozpalona i podniecona bardziej, niż mogła to sobie wyobrazić, Claire wiła się, wzdychała i poddawała coraz silniejszemu podnieceniu, kiedy mistrzowska dłoń Hanka zaspokajała jej żądze.

– Och... Och... Och... – zaczęła dyszeć, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu i oszołomienia.

Miała wrażenie, że lada moment eksploduje, rozleci się na milion kawałków i rozsypie po łóżku niczym gorący deszcz.

Hank nie zamierzał jej puszczać. Przytrzymał ją w miejscu, zacisnął przedramię na jej talii i przez cały czas ją pieścił. Po kilku sekundach rozpoczął się silny orgazm, który sprawił, że Claire krzyczała w ekstazie.

– Nie! Przestań! – zawołała. – Nie, nie przestawaj! Nigdy! – błagała go ze łzami w oczach, czując, że umarłaby, gdyby przestał.

– Nigdy, skarbie, nigdy – zapewnił ją kojącym głosem i nadal pieścił, aż wreszcie jej szalona ekstaza osiągnęła szczyt. Rozkosz eksplodowała w Claire z siłą erupcji wulkanu.

Jej mięśnie zwiotczały, przypominała szmacianą lalkę. Opadła na szeroki tors Hanka, z trudem łapiąc oddech. Skóra na jej ciele lśniła od potu. Claire miała ochotę wybuchnąć śmiechem, tak ogromne odczuwała szczęście.

Milczała.

Nie ośmieliła się wyznać Hankowi Cassidy'emu, że właśnie doświadczyła pierwszego orgazmu w życiu.

Rozdział 16

Claire nie była pewna, jak i kiedy to się stało, ale gdy doszła do siebie po krótkim cudownym odrętwieniu, uświadomiła sobie, że Hank siedzi na skraju materaca, stopy trzyma na podłodze, a ona zajmuje miejsce na jego kolanach. Jej koronkowa nocna koszula zniknęła. Gdzie mogła się podziać? Claire nie miała pojęcia. Była naga jak ją Pan Bóg stworzył. Co prawda, Hank prezentował zgrabny goły tors, ale cały czas miał na sobie spodnie. Jedną ręką otaczał ją w talii, a druga spoczywała na jej kolanach.

– Za gorąco tutaj – zauważył.

– Czyżby?

– Wyjdźmy na balkon, żeby się przewietrzyć i ochłodzić.

Claire ochoczo skinęła głową.

– Tak, wyjdźmy – przytaknęła. – Balkon jest starannie zasłonięty przed obcymi. Nikt tam nas nie zobaczy.

Hank uśmiechnął się szeroko.

– Sprawdziłaś to, przewidując taką sytuację jak ta?

– Tak – przyznała, uniosła rękę i koniuszkami palców dotknęła jego dolnej wargi. – Od pierwszej chwili, w której cię ujrzałam, zamarzyło mi się uprawianie z tobą miłości na tym balkonie, w blasku księżyca.

– Stanie się wedle twojego życzenia. – Wstał, nadal trzymając ją w ramionach. Gdy mijali otwarte dwuskrzydłowe drzwi, dodał: – Po raz pierwszy zobaczyłem cię na stacji kolejowej w Saratodze. Właśnie wysiadałaś z pociągu. Twoje włosy lśniły w promieniach słońca niczym czyste złoto. Od razu zapragnąłem cię posiąść.

Claire zachichotała.

– A ja pierwszy raz ujrzałam cię nieco później tego samego dnia – przypomniała sobie. – Wysiadałeś z powozu przed willą przy hotelu United States. Stałam wtedy i patrzyłam na ciebie. Natychmiast zapragnęłam, byś został moim kochankiem.

– Żałuję, że wtedy nie miałem o tym pojęcia. Powinnaś była mnie zawołać. Kochalibyśmy się jeszcze tego samego popołudnia.

– Szczęśliwie tego uniknęliśmy. Samo oczekiwanie sprawiło, że ta noc nabrała wyjątkowego charakteru. Przyznaj sam, teraz pragniesz mnie bardziej niż tamtego pierwszego dnia, czyż nie?

– Wzruszył nagimi ramionami.

– Pragnąłem cię wtedy, pragnę i teraz. – Przeniósł Claire przez pokój i podszedł do skąpanego w srebrzystym blasku balkonu. Zbliżył się do szerokiej balustrady, odwrócił się, oparł o nią i pocałował Claire. Gdy ich usta były złączone, powoli opuścił ją na ziemię.

Przez długą chwilę całowali się na świeżym powietrzu, a nocny wietrzyk szeleścił liśćmi na drzewach rosnących w ogrodzie i chłodził rozpalone ciała kochanków.

Momentalnie zatracili się w pieśczoście, a ich pocałunek stał się gwałtowny, łapczywy. Dłonie Hanka wędrowały po ciele Claire. Chwycił jej pośladki i zdecydowanym ruchem przycisnął ją do siebie.

Claire wyczuła, jak bardzo jej pragnie ten nadzwyczajny kochanek, co sprawiło, że ogarnęły ją duma i satysfakcja. Prowokacyjnie otarła się o Hanka, a on przytulił ją jeszcze mocniej. Wreszcie oderwała od niego usta i stanęła na palcach.

– Zamierzasz chodzić w spodniach przez całą noc? – szepnęła.

Odsunęła się odrobinę i cały czas wpatrując się w oczy kochanka, rozpięła mu pasek.

Hank nie pomógł jej w żaden sposób. Stał zupełnie nieruchomo i patrzył, jak Claire go rozbiera. Wsunęła dłonie za pasek na biodrach. Zaczekała odrobinę, a następnie ściągnęła spodnie, które z cichym szelestem opadły po długich umięśnionych nogach i znieruchomiały u bosych stóp. Hank wysunął je z nogawek i kopnął spodnie na bok.

Ponownie przyciągnął Claire ku sobie, objął ją mocno i przytrzymał.

Odetchnęła głęboko. Gotowość kochanka prowokowała jej organizm do niewiarygodnie silnych reakcji. Z początku były to fale gorąca wokół piersi, potem dołączył do tego silny, lecz przyjemny ucisk w dole brzucha.

Hank pochylił głowę i pocałował Claire w usta.

Otoczyła ramionami jego szyję. Stała naga w mroku nocy, słaba i pokorna przy imponującym, ze wszech miar męskim kochanku. Zapewniał jej doznania o wiele bardziej fascynujące niż te, których doświadczała w najśmielszych sennych marzeniach.

Zamrugnęła powiekami, kiedy wreszcie przerwał pocałunek. Uniósł ręce, objął dłońmi twarz Claire i wbił w nią wzrok. Jego oczy lśniły niczym ślepią zaczajonego w mroku drapieznika. Miały na nią hipnotyczny, oszalamiający wpływ. Zadrżała, świadoma ich mocy. Nie mogła poddawać się bez oporu, musiała się przeciwstawić, aby nie uznał jej za łatwą zdobycz.

– Dotknij mnie, Charmaine – zażądał cichym, stanowczym głosem i odsunął ją

od siebie.

Ponownie opuścił ręce i czekał. Claire się nie wahała. Natychmiast przystąpiła do szczegółowych, intymnych oględzin jego ciała. Przesunęła dłońmi po muskularnej klatce piersiowej i dotarła do wąskiej talii.

Była zdecydowana zachowywać się tak, jak na kobietę wyzwoloną przystało. Uważał ją za osobę bezpruderyjną i musiała utwierdzić go w tym przekonaniu. Ze zdumieniem spostrzegła, że przychodzi jej to bez najmniejszego trudu. Ten niewiarygodnie przystojny i zmysłowy mężczyzna sprawiał, że postępowała jak nimfomanka, której jedynym pragnieniem jest oddać ciało do całkowitej dyspozycji partnera.

Pogłaskała tors Hanka i położyła dłonie na jego płaskich, brązowych sutkach. Przez kilka sekund stała nieruchomo, napawając się twardością mięśni kochanka, gładkim ciepłem skóry. Następnie pochyliła się, wysunęła koniuszek języka i musnęła ostrożnie ciało Hanka.

Uniosła głowę, spojrzała mu w twarz, przesunęła dłoń niżej i palcem wskazującym zatoczyła koło wokół jego pępka. Potem pogłaskała szlak ciemnych włosów na brązowym brzuchu, celowo układając dłoń tak, aby otrzeć nią o jego męskość.

Hank czekał, wstrzymując oddech. Po chwili niespokojnie wypuścił powietrze z płuc, kiedy otoczyła go smukłymi palcami.

Claire nie mogła ukryć podniecenia. Nagle uświadomiła sobie, że w tej chwili wcale nie jest słabą płcią. Dominowała. Sprawowała całkowitą kontrolę nad tym silnym mężczyzną.

– Teraz mogę tobą pokierować...

– To prawda – potwierdził chrapliwie. – Zrób to. Zabierz mnie, gdzie chcesz.

– Chodź tędy – rozkazała cicho. Nie puszczając – go, powoli i ostrożnie przeszła kilka metrów i zatrzymała się przy miękkim szezlongu. – Czy będziesz się ze mną kochał tutaj, w blasku księżyca?

Natychmiast przełożył nogę i usiadł w poprzek mebla. Spojrzał pytająco na Claire.

– Dołączysz do mnie? – zapytał.

Odetchnęła głęboko i usiadła okrakiem na szezlongu, twarzą do Hanka, który wyciągnął rękę, wziął kochankę pod brodę, pochylił się i ją pocałował. Jego usta chciwie przywarły do jej warg, przyciągnął ją ku sobie. Claire otoczyła ramionami jego szyję.

Ich usta się rozłączyły.

Hank pomógł Claire unieść biodra i patrzył, jak ostrożnie nakierowuje na siebie jego męskość. Kiedy wsunął się w nią odrobinę, położyła mu ręce na ramionach.

Znieruchomiał, Claire zaś ostrożnie osunęła się na niego powoli i zmysłowo.

Oślepiiony namiętnością, którą księżna bez trudu w nim wzbudzała, Hank musiał przywołać całą siłę woli, aby powstrzymać się przed natychmiastowym wybuchem rozkoszy.

– Wszystko dobrze, skarbie? – spytał, gdy w końcu usadowiła się na nim wygodnie.

– Hank, czy masz pojęcie, jak cudownie jest ciebie wyczuwać? – szepnęła bez tchu.

– Och, kochanie, jest mi po prostu fantastycznie.

– Kochaj mnie, Hank. Kochaj mnie tak, jak chcesz.

– Pochylił się, by przysunąć wargi do jej ciepłych piersi. Jednocześnie zacisnął dłonie na jej udach i poruszył biodrami. Claire odetchnęła głęboko przy pierwszym pchnięciu, lecz wkrótce wyczuła jego rytm i razem mogli unosić się i opadać w odwiecznym miłosnym tańcu. Claire nie zamierzała się hamować. Wołała poddać się dzikiemu pożądaniu i zatracić w zmysłowej rozkoszy.

Hank brał ją, wypełniał sobą, zagarniał na własność. Claire wzdychała i zaciskała dłonie na jego ramionach z taką mocą, że paznokcie wbijały się w jego skórę. Odchyliła głowę do tyłu i patrzyła na księżyc, który oblewał srebrnym blaskiem ich połączone ciała.

Claire wyobraziła sobie, co mógłby zobaczyć człowiek na księżycu, gdyby właśnie teraz na nich spojrział. Byli bezwstydną parą szalonych kochanków, którzy podążali ku spełnieniu.

Claire czuła, jak przetaczają się po niej fale niewiarygodnej rozkoszy.

– Och, Hank, Hank – wyszeptała i przycisnęła jego głowę do piersi. Jej ciałem wstrząsały intensywne dreszcze.

Hank podniósł głowę.

– Pragnę widzieć twoją piękną twarz, gdy będziesz szczytowała. – Odgarnął z jej czoła potargane włosy.

Claire otworzyła szeroko oczy, ale skinęła głową, przesunęła językiem po wyschniętych ustach, złapała go za ramiona i straciła kontrolę nad sobą.

Kiedy zaczęła krzyczeć, Hank objął dłonią kark Claire i przycisnął usta do jej warg i jednocześnie dołączył do niej w ekstazie.

Przez kilka minut pozostali w takiej pozycji, ciągle połączeni, oddychając pospiesznie i płytko.

Claire pierwsza doszła do siebie. Wyzwoliła się z objęć Hanka, westchnęła zadowolona i uśmiechnęła się szeroko.

– Co byś powiedział na gorącą kąpiel?

– Bałem się, że nigdy nie zaproponujesz. Oboje wybuchnęli śmiechem, wstali i weszli do budynku.

Po długiej kąpieli w pachnącej wodzie kochankowie wyciągnęli się na jedwabnej pościeli. Rozmawiali, śmiali się, głaskali. Gdy świtało, kochali się ponownie, tym razem powoli, bez pośpiechu.

W pewnym momencie przerwali na chwilę rozmowę, by obejrzeć wschód słońca. Przecież właśnie po to Claire zaprosiła tu Hanka.

– Piękny poranek, księżno – zauważył Hank i pocałował kochankę.

– Dzięki tobie będzie jeszcze piękniejszy – odparła z głębokim przekonaniem.

–

Rozdział 17

– Naprawdę musisz iść?

– Niestety, kochanie.

Claire westchnęła i rozparła się nago na poduszkach. Chociaż sprawiała wrażenie odprężonej i rozleniwionej, w rzeczywistości miała ochotę natychmiast podciągnąć kołdrę i zasłonić się nią skromnie. Nie uczyniła tego. Założyła, że księżna Beaumont nic by sobie nie robiła z nagości. A ona była przecież księżną, nawet jeśli tylko przez pewien czas.

Przeciągnęła się i udała nonszalancję, patrząc, jak Hank się ubiera. Słońce dopiero wzeszło, lecz on wyjaśnił, że musi zjawić się na torze wyścigowym, żeby uczestniczyć w porannym treningu swoich koni.

– Wracaj szybko. – Uśmiechnęła się do niego leniwie.

Odwrócił się ku niej, a wtedy ogarnęło ją takie uczucie, jakby chmara motyli poderwała się do lotu w jej brzuchu.

Przeszło jej przez myśl, że ten mężczyzna jest naprawdę wyjątkowy.

Uroda Hanka zapierała dech w piersiach. Miał twarz, którą można było uznać za kwintesencję męskiej doskonałości. Błękitne oczy były nieco mroczne, drapieżne, nieustraszone, za to usta wyglądały na miękkie, zmysłowe, z nieodparcie atrakcyjnymi i prowokacyjnie kuszącymi kącikami, w których błąkał się uśmiech.

Ciało miał równie niepowtarzalne jak oblicze. Był wysoki, smukły, ciemnowłosy, śniady, a do tego barczysty. Klatka piersiowa była szeroka i umięśniona, biodra wąskie, brzuch zwarty, pośladki jędrne. Uda twarde jak ze stali, nogi długie i zgrabne. Ta sylwetka przyciągała uwagę znakomitą proporcją.

Gracja i elegancja Hanka dorównywała ewidentnej sile fizycznej. Claire z przyjemnością myślała o wszystkim, co go mogło dotyczyć i co uważała za niesłychanie atrakcyjne.

Zmysłowy i namiętny, wręcz emanował seksualnością. Samo patrzenie na niego powodowało, że serce Claire biło szybciej.

– Sprawia mi manto? – Pytanie Hanka wyrwało ją z rozmyślań.

– Nie bardzo rozumiem.

– Ilu służących napotkam w drodze do wyjścia?

– Świta. Wszyscy jeszcze śpią. – Claire wstała z łóżka, poszła do garderoby i sięgnęła po biały, – jedwabny szlafrok. Wsunęła ręce w rękawy, ale nie zawiązała

paska. Potem wróciła do sypialni. – Odprowadzę cię.

– To nie jest konieczne, Charmaine. – Podszedł bliżej. – Przyjadę za parę godzin. Lepiej odpocznij.

Claire skinęła głową. Otoczyła ramionami jego szyję, wspięła się na palce i nadstawiła usta.

– Nie, nie rób tego – zaprotestował Hank i nieznacznie odwrócił głowę, choć jednocześnie wsunął dłonie pod jej rozchyłony szlafrok. – Nie wyjdę, jeśli mnie pocałujesz. – Uśmiechnął się szeroko, dał jej delikatnego klapsa w nagi pośladek i zrobił krok do tyłu.

Claire podreptała za nim, gdy ruszył do bawialni i dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Na progu przystanął i spojrzał na nią ponownie.

– Zjemy razem śniadanie, kiedy wrócę – oznajmił. Nie była to propozycja, lecz stwierdzenie faktu.

– Dobrze – Claire nie kryła, że ten pomysł przypadł jej do gustu – ale nie tutaj. Chodźmy do najdroższej restauracji hotelowej w całej Saratodze.

– Moim zdaniem powinniśmy wybrać hotel United States, księżno.

– Zatem postanowione.

– Zdajesz sobie sprawę, że w momencie, gdy pojawimy się razem w miejscu publicznym...

– Ludzie od razu wezmą nas na języki – dokończyła. – Tak. Z pewnością wszyscy automatycznie założą, że mamy romans.

– Nie przeszkadza ci to?

Roześmiała się pogodnie.

– Mój drogi, słodki Hank. – Westchnęła protekcjonalnie. – Z pewnością obity ci się o uszy opowieści o skandalach, które mi towarzyszą, dokądkolwiek zawitam. – Bawiła się guzikiem przy jego koszuli. – Moje romanse, zarówno te prawdziwe, jak i wymaginowane, już od lat są pożywką dla najróżniejszych plotkarzy. – Ponownie się zaśmiała. – Poza tym chcę dowieść damom w Saratodze, że jesteś zainteresowany wyłącznie moją osobą. Będą musiały poszukać męskiego towarzystwa gdzie indziej.

– Podobasz mi się, księżno. – Na twarzy Hanka pojawił się demoniczny uśmiešek. – Nikogo nie udajesz. Wiesz, czego chcesz, bez wahania sięgasz po to i bierzesz. Sam taki jestem. – Zamilkł na chwilę. – Chyba z tego powodu nie jesteśmy nikczemni?

– W żadnym razie.

– Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. – Musnął kciukiem pierś Claire. –

Pragniemy siebie. Odczuwamy prymitywny głód seksualny i tyle. Ni mniej, ni więcej. Pod tym względem zgadzamy się bez zastrzeżeń. – Uśmiechnął się szeroko. – W dodatku pasujemy do siebie nie tylko emocjonalnie, ale i fizycznie, i to bardzo.

– Uhm – potwierdziła i dodała: – Wspaniale, prawda? Żadnych zobowiązań, wyrzutów sumienia czy żalów. Po prostu dwoje zdrowych, aktywnych seksualnie ludzi spotyka się przez kilka – letnich nocy, aby beztrudnie spędzić czas na miłosnych igraszkach w uroczym górskim kurorcie.

– Chyba jednak zrezygnuję z porannej wizyty na torze wyścigowym. – Hank dotknął jej biodra.

Claire zachichotała.

– Głuptasie, przecież musisz iść. – Odepchnęła jego dłoń i otuliła się szlafrokiem. – Popatrz, jak biegają twoje konie, i wróć punktualnie o dziesiątej. Będę czekała na ciebie, stosownie ubrana.

– Lepiej czekaj nago.

– Gdy wrócimy ze śniadania, rozbierzesz mnie bez pośpiechu i całe popołudnie spędzimy w łóżku. Co ty na to?

Dotknął wargami jej ust.

– To najciekawsza propozycja, jaką usłyszałem dzisiaj rano.

Z tymi słowami Król Srebra otworzył drzwi i odszedł.

Claire westchnęła i wróciła do sypialni, nucąc pod nosem wesołą melodię.

Kochanie się z tym niezwykle przystojnym i zmysłowym mieszkańcem Nevady było nieprawdopodobnie podniecające, a na dodatek świadczyło o niebywałym wyzwoleniu szlachetnie urodzonej kobiety, która uwielbiała doczesne przyjemności i bez zahamowań wyruszała na seksualne eskapady.

Claire wątpiła, by księżna kiedykolwiek kochała się z mężczyzną równie atrakcyjnym fizycznie jak Hank Cassidy. Na samo wspomnienie nocnych igraszek dostała gęsiej skórki. Przeżyła niewyobrażalną rozkosz. Zarumieniła się mimowolnie.

Przez całą upojną noc udawała, że nie jest zszokowana lub niechętna rozluźnieniu obyczajów, o którym dotąd nie wiedziała nic a nic. Ostatecznie, nie była Claire Orwell, tylko księżną Beaumont. Oczekiwano od niej, że znajdzie sobie kochanków. Powinna też wiedzieć, co robić, żeby ich podniecić i zaspokoić.

Osunęła się na pogniecioną pościel i upadła plecami na materac. Strzepnęła na podłogę kilka przywiedłych płatków róży i ułożyła ręce ponad głową. Przeciągnęła się z uśmiechem. Rola nieobyczajnej księżnej przypadła jej do gustu. Cieszyła się

na najbliższe rozkoszne dni i noce. Mogła robić to, na co miała ochotę, kiedy miała ochotę, z kim miała ochotę. Tym kimś był, rzecz jasna, fantastyczny Król Srebra.

Tego lata zamierzała nadrobić wszystkie zaległości i użyć życia jak nigdy. Kiedy nadejdzie pora powrotu prawdziwej księżnej, wraz z Olivią dyskretnie umknie pod osłoną nocy i zniknie niczym złodziejka. Wyjedzie z Saratogi, bez cienia żalu opuści Hanka.

Przecież właśnie tak wygląda życie najbogatszych, czyż nie?

Jednym z najważniejszych wydarzeń dnia w Saratodze było późne śniadanie w hotelu United States. Zorganizowanie przedsięwzięcia wymagało ogromnego nakładu sił i środków. Gigantyczny salon, a właściwie cztery połączone salony mogły jednorazowo pomieścić do sześciuset gości.

Te rzesze obsługiwało stu pięćdziesięciu kelnerów pod wodzą słynącego z uprzejmości kierownika sali.

Operacja doboru odpowiednich miejsc dla z natury wybrednych osób nie była prosta. Kiedy wreszcie goście siedzieli przy stołach, kelnerzy w śnieżnobiałych uniformach wyciągali ręce nad półmiskami i na sygnał szefa kuchni, stojącego pośrodku salonów, jednocześnie podnosili pokrywki.

Następnie rozlegał się szcęk noży, talerzy i widelców, a goście zaczęli rozmawiać. Kelnerzy pędzili w tę i z powrotem, zręcznie nosząc talerze i dostarczając je w odpowiednie miejsca. Przy stolikach ponownie wbijali wzrok w głównodowodzącego i na jego sygnał kładli potrawy przed gośćmi. Po następnym klaśnięciu szefa kuchni zjawiało się drugie danie. Trzecie klaśnięcie oznaczało koniec posiłku i początek sprzątanania naczyń.

Całe widowisko było barwne i spektakularne.

Popisy kelnerskie trwały w najlepsze, kiedy dwadzieścia po dziesiątej księżna Beaumont i Król Srebra stanęli na progu zatłoczonej sali.

Ich obecność została natychmiast dostrzeżona przez osoby zasiadające najbliżej wejścia. Ludzie ci przerwali posiłek i wbili wzrok w nowo przybyłych. Wkrótce nastąpił efekt domina: coraz więcej osób odwracało się, by sprawdzić, na co patrzą ich sąsiedzi. Gwar szybko ucichł. Zamarły ręce trzymające sztucce, kelnerzy z talerzami znieruchomieli. Zapadła grobowa cisza.

Szczupły, wąsaty kierownik sali, cały w ukłonach i uśmiechach, podszedł, by powitać Claire i Hanka. Przeprowadził elegancką parę między zastawionymi stołami do najlepszego miejsca w kącie salonu, gdzie wysokie okna wychodziły na bujną zieleń ogrodu.

Cisza skończyła się równie nagle, jak się rozpoczęła.

Nagle wszędzie rozległy się szepty poświęcone wyłącznie jednemu tematowi: nieoczekiwanemu przybyciu księżnej Beaumont pod rękę z Hankiem Cassidym.

Claire wiedziała, że to śniadanie będzie miało istotne znaczenie dla jej dalszego pobytu w kurorcie, ubrała się więc stosownie do okazji. Włosy starannie uczesała w elegancki podwójny rząd warkoczy na karku i włożyła uroczy, biały słomkowy kapelusz, przewiązany szeroką, granatową wstążką. Ubrała się w stylową suknię z popeliny w biało-granatowe paski, z białym kołnierzykiem i mankietami. Na drobnych dłoniach miała śnieżnobiałe rękawiczki z delikatnie wyprawionej skóry. Były to te same rękawiczki z Paryża, które podziwiała w jednym ze sklepów hotelowych i które kupił dla niej Hank.

Delikatna twarz Claire o nieskazitelnej porcelanowej cerze wyglądała czysto i niewinnie. Ogromne fiołkowe oczy lśniły radośnie. Z dziewczęcą smukłej sylwetki emanowała energia.

Wysoki smagły mężczyzna, który jej towarzyszył, prezentował się równie wspaniale.

Tego pięknego lipcowego poranka Hank Cassidy wyglądał bardzo elegancko. Miał na sobie szyte na miarę białe ubranie, koszulę z jasnoniebieskiej egipskiej bawełny oraz fular z amarantowego jedwabiu. Przyszedł z gołą głową, lecz jego kruczoczarne włosy były starannie uczesane, a opalona twarz gładko ogolona. W dłoni trzymał kapelusz panama.

Para wyglądała równie niewinnie jak dwoje uroczych dzieci.

Goście zebrani przy śniadaniu doskonale wiedzieli, że nie ma nic bardziej mylącego. Nie było tam człowieka, który od razu by nie pomyślał, że ten szczęściarz, Król Srebra, z powodzeniem uwiódł piękną księżną Beaumont.

Albo na odwrót.

Dżentelmeni uśmiechali się, kiwali głowami i w skrytości ducha zazdrościli Hankowi Cassidy'emu powodzenia. Damy równie dobrze wiedziały o szczęśliwym zwieńczeniu flirtu między Charmaine Beaumont a Hankiem Cassidym. Nikt nie był specjalnie wstrząśnięty ani zaskoczony.

Większość mężatek nie okazywała księżnej pogardy ani niechęci. W gruncie rzeczy były zachwycone, bo nadarzył się im nowy, fascynujący temat do plotek. Panny nie kryły jednak rozczarowania: oto celująca w ostentacji księżna zagarnęła najatrakcyjniejszego kawalera w Saratodze.

Gdy tylko niezwykła para zajęła miejsca, do stołu podszedł uśmiechnięty kelner w bieli.

– Umieram z głodu, a ty? – spytał Hank.

– Zjadłabym konia z kopytami – wyznała rzekoma księżna, a jej oczy zabłyśły.

– Zamówmy wszystko z menu.

– Jak sobie życzysz. – Hank skinął głową kelnerowi. – A do tego butelkę najlepszego szampana.

Trzy minuty później na adamaszkowym obrusie pojawił się kuszący wybór dań na zimno i na gorąco. Mocna czarna kawa. Świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Dojrzałe czerwone truskawki. Gęsta śmietana jako sos. Różne ciasta prosto z pieca. Szynka w miodzie i chrupiące, grube plastry bekonu. Kielbaski w cieście. Lekko ścięta jajecznica, omlety z żółtym serem i jajka na miękko. Grzanki i maślane bułeczki. Puszyste naleśniki, a do nich masło, syrop klonowy i wybór dżemów.

Oraz, rzecz jasna, szampan w wysokich kryształowych kieliszkach.

Claire i Hank popatrzyli po sobie, a ich twarze rozjaśnił uśmiech.

– Czy mogę wznieść toast? – spytał Hank.

– Oczywiście – przyzwoliła.

Nachylił się nad stołem i przemówił przyciszonym głosem, aby nie usłyszał go nikt niepowołany. Do Claire dotarło każde poruszające słowo. Zarumieniła się po korzonki włosów, a Hank mrugnął okiem, stuknął kieliszkiem o jej kieliszek i wypili łyk wyborowego trunku.

Potem sięgnęli po srebrne sztucce i z ogromnym apetytem przystąpili do kosztowania rozmaitych potraw. Śmiali się i świetnie bawili, zupełnie zapominając o całym świecie. Ani przez moment nie próbowali ukrywać wzajemnej fascynacji i ignorowali zaciekawione spojrzenia, posyłane im z różnych stron sali. Nie interesowały ich szepty towarzystwa.

Nie minęło pół godziny od momentu, w którym weszli do jadalni, a Hank rzucił serwetkę na stół.

– Zbierajmy się – zaproponował.

Claire skinęła głową. Hank odsunął krzesło, wstał i podszedł do towarzyszek.

– Wracamy do posiadłości? – spytała.

– Lepiej wybierzmy się do mojej willi. Spędzimy tam przyjemne, ciche popołudnie.

–

Rozdział 18

Hank zaprowadził Claire do prywatnego wejścia do willi. Żadne z nich się nie rozglądało, nie zwracali również uwagi na ewentualnych świadków. Nie obchodziło ich, czy są obserwowani i czy znajdą się na językach śmietanki towarzyskiej, wypoczywającej w Saratodze.

Zresztą i tak wszyscy się domyślali, że tych dwoje ma się ku sobie – nie było wątpliwości, że plotki już zaczęły krążyć.

Claire przeszła przez hol i wkroczyła do przestronnej bawialni. Hank wszedł tuż za nią. Rzucił okrycie wierzchnie na oparcie krzesła. Claire rozejrzała się z ciekawością po urządzonej ze smakiem pomieszczeniu. Z uznaniem popatrzyła na niezwykle solidne rzeźbione meble z orzecha, ozdobne miękkie perskie dywany oraz urocze firanki z brukselskiej koronki, zawieszane na wysokich oknach. Nie zabawiła tu jednak zbyt długo, lecz od razu przeszła do sypialni.

Pokój zdominowany był przez olbrzymie, wyglądające na niestychanie wygodne łożo z wysokim wezgłowiem z orzechowego drewna. Na pościeli leżała granatowa narzuta, a na niej sześć ogromnych poduszek powleczonych srebrzystoszarym jedwabiem. Po drugiej stronie pokoju Claire ujrzała spory kominek z czarnego marmuru. Przed nim stały dwa fotele, zestawione ze sobą.

Pod ścianą z tyłu ustawiono orzechową szafkę i wysoki sekretarzyk, wyposażony w liczne szufladki. Lekkie i przejrzyste firanki nie były zasłonięte, poruszały się lekko na wietrze. Tuż przed łóżkiem stało samotnie ogromne lustro. Po co?

Claire poczuła, że oblewa się rumieńcem.

Szybko wróciła do bawialni i uśmiechnęła się do Hanka. Wyciągnął rękę i zdjął jej z głowy słomkowy kapelusz.

– Daj mi minutkę, księżno. Muszę rozesać łożko – oświadczył z chytrym uśmiechem.

Claire skinęła głową. Kiedy Hank odszedł, zdjęła rękawiczki, odłożyła je na bok i myszkowała dalej.

Po chwili zmarszczyła brwi na widok eleganckiej, oprawionej w skórę książki, która leżała na ozdobnym stoliku. Podeszła do niego, wzięła lekturę do ręki i natychmiast zrobiła wielkie oczy. Trzymała w dłoniach pierwsze wydanie niezwykle popularnej książki Anthony'ego Hope'a, „Więzień Zandy”.

Pierwszego dnia po przyjeździe do Saratogi oglądała tę pozycję w sklepie

papierniczym i natychmiast szczerze jej zapragnęła. Niestety, wtedy nie mogła sobie pozwolić na ten nieplanowany wydatek, byłaby to zbytnia i niepotrzebna rozrzutność.

Ostrożnie otworzyła pięknie wydany tomik. W środku dostrzegła odręcznie sporządzoną notatkę na niebieskim papierze: „Mam nadzieję, że to właśnie Ty, księżno, czytasz te słowa, bo niniejsza książka jest przeznaczona dla Ciebie i dla nikogo innego. Hank”.

Claire uśmiechnęła się z ukontentowaniem. Przytuliła do piersi otwarty wolumin i zawołała:

– Skąd wiedziałeś, że chciałam mieć właśnie tę książkę?

Z drugiego pokoju dobiegł głos Hanka:

– Co takiego? Jaką książkę?

– Doskonale wiesz, jaką, nie udawaj. – Była rozbawiona i szczęśliwa. – „Więźnia Zandy”, naturalnie.

– Nie zorientowałaś się jeszcze? Wyobraź sobie, że umiem czytać w myślach, moja druga.

– Śledziłeś mnie tamtego dnia? – chciała wiedzieć. – Kiedy weszłam do sklepu papierniczego i oglądałam ten tomik?

Odpowiedziało jej milczenie.

Claire zachichotała i jeszcze mocniej przycisnęła książkę do piersi. Podeszła do otwartych dwuskrzydłowych drzwi, wyszła na taras i znieruchomiała, oczarowana widokiem, który ukazał się jej oczom.

W dole rozpościerał się ogromny, zadbane i wspaniale zaprojektowany hotelowy park. Kwitły w nim najprzeróżniejsze kolorowe egzotyczne kwiaty o przepięknym zapachu i kształtach cieszących oko. Wysokie, rozłożyste jesiony rozpościerały gęste listowie nad ośmiokątną sceną na samym środku parku. Na tej właśnie scenie często organizowano występy ku zadowoleniu hotelowych gości.

Po kilku minutach Hank stanął za Claire i objął ją w pasie. Oparła się o niego plecami i westchnęła. Ruchem głowy wskazała estradę.

– Czy dzisiaj wystąpi orkiestra? – spytała.

– Każdego dnia odbywają się tu koncerty pięciu orkiestr – pospieszył z wyjaśnieniem. – Punktualnie o wpół do dwunastej rozpoczyna się drugi z dzisiejszych występów.

– Dochodzi jedenasta trzydzieści, prawda?

– W rzeczy samej. Sądzę, że orkiestra zagra akurat w chwili, gdy skończę cię rozbierać.

Claire uśmiechnęła się przekornie.

– Chyba nic z tego, mój drogi. – Westchnęła z udawanym żalem. – Na dzisiejsze popołudnie zaplanowałam czytanie książki.

Hank wyjął wolumin z jej dłoni.

– Zatem pora na zmianę planów – orzekł stanowczo. – Mam dla ciebie znacznie bardziej interesującą propozycję.

Odwróciła się do niego i zaproponowała:

– Może zostawimy otwarte drzwi na taras, aby słyszeć orkiestrę?

– Świetna myśl, moja droga księżno – pochwalił ją Hank. – Pod warunkiem, że masz ochotę na miłość przy wtórze dziarskiego marsza Johna Philipa Sousy.

Claire zaśmiała się perliście.

– Kto wie? – spytała pogodnie. – Takie doświadczenie mogłoby być inspirujące. W końcu to coś całkiem nowego.

Hank położył książkę na żeliwnym stoliku, ustawionym wraz z fotelikami na tarasie, delikatnie ujął Claire za ramiona i zajął jej w oczy.

– Nie potrzeba mi żadnych inspiracji. Pragnę cię ponad wszystko – wyznał. – Z pewnym zdziwieniem odkryłem, że nie potrafię się tobą nasycić, droga księżno.

– Wiem – odparła cicho Claire i spojrzała na niego zalotnie spod na wpół przymkniętych powiek. – Obiecałeś mi rozebrać – przypomniawszy.

– To prawda. Zawsze dotrzymuję słowa.

– Rozumiem, że nie muszę ruszać nawet małym palcem, żeby ci pomóc? Ty się wszystkim zajmiesz?

– Istotnie. Zamierzam samodzielnie wykonać to zadanie.

Hank wziął Claire za rękę i wprowadził do środka willi. Gdy puścił jej dłoń, Claire natychmiast ruszyła do sypialni. Hank jednak ją powstrzymał.

– Nie śpiesz się tak. Zostańmy tutaj jeszcze przez chwilę – zaproponował łagodnym tonem.

Claire mimowolnie zmarszczyła brwi.

– Czyżbyś chciał powiedzieć, że mamy się rozebrać w bawialni, przy otwartych na oścież drzwiach na taras?

– A dlaczego nie? Ewentualny podglądacz musiałby dostać się na taras, a to niemożliwe. Taras jest niedostępny dla postronnych – zauważył Hank. – Nie ma tutaj nikogo prócz nas dwojga.

– To trochę dziwne, że my... – Głos uwiązł Claire w gardle, kiedy ujrzała, jak Hank przesuwa wielki obity skórą fotel i ustawia go naprzeciwko otwartych drzwi na taras.

Claire zamrugnęła ze zdumienia, gdy z zadowoloną miną rozsiadł się w fotelu. Oczy lśniły Hankowi niczym drapieżnikowi.

– Podejdz do mnie – zażądał.

Claire przysunęła się odrobinę i znieruchomiła.

– Rozgość się na moich kolanach – dodał Hank i wyciągnął ku niej rękę.

Oddechnęła głęboko. Podeszła i ostrożnie przycupnęła na jego lewym kolanie.

– Na pewno nikt nie może nas podglądać?

– Wykluczone. Nie ma takiej możliwości. Zaufaj mi. Odpręż się. A teraz zacznijmy nasz rytuał – powiedział Hank, wyciągnął szpilki z włosów Claire i rozplótł warkocze. – Przed końcem tego popołudnia chcę poczuć, jak twoje cudowne jasne włosy ocierają się o moją pierś.

Przyciągnął głowę Claire, po czym pochylił się i zawładnął jej ustami w długim namiętym pocałunku. Gdy oderwał wargi od ust Claire, westchnęła z zadowolenia.

Podekscytowana, niemal nie zauważyła, że Hank, całując ją, jednocześnie rozpiął jej strój. Kiedy po chwili przestali się obsypywać gorącymi pocałunkami, Claire ze zdumieniem odkryła, że spod sukni wyziera nagie ciało.

Niecierpliwie czekała, aż Hank ściągnie z niej całe ubranie. W pewnym momencie pochylił się i musnął wargami prawą pierś, nabrzmiała z pożądania.

W tym samym momencie gruchnęła muzyka.

Orkiestra, zebrawszy się w komplecie na estradzie, z werwą zagrała „Washington Post March”.

Hank podniósł głowę i wybuchnął śmiechem. Claire mu zawtórowała. Koncert trwał przez cały czas, który Hank poświęcił na rozbieranie upragnionej kochanki, z niecierpliwością czekającej na dalsze pieszczoty. Nie wszystkie melodie były marszami. Muzycy grali również słodkie, romantyczne ballady, które okazały się doskonałym kontrapunktem dla emocjonującego preludium uprawiania miłości.

Kiedy wreszcie Claire była zupełnie naga, a jej ubranie utworzyło wielobarwny stosik na dywanie, przytuliła się do Hanka i westchnęła.

Uniósł głowę i wbił w Claire zamglone spojrzenie rozgorzałych namiętnością oczu.

– Chcesz się ze mną kochać? – spytał chrapliwie.

– Tak – szepnęła. – Przecież doskonale wiesz, że tak.

– Zatem będziesz musiała mnie rozebrać.

– Z ochotą.

– Myślisz, że potrafiłabyś ściągnąć ze mnie ubranie teraz, kiedy siedzę z fotelu,

trzymając cię na kolanach?

Claire uśmiechnęła się, mocniej zacisnęła dłoń na gęstych włosach Hanka, odchyliła mu głowę do tyłu i pocałowała go żarliwie. Nie odrywając ust od warg kochanka, zapewniła z przekonaniem:

– Wiem, że tak.

Wzięła się do dzieła.

Kiedy burza zmysłów przeminęła, wyczerpani, ale spełnieni i szczęśliwi kochankowie odpoczywali. Byli zbyt rozleniwieni, by się poruszyć czy podjąć rozmowę. Kontemplowali niedawne chwile cudownego zapomnienia, syci miłością. W pewnym momencie spojrzeli do stojącego obok łóżka lustra, w którym ujrzeli siebie – złączoną czułym uściskiem parę.

Błede dłonie Claire spoczywały na dużych brązowych rękach Hanka, które otaczały ją w talii. Jasna kobieca cera odcinała się od śniadej męskiej skóry, smukłe kobiece ciało kontrastowało z męskim, mocnym i umięśnionym. Claire uśmiechnęła się, uniosła głowę i zajrzała Hankowi w oczy.

– Muszę ci coś wyznać. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek tak wspaniale spędziła letnie popołudnie – powiedziała szczerze.

– To dopiero początek niezwykłych przeżyć, – droga księżno – zapewnił ją Hank. – Jeszcze nie wiesz, co cię czeka, ale zaraz się dowiesz. Nie zapominaj, że mamy książkę do przeczytania. Najwyższy czas zacząć.

Po chwili oboje wesoło zachichotali.

Rozdział 19

– Zaraz dowiecie się czegoś niezwykle ciekawego, moje drogie panie. Otóż wyobraźcie sobie, że przed południem poszli do jego willi – zakomunikowała podekscytowana Lillian Titus, po czym uśmiechnęła się rozmarzona, obrzucając znajome damy porozumiewawczym spojrzeniem.

– Co? I od tamtej pory nie wrócili? – dopytywała się Caroline Whit. Zupełnie nie potrafiła ukryć zazdrości. – Czy to znaczy, że całe popołudnie spędzili w jego apartamentach?

– A jakże! – potwierdziła Lillian radośnie. – Mój drogi Horace poinformował mnie niespełną godzinę temu, że słyszał, iż około czwartej trzech kelnerów zaniósł do willi tace pełne najwykwintniejszego jedzenia. Po powrocie przysięgali jednak, że widzieli tylko Hanka, choć usiłowali pilnie się rozglądać. Po księżnej nie było śladu. Nadzwyczaj ciekawe, prawda?

– Coś podobnego! – Maxine Delaney westchnęła. Ta obwieszona biżuterią matrona o śnieżnobiałych włosach była niezwykle ceniona w towarzystwie. – Mam nadzieję, że nasycą się sobą na tyle wcześnie, by zdążyć na przyjęcie, które wydają dzisiejszego wieczoru. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby się u mnie nie pojawili. To byłaby wielka strata.

Damy, jak to miały w zwyczaju, spędzały wolne chwile na tarasie hotelu Grand Union. Tam rozkoszowały się popołudniowym odpoczynkiem przy znakomitych mrożonych napojach i toczyły ożywioną rozmowę. Naturalnie, najważniejsze były najświeższe wiadomości z życia wypoczywającej w Saratodze socjety.

– Nie mogą pozostać w willi na zawsze – orzekła Caroline Whit. – Przecież jutro rozpoczynają się wyścigi, a Hank Cassidy wystawia pół tuzina znakomitych koni najczystszej angielskiej rasy. Na pewno zechce obserwować, jak sobie radzą w gonitwach.

– Myślisz, że księżna będzie mu na torze towarzyszyć? – zainteresowała się żywo Lillian Titus.

– Och, to absolutnie wykluczone – pospieszyła z zapewnieniem Caroline. – Z pewnością pamiętasz, że księżna nie ma zwyczaju bywać na wyścigach. Nie zapominaj, że nie przychodziła nawet wtedy, gdy ksiązę wystawiał konie. Nie pojawiła się ani razu.

– W rzeczy samej, święte słowa – przyznała – Lillian. – Całkiem o tym zapomniałam. Księżna Beaumont nie kryła niechęci do koni i wyścigów.

– Ale też raczej nie przepadała za swoim książęcym małżonkiem. To chyba nie było szczególnie udane małżeństwo – zauważyła Maxine i zachichotała piskliwie. – Wzrok mi nieco szwankuje, rzecz jasna, ale powiedzcie, czy nie sądzicie, że nasza księżna niezwykle wypiękniała od ostatniego pobytu w kurorcie? Nigdy dotąd nie wyglądała tak młodo i promiennie.

– Och, Maxine, przecież była tu ostatni raz siedem czy osiem lat temu. – Lillian wzruszyła ramionami. – Właśnie od tamtego czasu księżna przestała bywać w Saratodze. Zapomniałaś, jaka jest atrakcyjna, i tyle...

Maxine pochyliła się ku Lillian.

– Moja pamięć miewa się nieźle, dziękuję ci za troskę, moja droga – wyjaśniła urażona. – Powiadam wam, księżna jest znacznie ładniejsza i szczęśliwsza niż kiedyś. To widać gołym okiem.

– I ty byłabyś znacznie ładniejsza i szczęśliwsza, gdybyś miała czterdzieści lat mniej, a tak przystojny i pociągający mężczyzna jak Hank Cassidy otwarcie by cię adorował – zauważyła Lillian z uśmiechem.

Maxine zachichotała ponownie i z aprobatą skinęła głową.

Caroline Whit nie było do śmiechu. Nie potrafiła ukryć wściekłości, w końcu Hank Cassidy miał być jej zdobyczą. Zaplanowała to sobie już wcześniej, a księżna niecznie pokrzyżowała jej szyki. Caroline nie zamierzała puścić tego płazem.

– To przelotna znajomość – oznajmiła i lekceważąco machnęła ręką. – Hanka wkrótce znuży ta kobieta. Zobaczycie, że mam rację. To tylko przelotny kaprys.

W wyłożonej ciemną boazerią sali bilardowej, znajdującej się w klubie dla dżentelmenów, tuż przy Broadwayu, mężczyźni gawędzili mniej więcej o tym samym.

– Poszli do jego willi przed południem – zauważył Horace Titus i potarł kredą czubek bilardowego kija. Nie spuszczał oczu z przeciwnika, który się przygotowywał do wyjątkowo trudnego strzału.

– I do tej pory nie wyszli? Dobry Boże, przecież jest już po szóstej – zauważył Reed Wheatly, jowialny i niezbyt młody milioner z Nowego Jorku, przedmiot zainteresowania wielu pań przebywających obecnie w Saratoga Springs. Chodziły słuchy, że Reed szuka nowej żony, którą będzie mógł rozpieszczać podarunkami. Uderzył i w następnej chwili biała bila potoczyła się po zielonym filcu do luzu. Reed wyprostował się powoli. – Piekielny szczęściarz z tego Króla Srebra – powiedział, westchnął z nieukrywaną zawiścią i otarł chusteczką spocone czoło.

Horace Titus skinął głową.

– Wiem skądinąd, że około czwartej dzisiejszego popołudnia trzech kelnerów zaniósł wykwintny posiłek do willi Cassidy'ego – wyjawiał poufnym szeptem. – Ci kelnerzy zarzekali się potem, że widzieli wyłącznie Hanka. Nie dostrzegli ani śladu bytności księżnej. Z pewnością się ukryła, by nie dostarczać powodu do plotek.

– Jedno jest pewne: nie pozostaną tam na zawsze – zauważył trzeźwo Reed Wheatly. – Inauguracja wyścigów już jutro, a Hank wystawia pół tuzina rasowych koni czystej krwi, zgadza się?

– Fakt – przyznał Horace. – Myślisz, że księżna Beaumont będzie mu towarzyszyła na torze? Z księżciem nigdy nie przychodziła na wyścigi. Podobno nie lubi koni.

– Księżę to jedno, Hank drugie. Chyba też to zauważyłeś? – spytał Reed i roześmiał się serdecznie. – Jestem pewien, że teraz sprawy mają się całkiem inaczej. Stawiam osiem do pięciu, że będzie towarzyszyć Hankowi podczas wyścigów.

– Przyjmuję zakład.

Takie oto toczyły się rozmowy w Saratoga Springs. Cała socjeta, która wypoczywała w kurorcie, była mocno podekscytowana rozkwitającym romansem Króla Srebra i księżnej Beaumont.

Zaczęto szeptać wtedy, gdy w porze śniadania oboje zjawili się w jadalni hotelu United States, najwyraźniej zajęci sobą. Do późnego popołudnia plotkarze z Saratogi mieli o czym rozprawiać.

Tego samego wieczoru, podczas uroczystej kolacji u Maxine Delaney, para – zwracająca na siebie uwagę swoją nieobecnością – znalazła się na językach całego miasta.

Plotki rozprzestrzeniały się z prędkością światła. Plotkowała nawet służba, nie tylko ludzie z towarzystwa.

Do dziewiątej tego samego wieczoru już wszyscy wiedzieli, że zakochana para zniknęła w hotelowej willi Hanka i pozostała tam przez cały dzień. A także w ciągu wieczoru. Spekulacje na temat najbardziej prawdopodobnej pory powrotu obojga stały się ulubioną rozrywką dżentelmenów. Zakładano się, o której godzinie kochankowie wreszcie opuszczą azyl.

Ktoś opłacił informatora, który dyskretnie zaczął się po drugiej stronie ulicy i uważnie obserwował willę, aby niezwłocznie powiadomić mocodawców o wyjściu sprawców zamieszania.

Niestety, informator musiał bardzo długo czekać. Zbyt długo: około północy

zmorzył go sen.

– Do uczestnictwa w jutrzejszej gonitwie inauguracyjnej wyznaczyłem dwa najlepsze konie oznajmił Hank. – Obiecuj, że wybierzesz się ze mną na wyścigi.

– Bardzo chętnie będę ci towarzyszyć – natychmiast zapewniła Claire.

Hank uśmiechnął się do niej i głęboko odetchnął. Nie krył zadowolenia.

Nagi jak go Pan Bóg stworzył, leżał na plecach z ręką pod głową. Księżna, która również nie raczyła się ubrać, spoczęła na brzuchu w poprzek łoża i przytuliła policzek do torsu kochanka. Długie jasne włosy rozsypały się po jego obnażonej klatce piersiowej.

Letnie słońce już dawno zniknęło za horyzontem, lecz przez cienkie zasłony w otwartych drzwiach balkonowych wpadały księżycowe promienie i rozjaśniały pokój. W tym świetle dawało się nawet czytać Claire ścisła w rękę oprawiony w skórę egzemplarz „Więźnia Zandy”.

– Hank, jesteś taki słodki – powiedziała z westchnieniem. – Nie spodziewałam się, że otrzymam od ciebie upominek.

– Faktycznie, słodki ze mnie typ – przyznał i uśmiechnął się do niej szelmowsko.

– Żebyś wiedział – przytaknęła. – A do tego bezczelny – dodała o skarży cielsko.

– Też prawda. Tak czy owak, kupiłem tę książkę w nadziei, że będę miał okazję ci ją wręczyć. Bardzo mi na tym zależało. Jak pomyślałem, tak zrobiłem, zgadza się?

– W rzeczy samej. Przeczytać ci fragment?

– Może innym razem – odparł dyplomatycznie.

Claire zachichotała i delikatnie klepnęła go po brzuchu.

– Chyba żaden inny prezent nie sprawiłby mi równie dużo radości. Naprawdę zależało ci na tym, żeby mi sprawić przyjemność. Bardzo dziękuję.

Jak mogłabym ci się odwdziaczyć?

Hank uśmiechnął się do niej szeroko i, spragniony, wyciągnął ramiona.

– Chętnie podsunę ci jakiś pomysł – zaproponował.

– Masz świadomość, że właśnie przegapiamy już przegapiliśmy – przyjęcie u Maxine Delaney? zapytała Claire po pewnym czasie.

– . Maxine będzie musiała pogodzić się z naszą nieobecnością – odparł Hank i wzruszył ramionami. – Chyba że masz ochotę włożyć suknię i iść się zabawić. Wybór należy do ciebie, ja się dostosuję.

– Wolalabym pozostać tutaj – wyznała szeptem Claire.

Hank pogłaskał ją po złocistych puklach.

– Ja również – przyznał. Po długiej chwili milczenia, które wcale nie było kłopotliwe dla żadnego z nich, dodał: – Opowiedz mi o sobie, księżno. Intrygujesz mnie w najwyższym stopniu.

Dotychczas sporo dowiedziałem się o twoim ciele, ale niewiele wiem o duszy, a bardzo mnie ona interesuje.

Claire nawet nie drgnęła. Wiedziała, że ten moment prędzej czy później nadejdzie.

– Nie licz na nic specjalnie ciekawego – oświadczyła. – Jak dobrze wiesz, jestem wdową. Mój zmarły mąż, książę Beaumont, pozostawił mi znaczny majątek, dzięki któremu żyję na odpowiednim poziomie i nie muszę myśleć o ponownym zamążpójściu. Bogu dzięki, wcale bym sobie tego nie życzyła, ponieważ przywykłam do niezależności. Nie mam rodziny, którą mogłabym się pochwalić, za to otaczają mnie rzesze oddanych i wypróbowanych przyjaciół. Swego czasu przyjeżdżałam do Saratogi wraz z moim małżonkiem księciem, ale od kilku lat tu nie byłam. Jakoś zabrakło okazji. – Westchnęła. – Podoba mi tutejsza okolica – dodała. – Cenię sobie czyste górskie powietrze, doskonałe hotele, świetne przyjęcia, a od niedawna wyścigi koni pełnej krwi. – Umilkła. Po chwili uniosła głowę i odłożyła na bok książkę. – Naprawdę mi się podobasz, Hank.

– Jak bardzo, księżno? Jestem niezwykle ciekaw twojej odpowiedzi.

Zaśmiała się pogodnie i odgarnęła włosy z twarzy.

– A tak bardzo, że mam ochotę spędzić z tobą każdą godzinę pobytu w kurorcie.

– Zostaniesz tu do końca sierpnia, zgadza się?

– Ależ nie. Wyjeżdżam w połowie miesiąca.

Hank się skrzywił i spojrzął na nią ze zdumieniem.

– A to dlaczego? Przecież sezon kończy się dopiero pierwszego września – zauważył.

– Wiem o tym, ale zamierzam wcześniej wrócić do Londynu.

– Zatem stracisz gonitwę o nagrodę Traversa – rzekł wyraźnie niezadowolony.

– Jestem właścicielem najlepszego konia pełnej krwi angielskiej, jakiego kiedykolwiek hodowałem, i wystawiam go właśnie w tym wyścigu. Bardzo chciałbym widzieć cię u swego boku, kiedy Czarny Atlas zwycięży. A zwycięży na pewno.

– Przykro mi, kochanie.

– Musisz zmienić plany, najdroższa. Nawet nie próbuj mi odmawiać. Musisz...

– Nie – przerwała mu stanowczo i zmarszczyła brwi. – Powiedziałam ci już, że wyjeżdżam. Moja decyzja jest nieodwołalna. Nie próbuj mi rozkazywać, nie cierpię tego. Nikt mnie nie ubezwłasnowolni. Nie lubię presji.

Hank wyjął usta. Nie krył irytacji, ale po chwili się opanował i popatrzył na Claire ze skruchą.

– Wybacz, kochanie – powiedział.

– Jesteś rewelacyjnym kochankiem. Obiecuję, że będziemy świetnie się bawili aż do połowy sierpnia. Potem wyjeżdżam. Nie dlatego, że muszę, tylko dlatego, że taką podjęłam decyzję. – Ponownie się pochyliła i ucałowała go w policzek. – Teraz twoja kolej, Hank – dodała. – Powiedz mi wszystko, co powinnam o tobie wiedzieć. Ja również wiem bardzo niewiele, zauważ.

Hank wzruszył ramionami.

– Co tu dużo gadać? Mam trzydzieści dwa lata, całkiem dobrze się trzymam, nic mi nie dolega, nigdy nie byłem żonaty, a majątek zbiłem na kopalniach srebra w Nevadzie. Podobnie jak ty, nie mam rodziny, za to nie brak mi wypróbowanych przyjaciół. Mieszkam w Virginia City w Nevadzie. Urodziłem się tam i wychowałem, a kiedy się zestarzeję, będę chciał tam umrzeć. Każę się złożyć do grobu w rodzinnej ziemi. Mam też dom w Nowym Jorku – gdzie czasem się zatrzymuję, ale raczej rzadko – oraz farmę koni nieopodal Louisville w Kentucky. Do Saratogi przyjechałem po raz pierwszy chyba sześć bądź siedem lat temu. Kurort niezwykle przypadł mi do gustu i od tamtego czasu przyjeżdżam tutaj co roku, bez wyjątku. Lubię konie, burbona, dobre jedzenie i ładne kobiety. Lubię ciebie, droga księżno. – Przytulił ją. – Naprawdę, i to nie tylko dlatego, że jesteś oszałamiająco piękna. Zostaniesz u mnie na noc?

– Z ochotą, kochanie.

– Wybierzesz się jutro ze mną na wyścigi?

– Naturalnie, kochanie.

– Będziesz się teraz ze mną kochała?

– Z przyjemnością, kochanie.

Rozdział 20

– Poszły!

Rozpoczął się od dawna wyczekiwany sezon wyścigów w Saratodze. Minęła jedenasta trzydzieści.

Pięć minut wcześniej na torze pojawił się mężczyzna w czerwonej kurtce. Przystanął przed linią mety, przytknął do ust pozłocaną trąbkę i zadał ile sił w płucach. Rozległ się znajomy dźwięk, przyzywający na start wszystkich uczestników wyścigu.

Trzydzieści efektywnych koni pełnej krwi angielskiej przeszło stępą przez bramkę. Kiedy tylko ostatnie zwierzę znalazło się za linią startu, sędzia strzelił z pistoletu. Opadła flaga i konie pognały po owalnym torze.

Pięcioletni tłum bezzwłocznie zerwał się z miejsc, aby opętańczym wrzaskiem dopingować faworytów. Większość widzów zasiadała na pięknej, zadaszanej trybunie. Dla wybrańców przewidziano jednak miejsca na tarasie, na który wchodziło się po schodach. Taras kończył się amfiteatrem w stylu królowej Anny, przylegającym do doskonale utrzymanego trawnika, który rozciągał się do samego toru. Właśnie w tym miejscu gromadziła się śmietanka towarzyska, aby obserwować przebieg wyścigów.

W prywatnej loży znajdującej się na linii mety w amfiteatrze zasiedli Hank Cassidy wraz z Claire. W pewnym momencie, wzorem pozostałych widzów, podnieśli się ze swoich miejsc. Tego ranka rozpromieniona Claire wyglądała wyjątkowo pięknie w eleganckiej jedwabnej sukni z bufiastymi rękawkami. Ramiona okryła cienką i obszerną narzutką, a na stopy wzięła zakryte pantofelki zdobione aplikacjami z kolorowej skóry. Szeroki kapelusz pełen był piór, kwiatków i kokardek. I ona entuzjasmowała się przebiegiem gonitwy i głośnym krzykiem dopingowała wielkiego ogiera o dziwnym imieniu Czerwony Sos. Dżokej jadący na gniadoszu miał na sobie jaskrawozieloną kurtkę z białymi elementami – były to oficjalne kolory wyścigowe Hanka. Koń właśnie okrążył pierwszy zakręt. Niestety, od lidera wyścigu dzieliły go aż cztery konie.

Hank na chwilę powstrzymał się od gwizdów i krzyków, aby pochylić się ku Claire, której wyraźnie zrzędał mina.

– Bez obaw, moja droga – uspokoił. – Jest na dobrej pozycji, dokładnie tam, gdzie powinien.

– Czyżby? – zapytała z powątpiewaniem. – Mam wrażenie, że coraz bardziej

zostaje z tyłu.

– Nie martw się. Przekonasz się, że wkrótce inne wierzchowce opadną z sił. Wyprzedzimy je za zakrętem. Masz na to moje słowo. Zresztą sama zobaczysz!

Claire ponownie wyłowiła wzrokiem zieloną kurtkę dżokeja w grupie pędzących jeźdźców. Skinęła głową, ze szczerą nadzieją, że Hank ma rację. Nie ulegało wątpliwości, że znał się na wyścigach o wiele lepiej niż ona.

– Patrz teraz, kochanie – polecił jej Hank.

Konie znalazły się na następnym zakręcie i wtedy Czerwony Sos przystąpił do odrabiania strat. Wielki gniadosz minął paru rywali, sprawnie przyspieszając po zewnętrznej.

Teraz wyprzedzały go już tylko dwa wierzchowce.

Przejęta Claire przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków, kiedy na ostatniej prostej dżokej Hanka, dosiadający gniadosza, odważnie wjechał między konkurentów.

Przez kilka następnych emocjonujących minut wszystkie trzy konie cwałowały łeb w łeb, tak blisko siebie, że nie dałoby się wcisnąć pomiędzy nie nawet szpilki. Tłum na trybunach ryczał ogłuszająco. Hank gwizdał i tłukł w poręcz łoży zwiniętym w rulon programem wyścigów. I jemu udzieliła się wyścigowa gorączka.

Kiedy wszystko wskazywało na to, że gonitwa zakończy się potrójnym remisem, Czerwony Sos wysforował się przed rywali i prześliznął pomiędzy nimi tak, jakby jego wielkie lśniące ciało pokryte było smarem. Niczym burza przetoczył się pierwszy przez linię mety, wyprzedzając pozostałe konie o długość chrap.

Roześmiany, niemal oszalały ze szczęścia Hank porwał Claire w ramiona i ucałował ją siarczyście w oba policzki.

– Zwyciężyliśmy! – krzyczał. – Kochanie, zwycięstwo! Mówiłem, mówiłem przecież!

– Wiem, trudno mi w to uwierzyć – potwierdziła oszołomiona, objęła go i uściskała z całej siły. Gdy postawił ją na ziemi, dodała: – Hank, to takie fascynujące. Brakuje mi tchu.

– Mnie też, skarbie. – Chwycił jej rękę i przyłożył ją sobie do serca, które waliło jak młotem.

– Lepiej usiądźmy – zaproponowała Claire. Przestraszyła się nagle, że Hank mógłby zasłabnąć z rozgorączkowania. – Wydaje mi się, że krótki odpoczynek dobrze nam zrobi. Powinniśmy ochłonać.

Hank skinął głową.

Zajęli miejsce przy małym, kwadratowym stoliku, na którym ustawiono rozmaite kuszące specjały, ledwie uszczknięte przez przejętą wyścigiem parę. Teraz postanowili jednak pokrzepić się posiłkiem. Kiedy co nieco zjedli, Hank sięgnął po butelkę schłodzonego szampana i wyjął ją ze srebrnego wiaderka z lodem. Zgodnie wypili za zdrowie zwycięskiego rumaka, a Król Srebra oznajmił z dumą:

– Nic dziwnego, że nasz bohater wygrał. Wiesz mi, to urodzony zwycięzca, nie mogło być inaczej.

Ojcem mojego gniadosza był czempion, który na początku lat osiemdziesiątych parę razy zdobywał najwyższe trofea w Kentucky Derby, a matką pierwszorzędną kasztanka. Wydała pół tuzina zdrowych źrebaków.

Claire nie kryła zainteresowania. Była gotowa z ciekawością słuchać opowieści o koniach i ulubionym sporcie Hanka i wcale jej to nie nużyło.

– A co z następną gonitwą? – spytała, gdy skończył. – Też wystawiasz własnego zawodnika?

– A jakże – przytaknął.

Drugi wyścig nie był aż tak emocjonujący jak pierwszy, chociaż Claire wcale nie narzekała na brak wrażeń. Wschodnia Tancerka, trzyletnia kasztanka ze stajni Hanka, prowadziła od początku do końca, dzięki czemu cała gonitwa okazała się dla niej przyjemnością. Klacz już na pierwszym okrążeniu spokojnie wyprzedziła wszystkich konkurentów i minęła linię mety absolutnie niezagrożona.

Claire i Hank bawili się wyśmienicie.

Oboje śmiali się, sączyli szampana, wiwatowali i wznosili toasty za zwycięstwa koni wystawionych w wyścigach przez Hanka. Po pięciu gonitwach, zakończonych przez trzy rumaki Hanka dwa razy na pierwszym, a raz na drugim miejscu, podekscytowana Claire ledwie mogła usiedzieć na miejscu.

– A następna gonitwa? – spytała rozentuzjasmowana, ale nim Hank zdążył cokolwiek powiedzieć, do ich łoży weszła zniecka rudowłosa Caroline Whit.

Hank wstał, aby ją uprzejmie pozdrowić.

– Witaj, Caroline – powiedział. – Chyba znasz już księżnę Beaumont?

Caroline posłała mu olśniewający uśmiech.

– Proszę, usiądź, drogi Hanku, nie ma potrzeby, abyś wstawał – zapewniła go i skierowała wzrok na Claire. – Ależ oczywiście, że znam księżnę – oświadczyła po chwili. – Poznałyśmy się przed wielu laty. Jak się miewasz, Charmaine?

– Nie najgorzej, dziękuję – odparła Claire pogodnie.

– Hm, w to nie wątpię. Promieniejesz – oświadczyła Caroline. – Przyznam jednak, że twoja obecność tutaj budzi moje głębokie zaskoczenie. Zresztą nie tylko moje.

– A to dlaczego, Caroline? Ty też zjawiałaś się na wyścigach. Wiele dam tu bywa.

– Raga, niemniej za życia księcia nie przyjeżdżałaś na tor. Pamiętam, że nigdy nie kryłaś głębokiej odrazy do koni. Biedny stary książę musiał się kąpać i zmieniać odzież po każdej wizycie w stajni, a także nawet wtedy, gdy tylko pojawił się w jej sąsiedztwie. Inaczej za żadne skarby nie chciałaś do niego podejść. – Spojrzała na Hankę i ponownie na Claire. – Skąd ta nagła i nadzwyczajna przemiana? I to u kobiety, która nie może znieść zapachu koni na torze wyścigowym? Wydaje mi się to co najmniej dziwne.

– Och, Caroline. Jesteś taka spostrzegawcza.

Jak widzisz, zmieniałam się – przyznała Claire.

Zaborczym gestem otoczyła biceps Hankę, przytuliła policzek do jego ramienia i dodała: – Wszystko zawdzięczam panu Cassidy'emu. Hank uczy mnie tego, co powinnam wiedzieć o wyścigach, tym fascynującym sporcie królów. Przyznam, że doskonale się przy tym bawię. Uzyskałam nawet od niego zapewnienie, że w najbliższym czasie zaprowadzi mnie wieczorem do stajni, abym mogła z bliska obejrzeć te imponujące zwierzęta. Czy to nie cudowne? – Uśmiechnęła się słodko do rywalki. – Wierz mi, nie mogę się doczekać.

Caroline wbiła wzrok w Hankę. Nie posiadała się ze złości, choć usilnie starała się tego nie okazać.

– Właściciele koni chyba będą oburzeni – oświadczyła z przyganą. – Stajnie są miejscem, do którego żadne kobiety nie mają wstępu. I bardzo dobrze, nic tam po nich.

– Moja droga, ja również jestem właścicielem koni – przypomniał jej Hank. – Nie mam absolutnie nic przeciwko temu, by piękna księżna obejrzała z bliska moje wierzchowce.

Caroline wzruszyła ramionami i zmieniła temat.

– Maxine Delaney była niesłychanie zawiedziona, nie mogąc gościć was na wczorajszym przyjęciu. Sprawiliście jej olbrzymią przykrość. Naprawdę nieładnie, bardzo na was Uczyla.

Hank otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Claire przezornie ścisnęła go za rękę, więc umilkł.

– Postąpiliśmy niewybaczalnie nieuprzejmie potwierdziła ze skrucłą rzekoma

księżna. – Nie da się zaprzeczyć. Dzisiejszego ranka wysłaliśmy Maxine ogromny bukiet róż wraz z pokornymi przeprosinami. Mamy nadzieję, że nam wybaczy i zechce gościć w przyszłości.

Caroline wzruszyła ramionami. Nie spuszczała z Hanka badawczego spojrzenia zielonych oczu.

– Z pewnością spotkamy się dziś wieczorem na balu w hotelu Grand Union – powiedziała. – Ugoszczą nas Brylantowy Jim Brady i jego piękna przyjaciółka, Lillian Russell.

– Możesz liczyć na naszą obecność, Caroline – oświadczyła Claire. – Prawda, kochanie? – spytała Hanka.

– Skoro tak mówisz, skarbie.

Caroline Whit westchnęła z narastającą irytacją. Zrozumiała wreszcie, że nic nie wskóra, przynajmniej na razie.

– Zatem cieszę się na wieczorne spotkanie z wami. Hank, zamawiam u ciebie taniec.

Ostatnie słowa wypowiedziała rozkazującym tonem, po czym odwróciła się i wyszła.

– Chyba wpadłeś jej w oko – zauważyła Claire.

– Zazdrosna? – spytał Hank z łobuzerskim uśmiechem i mrugnął do niej żartobliwie.

– A mam powody? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Hank przecząco pokręcił głową, wsunął rękę pod stół i odszukał dłoń Claire. Ich palce się zetknęły. Ten przelotny kontakt w zupełności wystarczył, by po grzbiecie Claire przebiegły dreszcze. Jej gęste rzęsy opadły zalotnie, skrywając lśniące, fiołkowe oczy. Poczowała, że ma rumieńce na twarzy, i nagle przypomniała sobie, co ta mocna duża dłoń wyczyniała z nią wcześniej tego ranka.

– Następną gonitwa powinna przysporzyć nam sporo emocji – oznajmił Hank, najwyraźniej w pełni świadomy, że za sprawą dotyku jego dłoni Claire zaczęła oddychać szybciej.

– Czyżby? – zapytała uśmiechnięta. – A to dlaczego?

– Bo to niesłychanie ważny wyścig. Biegnie w nim rumak o imieniu Onaretto, a jego dżokejem jest słynny Alonzo Clayton we własnej osobie. – Kiedy Hank mówił, jego palce poruszyły się i delikatnie pogłaskały jej rękę. Subtelnym, ale sugestywnym ruchem przesunął po palcu wskazującym towarzyszki. – W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku piętnastoletni Alonzo Clayton był najmłodszym zwycięzcą Derby. Dosiadał wtedy konia o imieniu Azra,

niezwykłego wierzchowca.

– Naprawdę? – Claire usiłowała skupić uwagę na tym, co Hank mówi.

– Naprawdę. Ale na tym wcale nie koniec. Bywają i młodsi – ciągnął. Zaciśnął dłoń tak, aby Claire wyraźnie poczuła jego uścisk. – Masz ochotę na więcej? – spytał. Zgodnie z jego zamiarem, pozornie niewinne pytanie zabrzmiało wyjątkowo dwuznacznie.

– Dobrze wiesz, że tak – odpowiedziała Claire.

– Odwróciła dłoń i palcami chwyciła grzbiet jego ręki.

– W ubiegłym roku, na tym torze, pewien młody dżokej James Perkins wygrał pięć z sześciu gonitw jednego dnia. – Hank najspokojniej w świecie położył jej dłoń na swoim okrytym nogawką udzie. – Jednego dnia! – podkreślił. – A miał wtedy zaledwie czternaście lat. Tak zaczęła się jego błyskotliwa kariera i nadal trwa. Potem zwyciężył w wyścigach na szczycie góry Halma.

– Nieprawdopodobne – wyszeptała Claire i niespokojnie spojrzała w rozbawione błękitne oczy Hanka.

Łagodnie przyciskał jej dłoń do swojej nogi. Opuszkami palców wyraźnie wyczuwała twarde jak stal mięśnie uda. Pod wpływem jej dotyku jędrne mięśnie drżały, lecz mina Hanka ani na moment nie zdradziła tego, co z pewnością czuł. Claire zachowywała się jednak przyzwoicie, nie zapominając o tym, gdzie się oboje znajdują. Nie przesunęła dłoni wyżej, lecz na razie ograniczyła się do głaskania i pieszczenia mocnego uda kochanka, ukrytego pod cienką warstwą materiału.

Hank niezwykle spokojnym głosem objaśniał towarzysze szczegóły ekscytującego sportu, jakim niewątpliwie są wyścigi koni pełnej krwi angielskiej. Claire słuchała, kiwając od czasu do czasu głową, i czyniła stosowne komentarze odnośnie do ciekawszych faktów. Przez cały czas jednak, pod przykrytym obrusem stołem oboje zajmowali się znacznie bardziej ekscytującym sportem.

Dotyk księżnej sprawiał, że Hank ogromnie żałował, iż muszą pozostać w łóżu do końca ostatniej gonitwy dnia.

W pewnej chwili rozejrzał się dyskretnie i pochylił.

– Moja droga, czy masz pojęcie, co ze mną wyprawiasz? – spytał.

– Przepraszam, Hank. Księżno.

Tuż obok niespodziewanie usłyszeli niski, męski głos. Zaskoczeni, podnieśli wzrok i zobaczyli eleganckiego, siwowłosego dżentelmena, który stał przed łóżem.

– Fox! Druhu! – wykrzyknął Hank, a Claire pospiesznie cofnęła rękę. Zerwał

się na równe nogi i energicznie potrząsnął dłonią trenera. – Usiądź, chcę, żebyś poznał pewną wyjątkową osobę.

Fox Connor uklonił się uprzejmie.

– Oto mój dobry przyjaciel, Fox Connor, trener moich koni. Fox, ta urocza dama to księżna Charmaine Beaumont.

– To prawdziwy zaszczyt panią poznać, księżno. – Connor ponownie się skłonił.

– Dużo o panu słyszałam. Czy ma pan ochotę do nas dołączyć? – spytała Claire uprzejmie.

– Ogromnie dziękuję za zaproszenie, ale muszę iść do stajni. – Spojrzał na Hankę. – Przyszedłem, by ci powiedzieć, że w ostatniej chwili postanowiliśmy wycofać Srebrnego Dolara z wyścigu. To nic – poważnego, dobrze wiesz, jakie to kapryśne zwierzę i jak często zmienia mu się nastrój. Wiem, że nie chce dzisiaj biec, i nie ma najmniejszego sensu go zmuszać. To musiałyby się zakończyć porażką – Zgadzam się z tobą w zupełności. Może za parę dni będzie lepiej – odparł z westchnieniem Hank.

– Z pewnością wkrótce nastrój mu się poprawi. Przecież robi nam to nie po raz pierwszy.

– Masz rację. A Czarny Atlas? Stanie dla nas do wielkiego wyścigu? Zdobędzie nagrodę Traversa?

– Ten ogier jest w znakomitej formie – pospieszył z zapewnieniem Fox. – To najważniejszy kandydat do nagrody Traversa. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Raz jeszcze popatrzył na Claire. – Księżno, mam nadzieję, że wkrótce ponownie się zobaczymy.

– To pewne – odparła Claire bez wahania. Kiedy Fox odszedł, Hank zerknął na ukochaną.

– Co ci zaprzęta umysł? – spytał. Uśmiechnęła się.

– A jak myślisz? To samo co tobie.

Ich nagłe odejście wzbudziło spekulacje wśród innych widzów, ale wszyscy się zgodzili, że kiedyś musiał nastąpić ten pierwszy raz.

Do tej pory nie zdarzyło się, żeby Hank Cassidy opuścił tor przed finałową gonitwą.

Rozdział 21

Późnym popołudniem Claire powróciła do posiadłości księżnej Beaumont, aby stosownie się ubrać i przygotować na wieczorny bal w hotelu Grand Union. Kiedy powóz stanął na podjeździe przed głównym wejściem do budynku, pocałowała Hanka na pożegnanie i poprosiła, by zjechał po nią o wpół do dziewiątej. Zamierzali razem udać się na bal.

Przez chwilę stała nieruchomo i patrzyła, jak pojazd jej kochanka znika. Przepęłniało ją uczucie głębokiego zadowolenia. Potem się odwróciła, pobiegła po schodach na taras i wpadła do środka, od progu przywołując Olivię. Starsza pani pospiesznie wyszła naprzeciw podopiecznej. Damy rzuciły się sobie w ramiona, wyraźnie zadowolone ze spotkania.

– Chyba nie martwiłaś się o mnie, prawda? – spytała Claire, kiedy w końcu przestały się ścisnąć.

– Ani trochę – zapewniła ją Olivia. – Przecież doskonale wiedziałam, gdzie jesteś. I z kim. – Uśmiechnęła się domyślnie. – Zakładam, że twój plan się powiódł i że dobrze się bawiłaś z przystojnym panem Cassidym.

– Och, Olivio, to niedomówienie – odparła Claire. – Było bosko! Cudownie! Wspaniale!

– To dobrze, zasłużyłaś na to. Sądząc po błysku w twoich oczach, w najbliższym czasie zamierzasz ponownie spotkać się z tym młodym dżentelmenem.

– Widzimy się za dwie godziny – wyjawiała Claire z uśmiechem satysfakcji. – Dzisiaj wieczorem wybieramy się na bal do hotelu Grand Union, wydany przez dżentelmena, którego wszyscy nazywają Brylantowym Jimem Bradym. Słyszałaś może o tym jegomościu?

Olivia pokręciła przecząco głową.

– Wobec tego słuchaj uważnie. – Claire nie mogła się doczekać, aż powtórzy przyjaciółce plotki o tak barwnej postaci jak Jim Brady, a także o jego najnowszej kochance, aktorce Lillian Russell. – Jak się zapewne domyślasz, Jim Brady jest obrzydliwie bogaty.

– Przyznaję, że od razu przyszło mi to do głowy.

– I uwielbia brylanty. Jest właścicielem co najmniej dwudziestu tysięcy sztuk. Dwudziestu tysięcy! Wyobrażasz sobie taką liczbę szlachetnych kamieni? – Claire wybuchnęła śmiechem. – Powiadają, że guziki jego bielizny są wykonane z najprawdziwszych brylantów.

– Olivia zrobiła wielkie oczy.

– Dobry Boże! – To niemożliwie, żeby jeden człowiek dysponował aż takim bogactwem! – wykrzyknęła oszołomiona. – Chyba żartujesz sobie ze starej biedaczki.

– Ani trochę. Widziałam pannę Russell. Jej brylanty lśniły w świetle słońca, kiedy jeździła po bulwarze na pozłacanym rowerze. Naturalnie to prezent od Brylantowego Jima. Podobno ten człowiek zupełnie oszalał na jej punkcie.

– Powiem ci, że wiele w życiu widziałam i słyszałam, ale czegoś podobnego – nigdy.

– Tu, w Saratodze, wszystko jest możliwe. – Claire zaśmiała się perliście i westchnęła. – Zapowiada się niezwykle zajmujący wieczór. Już nie mogę się doczekać.

– Po powrocie opowiesz mi ze szczegółami, co się działo na tym balu. Nie spocznię, póki nie poznam wszystkich szczegółów – zapowiedziała Olivia.

Za dwadzieścia dziewięć Hank Cassidy zapukał do drzwi posiadłości. Jenkins wpuścił go i zaprowadził do salonu.

– Księżna przybędzie lada moment – oznajmił kamerdyner i znikł.

Zanim Hank zdążył usiąść, do salonu weszła Olivia i uśmiechnęła się życzliwie do gościa.

– Z pewnością pan Hank Cassidy – powitała go.

– We własnej osobie – potwierdził z szerokim uśmiechem. Patrzył na nią z ciekawością – Nazywam się Olivia Sutton i dotrzymuję towarzystwa księżnej.

– To prawdziwa przyjemność panią poznać. Czy mogę zwracać się do pani po imieniu?

– Jak najbardziej. Proszę... – Ruchem ręki Olivia wskazała kanapę. – Zechce pan spocząć? Charmaine zjawi się lada moment.

– Ależ proszę mi mówić po imieniu. Chętnie usiądę, ale tylko pod warunkiem, że zajmiesz miejsce obok mnie, Olivio – oznajmił Hank, czym z miejsca podbił serce starszej pani.

Oboje zasiedli na kanapie i zajęli się pogawędką o źródłach, wodzie mineralnej, wyścigach, kasynach i gościach odwiedzających latem Saratoga Springs. Zaśmiewali się serdecznie, kiedy Hank opowiadał historie o rozrzutności Brylantowego Jima Brady'ego i jego legendarnych przegranych w kasynie. Mówił też o najnowszej ukochanej Brady'ego, Lillian Russell, błękitnookiej blondynce, ulubienicy Broadwayu. Cała śmietanka towarzyska uważała ją za najpiękniejszą

kobietę, jaka w ostatnich latach zawitała do kurortu.

Nagle zamilkli i przestali się śmiać, kiedy na progu szerokich, łukowato sklepionych drzwi stanęła Claire. W tej chwili przykuła ich uwagę, choć nie wypowiedziała ani słowa.

Wyglądała niezmiernie, zupełnie jakby przybyła z innego świata. Przypominała promiennego anioła, który zstąpił z chmur. Jasne włosy spływały luźno na ramiona; żeby nie wpadały do oczu, odgarnęła je grzebykiem z muszli ostrygi.

Miała na sobie suknie balową z lśniącej, błękitnej tafty z podwójną warstwą koronek wokół głębokiego dekoltu. Jej talia była wyjątkowo wąska i pięknie podkreślała pełne piersi.

Tylko Olivia знаła tajemnicę tego stroju.

Pomagała Claire przy wkładaniu sukni. Pod niebieską taftą krył się mocno związany gorset, haftowana i zdobiona wstążkami kamizelka, dwie falbaniaste halki, skąpa, koronkowa bielizna i jedwabne pończochy.

Po chwili Claire weszła do pokoju i obdarzyła Hankę promiennym uśmiechem. Król Srebra zerwał się z miejsca i wbił w nią oszołomione spojrzenie. Rzekoma księżna obróciła się dookoła.

– Podoba ci się? – spytała.

Hankowi odebrało na chwilę mowę. Na wszelki wypadek odchrząknął, a dopiero potem ośmielił się coś powiedzieć.

– Dobrze wiesz, że tak – wykrztusił.

– Dzisiejszego wieczoru wyglądasz nadzwyczaj pięknie, księżno – przyznała Olivia. – Z całą pewnością będziesz najbardziej urodziwą damą na balu.

– Niekoniecznie – zaprotestowała Claire. – Aktorka i zarazem przyjaciółka Brylantowego Jima, Lillian Russell, to śliczna kobieta i...

– Panna Russell błędnie w porównaniu z tobą – przerwał jej Hank. – Nawet nie ma o czym mówić. Zapewniam cię, będziesz najpiękniejszą damą na balu.

Claire wyciągnęła świeżą różę z wazonu. Oderwała łodygę, podeszła do Hanki i wsunęła wonny kwiat do butonierki w kłapie jego eleganckiego smokingu. Potem spojrzała w błyszczące niebieskie oczy Króla Srebra.

– Mam szczęście, ponieważ moim towarzyszem będzie najprzystojniejszy mężczyzna. – Odwróciła się do starszej pani. – Na nas pora. – Pochyliła głowę, pocałowała Olivię w policzek i szepnęła jej do ucha: – Zapewne zobaczymy się dopiero jutro.

– Dobrze się bawcie oboje, szczerze wam tego życzę – powiedziała Olivia i wstała z kanapy.

– Cieszę się, że cię poznałem, Olivio. Koniecznie musimy wkrótce zjeść razem kolację – oznajmił Hank i pocałował nową znajomą w rękę.

– Dziękuję, Hank. – Popatrzyła na niego łaskawie. – Będzie mi bardzo miło.

Król Srebra podał Claire ramię i wyszli z rezydencji.

Na zewnątrz pospiesznie zeszli po schodach, a Hank pomógł swej towarzyszce wejść do czekającego na nich powozu. Następnie sam się wdrapał do kabiny, usiadł u boku Claire i otoczył ją ramieniem.

– Czy na pewno chcesz jechać na bal? – spytał.

Przez chwilę Claire jak zahipnotyzowana patrzyła Hankowi głęboko oczy. Dostrzegła w nich niepokonaną żądzę. Bawił się od niechcenia złotym łańcuszkiem i medalionem, którego nigdy nie zdejmowała.

– Moglibyśmy zrezygnować z przyjęcia, wrócić do mojej willi i tam...

– Później – przerwała mu łagodnie. – Mamy przed sobą całą noc. – Pogłaskała go po gładko ogolonym policzku. – Teraz chodźmy potańczyć, Zostaniemy na balu do północy. Będzie fantastycznie – zapewniła go pospiesznie, gdy zmarszczył brwi. – Sam pomyśl. Czeka nas cudowne wyczekiwanie. Przez cały czas będziemy liczyli minuty do północy, aż wreszcie – uśmiechnęła się uwodzicielsko – gdy wybije dwunasta, uciekniemy do twojej willi i resztę nocy spędzimy na sączeniu szampana i uprawianiu miłości.

Hank puścił złoty łańcuszek.

– Okrutna z ciebie kobieta, Charmaine – powiedział z westchnieniem, ale uśmiechnął się pod nosem i pocałował ją z czułością. Nie odrywając warg od ust Claire, podniósł rękę i załomotał w dach kabiny, dając znak woźnicy, że pora ruszać. W następnej chwili już jechali.

Po zachodniej stronie Broadwayu, tuż obok oświetlonego, sześciopiętrowego budynku hotelu Grand Union, stał rząd powozów. Woźnica musiał zaczekać na swoją kolej, nim zajechał przed zadaszone wejście do hotelu. Claire i Hank nie mieli nic przeciwko tej chwili wytchnienia. Trzymali się za ręce i gawędzili o dniu spędzonym na wyścigach oraz swoich planach na jutro. Oboje doszli do wniosku, że najbliższe gonitwy zapowiadają się naprawdę pasjonująco.

Kiedy wreszcie wkroczyli do wielkiej sali balowej, było dobrze po dziewiątej. Tuż za drzwiami powitał ich rozpromieniony Brylantowy Jim Brady, który jak zwykle zrobił wszystko, aby o nim mówiono. Zamiast guzików przy kołnierzyku miał migoczące brylanty, podobnie przy koszuli. Do krawata przypiął szpilę z olbrzymim brylantem, u mankietów połyskiwały brylantowe spinki, brylantami

były wysadzane sprzączka paska i dewizka u zegarka.

U boku milionera stała pulchna, atrakcyjna aktorka, Lillian Russell, również obwieszona biżuterią od stóp do głów. Włożyła wydekoltowaną suknię z białego atłasu najwyższej jakości, w zaczesane do góry blond włosy wpięła brylanty, w jej uszach kołysały się kolczyki z brylantami, na palcach lśniły pierścienie z tym szlachetnym klejnotem, szyję zaś otaczał brylantowy naszyjnik. Na stopach miała odkryte pantofelki również zdobione małymi brylancikami.

Kiedy Hank i księżna zostali przedstawieni gospodarzowi i gospodyni, Brylantowy Jim sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po wysadzone brylantami etui, włożył okulary ozdobione brylantami i wziął do ręki ołówek z brylantami w oprawce. Wyjaśnił, że słyszał, iż Hank wystawia do wyścigów kilka pierwszorzędnych koni pełnej krwi angielskiej i te chciałby poznać z pierwszej reki imiona paru faworytów, aby odpowiednio obstawić zakłady. Następnie Brylantowy Jim wyciągnął oprawiony w skórę notatnik z brylantową sprzączką.

– Czarny Atlas i Srebrny Dolar to moje najszybsze i najlepsze konie pełnej krwi, proszę pana – wyjął Hank.

– Jim, przecież już słyszałeś od innych, że należy stawiać na konie Króla Srebra. Jest taki zapominalski – oświadczyła Lillian aksamitnym głosem i podniosła ozdobiony brylantami wachlarz z białych piór, aby załopotać nim przy twarzy. – Nieprawdaż, koczurku?

Brylantowy Jim roześmiał się pogodnie i przytaknął z udawaną skruchą.

– Jak zwykle masz rację, moja kochana. Co ja bym bez ciebie zrobił?

Patrzył na nią z nieskrywaną czułością. Choć był dość nietrwały w uczuciach, najwyraźniej szalał za piękną aktorką. Być może miała nawet szansę zostać panią Brady.

– A teraz, drogi królu i droga księżno, życzę wam miłej zabawy – powiedział, gdy już zapisał imiona wierzchowców.

– O, bez wątpienia będziemy bawili się znakomicie – odparła Claire. – Dziękujemy panu za zaproszenie.

– Proszę mi mówić Brylantowy Jim, księżno zaproponował bogacz i klepnął Hanka w plecy. Na drugim końcu sali znajdziecie jedzenie i trunki.

Czujcie się jak u siebie w domu.

Hank wziął Claire pod rękę i poprowadził ją między gośćmi ku długiemu, mahoniowemu barowi. Oboje wielokrotnie wymieniali uprzejmości ze sławnymi osobami, między innymi Rockefellerami, Morganami i Vanderbiltami. W tę ciepłą letnią noc w sali balowej hotelu Grand Union bawiło się wielu najbogatszych

dżentelmenów Ameryki, a także najpiękniejszych panien z zamożnych rodzin.

Obecność tak znamienitych osobistości niewiele znaczyła dla Hanka i Claire. Nie obchodziło ich, kto jeszcze płąsa po parkiecie. Nie odrywali od siebie wzroku. Kiedy wreszcie dotarli do baru, gdzie poczęstowano ich francuskim szampanem w wysokich kieliszkach, w milczeniu wzniesli toast i oparli się o blat, by w spokoju sączyć chłodny napój.

Stali bardzo blisko siebie, ich ciała się stykały, trzymali się za ręce. Gdy dokończyli szampana, Hank ponownie zaprowadził Claire na parkiet. Orkiestra zagrała popularną melodię, „The Band Played On”. Hank się uśmiechnął, wziął ukochaną w ramiona i zaczął powoli wirować z nią w tłumie innych tancerzy.

Żadne z nich nie zauważyło, że prosto ku nim zmierza Caroline Whit w objęciach Parkera Lawsons.

– A teraz słuchaj uważnie, Parker – szeptała Caroline prosto do ucha partnera. – Poprosisz ją do tańca i w żadnym wypadku nie przyjmiesz do wiadomości odmowy.

– Caroline, wierz mi, wtykanie nosa w nie swoje sprawy na ogół źle się skończy, naprawdę...

– Może dla ciebie, Parker, faktycznie skończy się źle, ja jednak dobrze wiem, jak najlepiej – wykorzystać możliwość zatańczenia z właściwą osobą. Poradzę sobie.

– Nie przeczę, ale księżna najwyraźniej dysponuję tę samą umiejętnością. – Parker rozejrzał się dyskretnie. – Przyjrzyj się lepiej Cassidy'emu. Owinęła go sobie wokół małego palca.

– Co ty tam wiesz, Parker. Masz mnie do nich poprowadzić, abym mogła wziąć go w ramiona!

– Już dobrze. Tylko się nie denerwuj, moja droga. Zobaczę, co da się zrobić.

Nie przerywając tańca, Parker zręcznie zaprowadził Caroline przez tłum i celowo zderzył się z plecami Hanka, który znieruchomiał, odwrócił się i rozejrzał na boki.

– Najmocniej prze... Och, to ty, Hank! – zawołał Parker i uśmiechnął się przepraszająco. – Bardzo proszę o wybaczenie. Mam dwie lewe nogi – Witam księżnę. Jak się miewasz, Charmaine?

Cześć, Hank – zaszczębiotała Caroline, spoglądając tylko na Króla Srebra.

Hank i Claire uprzejmie skinęli głowami i powrócili do tańca. Caroline skrzywiła się do Parkera i pchnęła go ku tancerzom.

– Hank, odbijany. Zmieniamy partnerki?

– Nie – powiedział Hank krótko.

Caroline zmarszczyła brwi. Była wściekła. Niewiele myśląc, chwyciła Króla Srebra za ramię.

– Hank, jesteś nieuprzejmy – zauważyła z przyganą w głosie.

– Wiem – odparł i mocniej przytulił Claire.

– Caroline skupiła uwagę na rywalce.

– Księżno, czy nie zechce pani zaszczyścić Parkera jednym krótkim tańcem?

– Nie dzisiaj – oświadczyła Claire, ani na moment nie odrywając oczu od Hanka.

Ten ostatni uśmiechnął się szeroko i władczym gestem obrócił Claire, by kontynuować taniec. Zirytowana Caroline Whit wymamrotała coś pod nosem, a Parker Lawson tylko pokręcił głową i westchnął.

– A nie mówiłem, Caroline? – zapytał retorycznie. – Księżna wzięła Cassidy'ego pod obcas. Zresztą, ona sama jest w niego zapatrzona jak w obraz.

– Wredna suka! – zawołała Caroline. – Przyjeżdża do Ameryki i zagarnia mi sprzed nosa mężczyznę, którego sobie upatrzyłam. Co ona sobie wyobraża? Dlaczego po tylu latach wróciła do Saratogi? Bez niej bywało tu o wiele zabawniej – dodała Caroline, zaciskając usta w linijkę i spoglądając z nienawiścią na oddalającą się parę.

Hank i Claire świata poza sobą nie widzieli. Z na wpół przymkniętymi powiekami tańczyli zmysłowo, tulili się do siebie, wyczuwali rytm swoich serc. Pożądanie między nimi narastało do granic możliwości. Każdy krok, każdy łagodny ruch budził w nich niewiarygodne podniecenie. Claire czuła, jak uda Hanka ocierają się o jej ciało przez taftę sukni.

Zarzuciła mu ręce na szyję, oparła głowę na jego ramieniu i odetchnęła głęboko, gdy Hank wsunął kolano między jej nogi, poruszając się w rytmie niespiesznej, romantycznej ballady. Zareagowała natychmiast i spontanicznie przytuliła się do Hanka. Zapragnęła, by magicznym sposobem znikli wszyscy otaczający ją ludzie.

Hank przycisnął dłoń do jej pleców i przytulił ją mocniej.

– Nie mogę się doczekać, kiedy przestaną nas dzielić te wszystkie ubrania – szepnął jej do ucha.

– Ja też nie – odszepnęła. – Wyjdźmy stąd natychmiast. Chodźmy do twojej willi, a tam...

– Za daleko – zaprotestował.

Claire usłyszała w jego głosie nutę zniecierpliwienia. Nieoczekiwanie przerwał

taniec, wziął partnerkę za rękę i poprowadził między ludźmi ku głównemu wejściu do sali balowej.

Inni tancerze zatrzymywali się, by patrzeć i szeptać, zdziwieni nagłą rejteradą pięknej księżnej i jej towarzysza. Goście, którzy wyszli do holu, by odetchnąć i zrobić sobie przerwę w tańcu, również spoglądali na nich z zaciekawieniem i, kręcąc głowami, wymieniali szeptem uwagi. Wszyscy byli przekonani, że z jakiegoś powodu Król Srebra i księżna Beaumont wychodzą z balu wkrótce po przyjściu.

Tymczasem oni bynajmniej nie zamierzali wyjść.

Pragnęli siebie tak, jak tylko młodzi i pełni życia ludzie potrafią pragnąć. Najzwyczajniej nie mogli się doczekać chwili, kiedy ponownie znajdą się sam na sam w willi Hanka.

Claire zorientowała się, że kochanek prowadzi ją do pustej szatni. Poszli razem do pogrążonego w mroku pomieszczenia, a gdy minęli próg, Hank pospiesznie zamknął drzwi na klucz. Nic nie widzieli w ciemnościach, lecz Claire wyraźnie usłyszała jego głos:

– Podejdź do mnie.

Posłusznie wykonała polecenie.

W następnej chwili obsypywał ją pocałunkami, gorącymi i namiętymi. Pospiesznie zrywali z siebie ubrania. Było ciemno choć oko wykol, nie widzieli absolutnie nic, musieli więc zdać się na pozostałe zmysły. Nie potrzebowali wzroku, byli dostatecznie podnieceni. Oboje uznali to nowe doświadczenie za nieprawdopodobnie erotyczne.

Mrok sprawił, że ta zakazana miłość była dla kochanków jeszcze bardziej podniecająca. Na dodatek słyszeli śmiechy i rozmowy, dobiegające z foyer tuż za zamkniętymi na klucz drzwiami. Claire jeszcze nigdy w życiu nie była tak podekscytowana: kochanek głaskał ją i pieścił zręcznymi i ruchliwymi palcami, a zaledwie parę kroków dalej kręcili się balowi goście.

Całowali się, głaskali, kochali, aż wreszcie skończyło się to dla nich szybką, cudowną ekstazą. Kiedy przetoczyły się ostatnie zniewalające fale rozkoszy, zmęczeni osunęli się na podłogę.

Claire stopniowo odzyskiwała świadomość. Uśmiechnęła się i po chwili cicho roześmiała. Hank do niej dołączył. Śmiali się z samych siebie, zaskoczeni własnym niekonwencjonalnym zachowaniem. Claire czuła się niewiarygodnie szczęśliwa.

– Powinnaś się wstydzić, księżno – upomniał ja Hank żartobliwie. – Jak mogłaś w trakcie tańca, wśród ludzi, uwieść powszechnie szanowanego, naiwnego

dżentelmena i bezczelnie go wykorzystać?

– Ja? A ty, Królu Srebra z Nevady? Zaciągnąłeś bezbronni) kobietę do ciemnej szatni i tam ją zmusiłeś do czynów lubieżnych.

Przez kilka chwil stali w mroku. Śmiali się, całowali i cieszyli swoją obecnością. Potem poprawili ubrania i po omacku odszukali bieliznę Claire.

Gdy wreszcie uznali, że są gotowi do powrotu między ludzi, wyszli z szatni, ignorując obracające się w ich kierunku głowy i badawcze spojrzenia.

Opuścili budynek, a na świeżym powietrzu Hank podniósł rękę i przywołał woźnicę. Kiedy czekali na powóz, Król Srebra skierował wzrok na uroczo zarumienioną kobietę u swego boku. Uśmiechnął się szeroko. Szkarłatny płatek ze zgniecionej róży w jego butonierce przylgnął do jej lewej piersi – Co się stało? – spytała Claire. – Powiedz.

– Nic specjalnego, kochanie. Po prostu jesteś cudowna i cieszę się twoją bliskością.

– Ja też się cieszę, że jesteśmy razem. – Uśmiechnęła się. – Wspaniała noc.

– A zapowiada się jeszcze wspanialej, księżno. – Mocno objął ją w talii i przytulił.

Rozdział 22

Nastał niedzielny wieczór.

Olivia nie widziała Claire ani Hanka od czasu ich wyjazdu na uroczysty bal wydany przez Brylantowego Jima Brady'ego. Bal odbył się w sobotę, dobę wcześniej.

Olivia doskonale rozumiała zaistniałą sytuację. Młodzi najwyraźniej dali się ponieść pierwszej, najgwałtowniejszej fali namiętności i pragnęli teraz wyłącznie własnego towarzystwa. Inni mogli dla nich nie istnieć.

Olivia cieszyła się radością Claire.

Jej urocza przyjaciółka promieniała, a odpowiadał za to Hank Cassidy, słynny w okolicy Król Srebra. Zdaniem Olivii, Claire Orwell jeszcze nigdy w życiu nie była tak bezgranicznie szczęśliwa jak obecnie.

Niewykluczone jednak, że już nigdy nie przeżyje podobnie wspaniałych chwil.

Olivia doskonale sobie uświadamiała ulotność takiej euforii. Utracona miłość niejednokrotnie była nie do odzyskania i nie do wymazania z pamięci. Starsza kobieta pokręciła głową i westchnęła. Niepokoiła się tym, co przyniesie przyszłość.

Choć Claire wielokrotnie podkreślała, że sobie poradzi i na pewno się nie zakocha, istniało poważne niebezpieczeństwo, że straci głowę dla przystojnego mieszkańca Nevady.

Na razie jednak Claire wpadła w najprawdziwszą ekstazę, w której miała tkwić jeszcze co najmniej przez tydzień. Przez najbliższe dni z pewnością mogła używać życia tak jak nigdy dotąd. W tym momencie bez wątpienia nie zamieniłaby się miejscem z nikim na świecie. Z pewnością niewiele osób mogłoby to o sobie powiedzieć.

Zamyślona Olivia uśmiechnęła się, wstała i podeszła do drzwi wejściowych, aby przekręcić klucz w zamku. Po chwili odwróciła się i niespiesznie ruszyła korytarzami cichego domu, w którym słyhać było wyłącznie jej kroki i stukot laski o srebrnej rączce. Gdy minęła próg swojego pokoju, wzięła do ręki książkę, usiadła i skupiła uwagę na lekturze.

Przeczytała zaledwie parę stron. Niepokój nie chciał jej opuścić. Zamknęła książkę i odłożyła ją na miejsce. Wstała z pomocą laski i wyszła z pokoju, na taras z tyłu budynku. Tam oparła się o kolumnę na ganku i westchnęła.

Wieczór był naprawdę piękny, ciepły, ale nie upalny. Od wschodu wiał łagodny wietrzyk, w powietrzu czuło się subtelną woń róż. Powoli zapadał mrok, na niebie

dopiero co pojawiły się pierwsze gwiazdy, Olivia odetchnęła głęboko. Zmarszczyła brwi i pokiwała głową. Uświadomiła sobie pozornie oczywisty fakt: była samotna, bardzo samotna. Nie знаła nikogo w Saratodze. Odwiedziła tutaj zaledwie parę małych kasyn na uboczu. W żadnym z tych przybytków hazardu z nikim nie rozmawiała, nikt też z nią nie rozmawiał.

Nie zapraszano jej na licznie organizowane imprezy – jakkolwiek patrzeć, była zaledwie damą do towarzystwa angielskiej księżnej. W hierarchii domowej plasowała się nieco wyżej niż służba. Płatne osoby do towarzystwa nie były uwzględniane na niczych Ustach gości. Zresztą wcale nie pragnęła chodzić na tańce i przyjęcia. Takie zabawy woląa zostawić młodym, kipiącym energią ludziom. Jej brakowało i młodości, i energii. Ponownie pokręciła głową i w duchu ostro się skarciła. Najwyraźniej była głupią i niewdzięczną staruchą! Powinna się cieszyć, a nie narzekać. Przecież jeszcze nigdy w życiu nie wiodło się jej tak dobrze. Ona, Olivia L. Sutton, wcześniej więźniarka Newgate, miała to szczęście, że wyjechała do Ameryki i obecnie mieszkała w pełnej przepychu posiadłości księżnej. Mogła się poszczycić wyleczonym i dosztukowanym uzębieniem, ładnie ułożonymi siwiejącymi włosami i przyzwoitym ubraniem. Chodziła tam, gdzie jej przyszła ochota, i wydawała pieniądze tak, jakby do niej należały. Po raz pierwszy od lat nie udawała się na spoczynek głodna, brudna i chora, a do tego przestraszona, że we śnie zostanie napadnięta.

Czy można pragnąć więcej?

Te rozważania nieco poprawiły jej humor. Uśmiechnęła się i wróciła do budynku.

W swoim pokoju podeszła do starannie poślanego łóżka. Wsunęła dłoń pod poduszkę i wyciągnęła fioletową sakiewkę z aksamitu, którą przechowywała na wyraźne żądanie Claire. Wydobyła ze środka starannie strzeżone pieniądze i przeliczyła je, jak to robiła każdego wieczoru od przyjazdu.

Wyjęła kilka banknotów i odłożyła na bok. Pozostałe pieniądze wepchnęła z powrotem do aksamitnego woreczka, który znowu umieściła w kryjówce pod poduszką. Banknoty wsunęła do eleganckiej torebki.

Podeszła do wysokiego sekretarzyka i zerknęła do umieszczonego na nim lusterka. Zmarszczyła brwi, uszczypnęła się w policzki, przygryzła wargi i wzięła do ręki szczotkę do włosów. Bardzo energicznie uczesała włosy i upięła je w skromny kok.

Po chwili odłożyła szczotkę i rozpostarła na łóżku swoją najładniejszą, skromną suknię z granatowego aksamitu.

Fox Connor poczuł przyspieszone bicie serca, kiedy tego niedzielnego wieczoru, tuż po zmierzchu, wszedł do pogrążonego w półmroku przedsiionka kasyna Canfielda. Elegancki lokal o wysokich oknach, urządzony w stylu francuskiego renesansu, rozplanowano tak, że wykwintne pokoiki znalazły się z lewej strony, wielki salon gier z prawej, a ze smakiem zaprojektowana restauracja w głębi.

Na piętrze przygotowano pokoje prywatne, w których najniższą stawką w grze był biały żeton o wartości stu dolarów. Wartość następnych żetonów – czerwonych, niebieskich oraz żółtych – stopniowo rosła, aż w końcu zatrzymywała się na najkosztowniejszym żetonie brązowym, wycenianym na sto tysięcy dolarów.

W pomieszczeniach do gry wymagano stosownych ubrań: smokingów lub fraków. Szyje elegancko odzianych dam zdobiła kosztowna biżuteria. Przepych był tak znaczny, że pan Canfield, właściciel kasyna, podjął decyzję o wynajęciu prywatnego detektywa, którzy przechadzał się wśród gości, chroniąc ich przed złodziejami.

Wieczorowo ubrany Fox ruszył prosto do salonu gier na parterze. Znieruchomiał przy wejściu, rozejrzał się i uśmiechnął z zadowoleniem. Miękkie gobeliny, obite jedwabiem krzesła, duże kominki oraz drewniane elementy wykończeniowe z orzecha decydowały o elegancji i przytulności tego miejsca.

O tak wczesnej porze w kasynie przebywało tylko kilka osób, lecz późnym wieczorem zawsze roilo się tu od graczy.

Fox usłyszał charakterystyczny, znajomy dźwięk, który niezmiennie wprawiał go w podniecenie. Był to stukot białej kulki, kiedy najpierw się toczyła, a potem podskakiwała na lakierowanym kole stołu do ruletki. Spojrzał w tamtą stronę.

Przy stoliku zasiadały trzy osoby: dwóch hałaśliwych i podpitych młodych mężczyzn oraz spokojna, elegancko ubrana dama w dosyć podeszłym wieku.

Za stołem stał krupier, wysoki poważny jegomość o cienkich, jakby narysowanych ołówkiem wąsach oraz niezdrowo bladej cerze.

– Dwadzieścia trzy, czarne – oznajmił bezbarwnym monotonnym głosem i dwóch młodzików jęknęło. Dama zachowała milczenie. Jej mina nie zmieniła się ani odrobinę.

Fox podszedł do stołu, kiedy kulka ponownie krążyła wokół tarczy koła.

– Parzyste, dwanaście czerwone – ogłosił krupier beznamiętnie.

Nikt nic nie wygrał.

Fox zajął miejsce między młodymi mężczyznami a siwowłosą damą. Położył

parę banknotów na zielonym filcu. Krupier zagarnął pieniądze i podsunął ich właścicielowi stos żetonów. Pozostali gracze przystąpili do obstawiania swoich typów.

Dama zaczekała do momentu, w którym biała kulka ponownie potoczyła się wokół koła. Wtedy bez pośpiechu wyciągnęła rękę z niebieskim żetonem o wartości dziesięciu dolarów i położyła go na jedenastce. Fox zerknął na sąsiadkę, z zadumą potarł brodę i umieścił złoty, studolarowy żeton bezpośrednio na sztonie damy.

Wirująca tarcza urządzenia zaczęła zwalniać, biała kulka wypadła z toru i podskoczyła. Najpierw wylądowała na czerwonej siedemnastce, odbiła się od niej, zatańczyła niepewnie i trafiła do czerwonej trzydziestki szóstki, gdzie rykoszetowała w górę i w dół. Obaj młodzi mężczyźni klaskali radośnie i już liczyli wygraną, kiedy kapryśna kulka wyfrunęła z trzydziestki szóstki, kilkakrotnie odbiła się chaotycznie od zwalnającego koła i wreszcie uspokoiła się ostatecznie na czarnej jedenastce.

Fox oraz dama wymienili zadowolone spojrzenia. Połączyła ich fascynująca radość wygrywania, zrozumiała wyłącznie dla zdeklarowanych hazardzistów.

– Czarne, jednaście. Nieparzyste – obwieścił krupier o nieprzeniknionym spojrzeniu i podsunął Olivii stos niebieskich żetonów.

Fox zerknął na sąsiadkę.

– Droga pani, jaki numer obstawimy tym razem? – spytał z sympatią.

– Proszę wybierać.

– Ależ nigdy w życiu. – Uśmiechnął się do niej. – Pani przynosi mi szczęście.

Olivia z powagą kiwnęła głową i położyła dwa niebieskie żetony na czarnej ósemce. Fox poszedł za jej przykładem, kładąc na tym samym polu dwa złote sztony.

Wygrali także i tym razem.

Gracze darzyli się coraz większą sympatią. Oboje dobrze się bawili i wkrótce śmiali się i dowcipkowali niczym starzy przyjaciele.

Uśmiechało się do nich szczęście. Wyjątkowo łaskawe szczęście.

Kiedy Olivia wygrała ponad pięćset dolarów, przesunęła żetony w stronę krupiera.

– Proszę wymienić na gotówkę – zażądała.

– Mnie również – dołączył Fox, którego wygrana była dziesięciokrotnie wyższa niż Olivii.

Wstał i uśmiechnął się do towarzyszki.

– Przyniosła mi pani tyle szczęścia, a nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

– Sutton. Panna Olivia Sutton. Jestem damą do towarzystwa księżnej Beaumont.

– Ach, to wspaniale – ucieszył się Fox. – Zatem z pewnością zna pani Hanka Cassidyego. Jak rozumiem, on i księżna...

– W rzeczy samej – odparła Olivia z porozumiewawczym uśmiechem.

– Nazywam się Fox Connor, proszę pani. Olivia skinęła głową.

– Jest pan przyjacielem Hanka.

– Zgadza się – potwierdził. – Zatem już się dobrze znamy. – Sięgnął po laskę Olivii i wręczył ją właścicielce. Następnie podał starszej pani ramię i poprowadził do drzwi. – Czy jadła pani kolację?

– Cóż, właściwie...

– Ja też nie. Chodźmy razem coś przekąsić.

Oszołomiona Olivia zamrugnęła powiekami. Fox uśmiechnął się do niej łagodnie.

– Wielka szkoda tak wcześnie kończyć ten cudowny wieczór – zauważył. – Zapraszam panią na kolację. Zjedźmy razem, a potem, jeśli wciąż będziemy w nastroju, powrócimy do stołu i spróbujemy coś wygrać.

Oliwię ogarnęła nieopisana radość z niespodziewanego rozwoju wydarzeń. Zadowolona, odwzajemniła uśmiech.

– No dobrze – ustąpiła. – Pod warunkiem, że jeszcze w tym tygodniu zajrzy pan wieczorem do posiadłości księżnej, abym mogła się zrewanżować kolacją.

– Czy jutro będzie za wcześnie?

– Wręcz przeciwnie. Ten termin jest doskonały, proszę pana.

– Fox – sprostował jej towarzysz z czarującym uśmiechem. – Mów mi Fox, Olivio.

Rozdział 23

Pod wpływem impulsu, całkowicie spontanicznie, doszło do nieplanowanej schadzki w ciemnej szatni hotelu Grand Union podczas balu, który przyciągnął tłumy najznamienitszych gości. Nie po raz pierwszy ani ostatni Hank i Claire zachowali się nierozsądnie, nie zważając na opinię publiczną.

Hank nie mógł się nasycić Claire, a i ona myślała wyłącznie o nim. W swojej obecności przestawali się kontrolować; silna namiętność sprawiała, że stawali się nieodpowiedzialni, niebezpiecznie odważni. Nie potrafili już obejść się bez siebie.

Hank, mężczyzna uwodzicielski, grzesznie przystojny, z uśmiechem topiącym najtwardsze niewieście serca, doskonale wiedział, jak doprowadzić Claire na skraj przyzwoitości i wraz z nią przekroczyć granicę. Wystarczyło, by ta kobieta o urodzie zapierającej dech w piersiach, tryskająca energią, kusząca i atrakcyjna, strzeliła palcami, a Hank natychmiast ukląkłby przed nią, by dowieść, jak ją wielbi.

Ich romans był szalenie namiętny i wysoce niebezpieczny.

Wystarczyło spojrzenie, dotyk, jedno słowo wypowiedziane szeptem, by natychmiast płonęli pożądaniem, a ich zachowanie wymykało się spod kontroli.

Po wielokroć szukali odosobnienia, najbardziej nieprawdopodobnego miejsca, w którym mogli się zaszyć i oddawać miłosnym igraszkom.

Nad jeziorem, dokąd poszli, aby zjeść rybną kolację w Moon's, nie dopisywał im apetyt, przynajmniej najedzenie. Kochali się na żeliwnej ławce w prywatnych ogrodach księżnej – niewygoda potworna, ale satysfakcja nadzwyczajna. Naruszyli nawet spokój stricte męskiego terytorium: zabawiali się w stajni dla koni pełnej krwi, przy torze wyścigowym.

Rzecz się rozegrała pewnego wieczoru, którego początek był całkowicie niewinny. Po długim dniu Hank i księżna wybrali się na późną kolację w Congress Inn, gdzie oboje spożyli wysmienity posiłek. Na początek podano im kokilki z zimnym *consommé*. Potem na stole zjawił się homar Newburg i chrupiąca zielona sałata. Na deser zjedli pudding tutti-frutti z sosem Kummel. Uczty dopełnił ser ananasowy i herbatniki.

Syci i odprężeni, posiedzieli przez pewien czas nad kawą i brandy, wymieniając uwagi na temat wyścigów oraz modnego towarzystwa, które obecnie przebywało w Saratoga Springs. Claire dowiedziała się mnóstwa interesujących szczegółów o rozmaitych paniach i panach. Potem bez pośpiechu opuścili hotel i udali się na spacer w stronę willi. Po drodze wymieniali uwagi o wieczornym chłodzie i jasnym

świetle gwiazd na de atramentowego nieba.

W połowie drogi Hank przystanął i spytał Claire, czy zechciałaby wybrać się z nim do stajni. Wyjaśnił, że ma ochotę rzucić okiem na parę koni, które będą wystawiane w jutrzejszych gonitwach. Poza tym zamierzał sprawdzić, jak się miewa jego czempion, główny faworyt w wyścigu o nagrodę Traversa, ogier Czarny Adaś. Twierdził, że nigdy nie wiadomo, czy zwierzę ma dobre samopoczucie i zachowuje spokój.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – spytała Claire i przechyliła głowę na bok. – O ile pamiętam, Caroline Whit wyraźnie podkreśliła, że kobiety nie są mile widziane w stajniach. Nie wiem, czy wypada mi z tym polemizować.

– Moja kobieta jest tam wyjątkowo mile widziana – oznajmił Hank tak władczym tonem, że serce Claire mocniej zabiło.

Jego kobieta. Tak właśnie się wyraził.

A zatem była jego kobietą. Przynajmniej na razie. Podobała się jej ta świadomość. Chciała, aby pozostał jej mężczyzną na zawsze, mimo że było to zupełnie niemożliwe. Nie tak się umawiali. To był letni romans, na jeden sezon.

Nagle i nieoczekiwanie Claire ogarnęły lęk i smutek. Uświadomiła sobie, że już za kilka dni wszystko się skończy. Obudzi się z tego niewiarygodnego, fantastycznego snu i przyjdzie jej stawić czoło surowej rzeczywistości. Pocałuje Hanka na dobranoc jakby nigdy nic, potem wstanie o świcie i bez pożegnania wyjedzie z Saratogi. Powróci do swojego smutnego świata i będzie musiała znowu walczyć o przetrwanie.

Hank – jej Hank – uwielbiany i kochany przez kobiety, podziwiany przez mężczyzn, nie będzie już do niej należał. Znajdzie sobie inną piękną przyjaciółkę i wkrótce zapomni o ekscentrycznej księżnej Beaumont, z którą spędził jedno lato.

Claire nie uświadamiała sobie, że marszczy brwi, dopóki przyciszony, łagodny głos Hanka nie wyrwał jej z zadumy.

– Co ci jest, kochanie? – spytał przejęty. – Jeśli wolisz wrócić do willi i tam na mnie zaczekać, nie ma problemu...

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – Chcę iść z tobą. Pragnę być z tobą. Bez przerwy. Teraz, jutro i zawsze...

Zaśmiał się i przycisnął jej dłoń do swej piersi.

– Kochana – powiedział i westchnął. – Blefowałem, naturalnie. Nie pozbyłabyś się mnie nawet wtedy, gdybyś bardzo się starała.

Claire z uśmiechem przyjęła deklarację Hanka. Otarła się czule o jego muskularne ramię. Wkrótce dotarli do stajni i usłyszała ciche rżenie koni oraz

stukot kopyt o drewnianą podłogę.

Przed wejściem do budynku stał potężnie zbudowany, wysoki mężczyzna. Rozstawił szeroko nogi i założył ręce na szerokim torsie. Widać było, że czujnie nasłuchuje i rozgląda się dookoła, gotów zareagować nawet na najmniejsze ewentualne zagrożenie. Ten strażnik miał za zadanie uniemożliwić dostęp do stajni wszystkim nieuprawnionym, a zwłaszcza ludziom, którzy mogli w jakikolwiek sposób zaszkodzić cennym koniom pełnej krwi.

– Cześć, Jim – powitał go Hank i wyciągnął rękę. – Jak tam? Ktoś jest w środku?

Strażnik od razu rozpoznał Hanka. Uśmiechnął się i potrząsnął dłonią milionera. Następnie wzruszył okazałymi ramionami.

– Bristow, Cooper i jeszcze paru innych właścicieli wpadło wczesnym wieczorem, żeby zobaczyć, jak się miewają ich wierzchowce, ale teraz w stajni nie ma nikogo – wyjaśnił. – Nie sądzę, by o tak późnej porze ktoś zechciał tu przychodzić. Nie uczę pana, rzecz jasna – poprawił się natychmiast. – Wejdzie pan do środka?

– Owszem, Jim. – Hank przedstawił Claire i dodał w ramach wyjaśnienia: – Nie zabawimy tam długo. Tylko kilka minut. Najwyżej pół godziny. Chcemy rzucić okiem na parę ogierów, które wystawiliśmy do jutrzejszych gonitw. Potem zerkniemy jeszcze na Czarnego Atlasa. Od przyjazdu do Saratogi jest niespokojny i nerwowy. Mam nadzieję, że ten zły stan minie i koń będzie gotowy do startu w gonitwie o nagrodę Traversa.

– Jasne. Proszę wejść – zaprosił Jim. – Mogą – państwo zostać w środku tak długo, jak zechcą. Podejrzewam, że pański stajenny i pozostałe chłopaki już śpią.

– Obiecuję, że będziemy cicho jak myszy pod miotłą – zapewnił Hank z uśmiechem. – Nie zamierzamy zakłócać niczyjego spokoju. Zerkniemy tylko na konia i już nas nie ma.

Jim się odsunął, a przybyli minęli go i weszli do stajni. Claire zamruwała powiekami w półmroku korytarza. Na podłodze, wzdłuż szerokiego przejścia, w równych odstępach stały lampy, jednak słabo rozświetlały wnętrze.

– Moje wierzchowce zajmują boksy na końcu tego korytarza – wyjaśnił półgłosem Hank, pamiętając o śpiących stajennych.

Claire skinęła głową i rozglądała się uważnie, kiedy w ciszy, ramię w ramię, podążali słabo oświetlonym przejściem.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął Hank, gdy wreszcie stanęli przed dużym boksem.

Claire rozejrzała się dookoła. Kilka metrów dalej, w głębi, młody chłopak leżał zwinięty w kłębek na podłodze i spał jak zabity. Nie dostrzegła nikogo innego.

Mimowolnie odskoczyła i zamrugała powiekami, kiedy kary koń nagle wystawił łeb z boksu.

– Jak się miewasz, Atłasie? – spytał Hank i pogłaskał lśniący kark ogiera. – Nie denerwujesz się dzisiejszej nocy? Jesteś wypoczęty i spokojny?

Pobiegiesz po zwycięstwo, dobrze? Bardzo mi na tym zależy.

– To piękny koń. Mogę go pogłaskać? – spytała Claire, stając u boku Hanka.

– Oczywiście, że tak. Będzie zły, jeśli tego nie zrobisz. – Hank łagodnie odsunął Claire, by otworzyć" drewnianą bramkę. – Przesuń się, pani pragnie złożyć ci wizytę – zwrócił się do rumaka.

Czarny Atlas rzucił łbem i zarżał cicho, ale nie cofnął się nawet o centymetr. Hank wyciągnął rękę i chwycił ogiera za długą grzywę. Następnie zmusił go do pochylecia łba i położył mu na nim otwartą dłoń tak, aby jej nasada znalazła się między oczami zwierzęcia. Wtedy mocno przycisnął rękę.

– Do tyłu, Atlas – rozkazał spokojnie.

Rumak posłuchał. Hank odwrócił się do niego plecami. Podał rękę Claire, wciągnął ją do boksu i zamknął bramkę. Przestraszona obecnością wielkiego, silnego zwierzęcia, ale jednocześnie zaciekawiona, Claire stała nieruchomo.

– Nie ugryzie – pospieszył z zapewnieniem Hank i delikatnie popchnął Claire do przodu, między siebie a ogiera.

Zwierzę zastrzygło uszami i nerwowo przestąpiło z nogi na nogę. Onieśmielona Claire wtuliła się w Hanka.

– Wygląda groźnie – zauważyła.

Hank się uśmiechnął, objął ją rękami w pasie i przycisnął policzek do jej skroni.

– Jest zaniepokojony – wyjaśnił. – Za bardzo się denerwuje, aby stać w miejscu. Z pewnością jednak nie zrobi ci krzywdy, kochanie.

– Na pewno?

– Bez cienia wątpliwości.

– A ty? – spytała i ostrożnie wyciągnęła przed siebie rękę, by dotknąć wielkiego ogiera. – Skrzywdziłbyś mnie?

– Ja? Ciebie? Powinnaś znać mnie na tyle dobrze, by nie zadawać tego typu pytań. – Przytulił ją mocno. – Jestem tak samo nieszkodliwy jak ten ogier i obaj jemy ci z ręki.

Hank rozluźnił uścisk, aby Claire mogła podejść bliżej do wielkiego zwierzęcia. Zaniepokojony i spięty koń drgnął, jego oczy wyraźnie się rozszerzyły. Niepewnie

zatańczył, cofając się przed nieznaną osobą. Próbował uciec, postawił uszy i potrząsał głową, a jego masywne ciało przeszywały dreszcze.

Claire wyczuwała lęk ogiera, lecz szła za nim, gdy wędrował w głąb boksu. Głaskała Atlasa i zapewniała, że jest jego przyjaciółką. Już po chwili koń zarżał cicho i trącił ją w ramię. Claire z radością powitała te pieszczoty. Położyła dłoń na aksamitnie miękkich chrapach ogiera i przytuliła twarz do jego łba. Szeptala do niego, uspokajała go, pieściła.

Hank patrzył, jak z niepowtarzalnym wdziękiem księżna podbija serce karego rumaka. Był zdumiony i zaintrygowany tym, co widzi. Mocarne zwierzę poskromił łagodny dotyk kruchej kobiety o alabastrowej skórze. Gdy księżna głaskała smukłą dłonią błyszczącą sierść, Czarny Atlas drżał z podekscytowania.

Hank z trudem przełknął ślinę. Nie potrafił uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Piękna czarodziejka podbiła serca mężczyzny i bestii. Delikatna biała ręka księżnej sunęła po lśniącym czarnym grzbiecie wierzchowca. Hank ledwie panował nad sobą. Kochanka podniecała go do granic możliwości samym swoim widokiem nawet wtedy, gdy najzupełniej niewinnie głaskała ogiera.

Hank poruszył się niespokojnie i przestąpił z nogi na nogę.

W pewnej chwili nie wytrzymał i syknął, kiedy Claire otoczyła rękami szyję rumaka i przywarła doń szczupłym ciałem.

Do diabła! Nie powinien był przyprowadzać księżnej do stajni. Zacisnął pięści i dosadnie zaklął pod nosem. Był podniecony i lada moment mógł stracić panowanie nad sobą. Chciał posiąść ukochaną tu i teraz. Pragnął jej ponad wszystko.

Nie było możliwości, by się pohamował.

Nie mógł już czekać ani godziny, ani minuty. Księżna z pewnością to wyczuła.

Claire nieoczekiwanie się odwróciła i oderwała ręce od konia. Stała plecami do ogiera, popatrzyła na Hanka i bezgłośnie wypowiedziała jego imię. Jej fiołkowe oczy się rozszerzyły, a tętnice na alabastrowej szyi wyraźnie pulsowały.

Bez zastanowienia rzucili się sobie w ramiona. Claire całowała Hanka, pieściła go, tuliła się do niego, świadoma, co się za chwilę zdarzy.

– Hank, przestań. Nie możemy, nie tutaj... – wyszeptała, a jej serce tłuło się niczym przerażony ptak w klatce. – Nie jesteśmy sami. Stajenny...

– Śpi jak kamień. Nie obudzi się – natychmiast zapewnił ją Hank, nie przejmując się zresztą, czy tak jest faktycznie.

– Ale ogier... – wyjąkała. – Czy on... ?

Nie zdążyła dokończyć. Hank przywarł ustami do jej warg. Poprowadził Claire do kąta w głębi pomieszczenia, gdzie na podłodze leżało rozrzucone świeże siano.

Pospiesznie rozpiął koszulę i zerwał ją z siebie. Oboje błyskawicznie pozbyli się ubrań. Po paru sekundach padli sobie w ramiona, wymieniali gorące pocałunki, tulili się i pieścili.

Hank kochał ją tak intensywnie, że już po chwili Claire zapomniała o wrażliwościach. Tam, w stajni, na sianie, przytulona z całej siły do Hanka, ze zmysłami przytłumionymi przez seks, Claire odkryła niebo.

Gdy cudowna, wspólna ekstaza wreszcie przeminęła, wyczerpany Hank opadł na Claire. Przez pewien czas leżeli nieruchomo, bez słowa, mocno do siebie przytuleni. W pewnej chwili Hank usłyszał ciche kroki.

– Czarny Atlas? – Gdzieś blisko zabrzmiał senny chłopięcy głos. – To ty się tak tłuczysz? Jest tam ktoś u ciebie?

– Nie o, nie podchodź tutaj. To ja, Hank! – zawołał Hank donośnie i ostrzegawczo przyłożył palec do ust, nakazując kochance milczenie. – Idź spać, nic tu po tobie.

– Z Atlasem wszystko w porządku? – chciał – wiedzieć stajenny. – Ciska się jak oszalały, obudził mnie.

– Wiem, ale już się uspokoił – zapewnił go Hank. Pospiesznie zerwał się z miejsca i sięgnął po zmięte ubranie. – Trochę się denerwował, lecz już mu przeszło. To nic poważnego.

– Jeśli pan chce, żebym się nim zajął...

– Nie. Dziękuję. To nie jest konieczne.

– No dobrze. – Zapadła cisza, a po chwili chłopiec dodał cicho: – Proszę pana?

– Słucham, Theo? – Hank zmarszczył brwi i wepchnął stopę w nogawkę spodni. Claire tymczasem kulila się w kącie, kurczowo przyciskając ubranie do ciała.

– Nie jest pan na mnie zły za to, że spałem w pracy?

Hank się uśmiechnął szeroko. Dzięki Bogu, że się zdrzemnąłeś, chłopcze, pomyślał. Należy ci się za to nagroda – Skąd, ani trochę – odparł krótko.

Rozdział 24

Wystarczył jeden wieczór, by zostali przyjaciółmi.

Dobrymi przyjaciółmi.

Olivia Sutton i Fox Connor poznali się przy stole do ruletki, lecz wkrótce odkryli, że mają ze sobą mnóstwo wspólnego, a nie tylko zamiłowanie do hazardu.

Fox przyjął zaproszenie O IM, która postanowiła ugościć go skromną kolacją w posiadłości księżnej. Claire jak zwykle spędzała czas z Hankiem. Trener i dama do towarzystwa księżnej tak dobrze się bawili, że Fox poszedł do domu dopiero po północy. Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, szczerze się polubili. Podczas tego spotkania gawędzili, dowcipkowali i śmiali się niczym para młodzieniaszków. Okazało się, że mają podobne, nieco zgryźliwe poczucie humoru. To, co bawiło Olivię, śmieszyło też Foxa, i na odwrót.

Spotkanie miało się ku końcowi. Fox i Olivia siedzieli na ławce w ogrodzie, pogrążeni w nieobowiązującej pogawędce, która przybrała bardziej refleksyjny ton, gdy Olivia zauważyła od niechcienia:

– Wiesz, Fox, przez cały wieczór mówiliśmy o wszystkim, co nam przyszło do głowy, lecz ani słowem nie wspomnieliśmy o sobie. Ogromnie przypadłeś mi do gustu, lecz prawie nic o tobie nie wiem poza tym, że pochodzisz z Kentucky, trenujesz konie Hanka i jesteś jego najlepszym przyjacielem. No i jeszcze to, że świetny z ciebie kompan i bardzo odpowiada mi się twoje poczucie humoru.

– Dziękuję, Olivio – odparł Connor. – Pozwól, że zrewanżuję ci się podobnym komplementem.

– Opowiedz mi o sobie – poprosiła, aby nie zmieniać tematu. – O rodzinie, żonie...

– Nie mam żony ani dzieci – wyznał Fox rzeczowym tonem. Na moment zawiesił głos i dodał z żalem: – Prawdę mówiąc, myślałem, że życie ułoży mi się inaczej. Pozostałem kawalerem, bo kobieta, którą kochałem, wyszła za innego.

– Och, Fox, tak mi przykro. – Olivia pożałowała, że zaczęła tę rozmowę. – Naprawdę...

– Niepotrzebnie, nie musisz się przejmować. Mówię o zdarzeniach sprzed wielu lat. Moje młode, pęknięte na milion kawałków serce zdążyło się już zagoić od tamtego czasu. – Uśmiechnął się pod nosem. – Jestem w pełni zadowolony ze swojego życia, moja droga. Kocham Hanka jak własnego – syna. Cieszy mnie to, co robię, i jestem w tym niezły. Dzięki Hankowi wiodę całkowicie

satysfakcjonujący żywot.

– To dobrze, że kochasz swoje zajęcie. Rozumiem, że wasze losy splotły się przed wielu laty?

Fox skinął głową.

– Znam Hanka Cassidy'ego, odkąd był chłopcem. Pochodzimy z tych samych stron. Od samego początku łączyła nas miłość do pięknych koni. Fox się roześmiał.

– Pracowałem wtedy na ranchu w Nevadzie. Hank, niech go Bóg błogosławi, był biednym chłopakiem, nie miał nawet własnego kuca. Wszędzie musiał chodzić piechotą. W soboty widywałem go jednak w mieście i zabierałem na wybieg, żeby mógł głaskać, karmić i ujeżdżać konie. Uwielbiał to. Ciągłe powtarzał – a jego błękitne oczy lśniły w niewinnej twarzy – Proszę pana, pewnego dnia będę miał własnego konia.

Zobaczy pan.

Olivia nie kryła wzruszenia.

– Jego marzenie się spełniło. Teraz ma mnóstwo wspaniałych wierzchowców – powiedziała.

– W rzeczy samej – potwierdził Fox, uśmiechając się ze smutkiem. – Jesteśmy prawdziwą rodziną, Hank i ja. On nie ma innych bliskich. Był jedynakiem, a matka zmarła podczas porodu. Gdy miał siedemnaście lat, jego ojciec zginął w eksplozji w kopalni. Hank szybko dorósł, nie miał innego wyjścia i...

Fox ściszył głos do tego stopnia, że Olivia musiała dobrze nadstawić ucha, aby go słyszeć.

Mówił z widoczną dumą i przywiązaniem o przebojowym młodym człowieku, którego kochał ponad wszystko.

Na koniec tych peanów dodał, że Hank nie jest bez wad i że wiele rozczarowanych młodych dam wypłakiwało się przed swoimi matkami i użalało, że Hank ma serce z kamienia. Zdaniem Foxa jednak Hank ma serce wielkie jak cała Nevada, a do tego jest dobry i hojny.

Jak mało który właściciel kopalni szczerze przejmował się losem górników i nigdy nie zapominał o tych, którzy dla niego pracowali. Dbał także o ich rodziny, o żony i dzieci. Nie afiszował się z tym jednak, starannie skrywał dobre uczynki, tak jak inni ukrywają najmroczniejsze grzechy. Po cichu wspierał finansowo wiele rodzin, którym się źle wiodło, a był zbyt skromny, żeby się rym przechwalać. A co do kobiet – faktycznie, miewał wiele romansów i nie związał się z żadną damą na stałe, ale to dlatego, że jeszcze nie trafił na tę jedną jedyną.

Olivia potakiwała, a spragniony słuchacza Fox Connor mówił dużo o Hanku

Cassidym, a prawie nic o sobie. Nie należała jednak, bo wiele mogła się o nim dowiedzieć także i wtedy, gdy z czułością opowiadał o przyjacielu.

– ... no i dwanaście lat temu Hank kupił stadninę koni Greenway i zapytał, czy chciałbym nią zarządzać w jego imieniu. W końcu zgodziłem się spróbować. Wyjechałem z Nevady i od tamtej pory mieszkam w Kentucky. – Fox pokręcił głową i spojrzał na towarzyszkę. – Opowiadam o sobie już tak długo, że pewnie zasypiasz. A ty, Olivio? Też chciałbym wiedzieć coś o tobie. Czy jest jakiś pan Sutton, a może urocze wnuczeta w Londynie?

– Nie. Nie ma pana Suttona ani wnucząt. Wyobraź sobie, że ja również nigdy nie związałam się z nikim na stałe.

– W to nie uwierzę – oświadczył Fox, szczerze zaskoczony. – Z pewnością był ktoś ważny...

– Tak – przerwała mu. – Był... ktoś ważny.

– Opowiedz mi o nim, proszę.

– Och, ledwie pamiętam... Nie dał jej dokończyć – Przeciwnie, pamiętasz doskonale. Olivia milczała przez chwilę.

– Tak, to prawda – przyznała wreszcie. – Pamiętam doskonale, nie mylisz się. On był...

Zacząła snuć opowieść o jedynym mężczyźnie, którego niegdyś darzyła miłością. Wspominając go, uśmiechała się, bo z najdrobniejszymi szczegółami potrafiła opisać jego wygląd, sposób poruszania się, brzmienie jego głosu, gdy wypowiadał jej imię.

– I zakochałaś się po uszy – podsumował Fox, gdy Olivia przestała mówić.

– Uhm. Świata poza nim nie widziałam – przyznała. – Byłam niemądrą dziewczyną. Całkiem głupią, tak naprawdę. – Roześmiała się zakłopotana. Fox również się zaśmiał.

Gdy ich śmiech przebrzmiał, Olivię ogarnął smutek. Przygnębiona, westchnęła głęboko. Wpatrywała się w ciemność, a po chwili oznajmiła, że jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała, zginął na morzu, nim zdążył ją poślubić i nadać imię dziecku, które nosiła.

Ponownie zamilkła.

Fox czekał. Nie wypowiedział ani słowa.

Kiedy Olivia podjęła opowieść, dowiedział się, że jej śliczna, ukochana córeczka, światło jej życia, zmarła w jedenastym roku życia.

– To naprawdę straszna historia. Tak mi przykro – rzekł Fox współczująco. Po chwili objął Olivię. Był to gest czysto przyjacielski, Fox nie zamierzał

wykorzystywać przygnębionej kobiety. – Dlaczego zmarła?

– Zmarła z niedożywienia – odparła Olivia z nieskrywaną goryczą.

Wstrząśnięty Fox zmarszczył brwi, lecz nie powiedział ani słowa, tylko pogłaskał Olivię po ramieniu. Nie ponaglał jej, nie dopytywał się o nic, ale był gotowy jej wysłuchać, gdyby postanowiła mówić dalej.

Ona jednak milczała.

Powstrzymała się od kontynuowania tematu. Żałowała, że w ogóle go poruszyła. Ze względu na okoliczności – oszustwo, które wymyśliła wraz z Claire – nie mogła wyjawić nowemu przyjacielowi całej prawdy.

A było tak, że jako samotna matka w krótkim czasie popadła w tarapaty finansowe. Nie wolno jej było powiedzieć, że choć Wielka Brytania to najpotężniejsze i najbogatsze państwo na świecie, prości robotnicy, ludzie bez wykształcenia, w większości egzystują na krawędzi biedy. Natomiast ci, którym się udało i znaleźli pracę, zarabiają bardzo mało.

Na domiar złego, ponad dwanaście milionów ludzi nie mogło liczyć nawet na tak marne posady. Wśród bezrobotnych znalazła się także Olivia. Ludzie ci byli permanentnie niedożywieni, wegetowali na skraju śmierci głodowej.

Nie mogła wyznać, że uciekała się do kradzieży, aby nakarmić chorowite dziecko. Jej mała, krucha dziewczynka umarła, kiedy Olivię przyłapano na kradzieży owoców z ulicznego straganu i wtrącono do więzienia. Nie mogła się teraz rozplakać i przelać swoich żalów na tego dobrego, życzliwego człowieka. Doskonale wiedziała, jak to jest, kiedy się traci chęć życia po śmierci dziecka, kiedy usiłuje się zachować resztki godności, egzystując na ulicach niebezpiecznej dzielnicy. Miała też świadomość, co czuje oskarżony o kradzież człowiek, którego zamyka się w niesławnym więzieniu Newgate.

Nie wolno jej było wyznać, że spędziła tam wiele lat, aż wreszcie pewnego letniego wieczoru do tej samej potwornej celi wtrącono elegancką młodą kobietę, całkiem niewinną, którą Olivia ocaliła przed brutalnymi bandytami i mordercami, a zdarzenie to odmieniło jej losy.

Zamiast tego wszystkiego opowiedziała Foxowi jedynie zmyśloną historyjkę o tym, jak trafiła na służbę do księżnej Beaumont.

– ... a ponieważ doskonale wiedziała, że jestem wiarygodną osobą, moje referencje dodatkowo o tym świadczyły – zakończyła, dopasowując historię do tego, co ustaliła z Claire – księżna Beaumont poprosiła mnie o towarzyszenie jej w podróży do Ameryki. – Olivia uśmiechnęła się z trudem i wzruszyła ramionami. – I oto tu jestem.

– Ogromnie się z tego cieszę – zapewnił ją Fox.

Rozdział 25

Hank i Claire jechali zatłoczoną ulicą Broadway. Siedzieli wygodnie w wykonanym na zamówienie Hanka powozie, do którego zaprzężono dwa gniade kłusaki. Towarzystwo już się zjeżdżało na tor wyścigowy w Saratodze, chociaż do rozpoczęcia gonitw, zaplanowanego na jedenastą trzydzieści, brakowało jeszcze półtorej godziny.

Podobnie jak reszta śmietanki towarzyskiej, Hank i Claire postanowili przybyć na tor znacznie przed czasem, aby niespiesznie wypić poranną kawę oraz sok, a potem rozkoszować się wykwintnym śniadaniem i przy okazji studiować program wyścigów. Lubili te poranki, dużo wtedy rozmawiali, nie tylko o wierzchowcach. Mimo że niewiele mówili o sobie, poznawali się coraz lepiej.

Prawdziwa księżna Beaumont podczas uprzednich wizyt w Saratoga Springs nigdy nie była na wyścigach ze swoim zmarłym mężem, księciem, o czym w tak irytujący sposób przypomniła Claire i Hankowi Caroline Whit.

Ta zmiana w upodobaniach pięknej arystokratki niezmiennie przykuwała uwagę ludzi, dlatego gdy Claire pokazywała się każdego ranka pod rękę z Hankiem, wszystkie głowy automatycznie się ku niej zwracały.

Wielbiciele wyścigów prześcigali się w domysłach. Mówiono, że skoro Charmaine Beaumont tak bardzo interesuje się wierzchowcami, nie odrywa lornetki od oczu, lustruje tor i głośno dopinguje zawodników Hanka, to znaczy, że z pewnością przeszła zasadniczą i zdumiewającą przemianę uczuciową. Spekulowano, czy przypadkiem ten związek księżnej nie potrwa dłużej niż poprzednie miłostki, może nawet zostanie usankcjonowany, choć w to akurat mało kto wierzył, jedynie zatwardziali romantycy – mimo wszystko byłby to mezalians. Księżna była prawdziwą arystokratką, a Król Srebra królem jedynie z nazwy, a w rzeczywistości synem prostego górnika.

Niektórzy jednak, w tym naturalnie Caroline Whit, uważali, że wkrótce idylla dobiegnie końca; albo Hank poszuka sobie nowej partnerki, albo księżna dla kaprysu padnie w inne męskie ramiona.

Claire bez najmniejszego trudu odgrywała narzuconą sobie rolę. Wyjaśniła Hankowi, że choć dotychczas rzeczywiście nie interesowała się końmi i wyścigami, teraz jednak budzi to jej najwyższą ciekawość. Chciała wiedzieć jak najwięcej i poprosiła kochanka o niezwłoczne doksztalcenie jej w tej dziedzinie. Hank natychmiast pospieszył z zapewnieniem, że z najwyższą chęcią zostanie jej

korepetytorem. Oczywiście natychmiast wcielił w czyn swoje słowa.

W taki oto sposób podczas krótkotrwałego pobytu w Saratodze Claire zyskała mnóstwo informacji o wyścigach koni pełnej krwi. Jeszcze więcej dowiedziała się o Królu Srebra, Hanku Cassidym, który kochał konie, czemu wielokrotnie dawał wyraz, z podnieceniem opowiadając o swych mistrzowskich rumakach.

Napomknął jej, że kiedy był chłopcem, obiecał sobie, że pewnego dnia stanie się właścicielem najlepszego ogiera w Nevadzie. Przez wiele lat bardzo ciężko na to pracował i w końcu dopiął swego.

– A teraz mam ich dziesiątki – podkreślił z uśmiechem satysfakcji. – Jeden lepszy od drugiego.

– Istotnie. Twoje marzenie się spełniło. – Claire pokiwała głową. – Wszystkie twoje konie są bez wątpienia przepiękne, ale moim ulubieńcem już na zawsze pozostanie Czarny Atlas – dodała z kokietyjnym uśmiechem, subtelnie przypominając kochankowi o szaleńczej miłości, którą uprawiali w boksie ogiera.

Hank mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Cóż, księżno, pomyślałaś o tym, że warto jeszcze poznać bliżej inne konie? Może powinnaś wkrótce wpaść do Srebrnego Dolara. Z pewnością ucieszyłby się z twojej wizyty.

– Niecny chłopiec z ciebie, Królu Srebra. Claire zaśmiała się gardłowo i skromnie opuściła powieki z gęstymi rzęsami. – Opowiedz mi jeszcze o wierzchowcach pełnej krwi, kochanie.

Zadbaj o moją edukację.

Skinął głową i fachowo zaczął opisywać jej zawiłą kwestię końskich rodowodów. Z dumą wyjaśnił, że na farmie Greenway w Kentucky znajduje się co najmniej dwadzieścia pięć ogierów, wykorzystywanych jako reproduktory w całych Stanach Zjednoczonych. Hank był również właścicielem stada najlepszych na Świecie rozplodowych klaczy.

Z błyskiem w oku oświadczył, że nie aprobejuje bicia koni podczas wyścigów, bez względu na ważność gonitwy. Zwierzęta ze stada Hanka nigdy nie poczuły uderzenia pejcza ani ukłucia ostrogi.

– Skąd wiesz, że faktycznie tak jest? – z powątpiewaniem spytała Claire. – Przecież dżokeje mogą bić wierzchowce za twoimi plecami i nic ci o tym nie mówić. Nie zdołasz ich kontrolować, często wyjeżdżasz. Musiałbyś nadzorować swoich pracowników przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby wiedzieć na pewno.

– Wiem, bo znam Foxa Connora – usłyszała w odpowiedzi. – On wszystkim

kieruje i jest nadzwyczaj czujnym obserwatorem. Od razu dostrzegłby, który dżokej ucieka się do przemocy, i momentalnie wyrzuciłby go z pracy. Taka osoba – nie miałyby u nas czego szukać. Zatrudniani przez nas jeźdźcy są na wstępie uprzedzani, że nie tolerujemy żadnej przemocy wobec zwierząt. Jeśli tego nie akceptują, muszą się z nami pożegnać.

– A przecież, o ile wiem, wielu dżokejów korzysta z pejcza, jeśli ich zdaniem zachodzi taka konieczność. Czyżbyś uważał, że można się bez tego obejść?

– Naturalnie, że tak uważam. Przemoc nie jest do niczego potrzebna. Większość naprawdę dobrych jeźdźców skłania konie do posłuszeństwa za pomocą łagodnych słów. Inni sporadycznie używają pejcza, ale lekko, delikatnie, by nie zranić wierzchowca. – Hank zamilkł i po chwili dodał: – Niestety, istnieją też tacy dżokeje, którzy słyną z bezmyślnego ranienia koni na torze.

– To potworne – odparła z westchnieniem Claire. – Nie powinno się tak robić. Przecież źle traktowane wierzchowce mogą się zbuntować i...

Hank przerwał jej, by opowiedzieć historię pewnego konia wyścigowego o imieniu Domino. Wierzchowiec nienawidził swojego dżokeja, który tłukł zwierzę, ile popadnie.

– Jedynym sposobem na utrzymanie Domina w ryzach przez czas potrzebny na jego osiodłanie było wiązanie mu oczu. Pewnego dnia, po wielu miesiącach maltretowania, koń wreszcie wpadł w szal i omal nie stratował dżokeja. I dobrze, należało mu się, był naprawdę mocno poturbowany. Ale Domino nigdy już nie wystąpił w wyścigach – nie nadawał się. Miał całkiem spaczoną psychikę.

– Biedactwo. – Claire była naprawdę poruszona. – Ludzi, którzy są odpowiedzialni za takie sytuacje, powinno się karać.

– Tak, z całą pewnością – odrzekł stanowczo Hank. – Kilku bezwzględnych właścicieli oskarżono o rażenie koni prądem i podawanie im narkotyków. Dla nich te zwierzęta nic nie znaczą, widzą w nich jedynie wartość handlową. Okrutne dranie, chętnie sam bym się z nimi rozprawił! Odechciałoby się im maltretowania zwierząt, które nic mogą się same bronić.

Claire dostrzegła, że smągła twarz Hanka nagle poczerwieniała, a jego piękne niebieskie oczy zwężyły się w szparki. Wyglądał, jakby lada chwila miał wybuchnąć gniewem. Poczula, jak w jej sercu rośnie sympatia, przywiązanie i szacunek do tego mężczyzny, który już nie po raz pierwszy dowodził swej dobroci i wrażliwości.

Kiedy dojeżdżali do owalnego toru, poruszony Hank odetchnął głęboko. Od

czasu rozmowy o Dominie i dręczonych koniach milczał. Claire również nie odzywała się ani słowem. Ich powóz stał nieruchomo w długiej kolejce pojazdów.

Nagle, jak na komendę, oboje odwrócili głowy i przenikliwie popatrzyli na siebie. Claire odrobinę opuściła szerokie rondo słomkowego kapelusza, osłaniając twarz przed porannym słońcem. Uśmiechnęła się do Hanka, a on natychmiast odwzajemnił uśmiech.

Nie odrywając wzroku od Hanka, Claire zdjęła rękawiczki, upuściła je na kolana i położyła szczupłą dłoń na udzie kochanka. Wyczuła, jak pod wpływem jej dotyku napinają mu się mięśnie. Uniosła nieco brodę i zwilżyła językiem dolną wargę. W wyrazistym spojrzeniu błękitnych oczu Hanka ujrzała gwałtownie narastające pożądanie. Przez długą chwilę nie odrywali od siebie wzroku.

– Piękny ranek, prawda? – przerwał milczenie Hank.

– Cudowny.

– Księżno, powiedz mi, co wolałabyś robić w ten śliczny poranek? Oglądać stado pędzących po torze wyścigowym koni pełnej krwi angielskiej czy też może...

– Urwał, zatrzymując spojrzenie na ustach Claire. – Czy też kochać się ze mną?

Przez chwilę milczała.

– A jak sądzisz? – spytała w końcu, zerkając na niego zalotnie spod długich rzęs.

Ta odpowiedź przypadła Hankowi do gustu. Doskonale wiedział, na co księżna ma ochotę.

– Podejrzewam, moja droga, że myślisz o tym samym co ja – zasugerował.

Skinęła głową.

– Nie mylisz się.

– Co wobec tego?

– Wracamy do willi?

– Bardzo tłoczno na drodze – zauważył i się rozejrzał. – Samo zawrócenie zajmie nam pół godziny. Nie wiem, czy zdołam tak długo wytrzymać.

– Więc co zrobimy? – zapytała Claire i lekko zmarszczyła brwi.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że w sprawach seksu oboje rozumują takimi samymi kategoriami. Teraz, kiedy już zaczęli omawiać szczegóły, tylko zbliżenie mogło ich usatysfakcjonować. Mimo że kochali się wtedy, kiedy tylko przyszła im na to ochota, nadal nie byli w stanie się sobą nasycić, i to było wspaniałe.

Hank czekał niecierpliwie, aż wreszcie stojący przed nimi powóz przesunął się powoli do przodu, dzięki czemu przed końmi Króla Srebra powstała wolna

przestrzeń, długości około dziesięciu metrów. Korzystając z okazji, milioner sprawnie wyprowadził powóz z kolejki, zawrócił i ruszył z powrotem. Natychmiast rozległy się głosy innych koniarzy, czyniących złośliwe uwagi na temat zachowania Hanka.

– Co tam, Królu Srebra? Samopoczucie szwankuje? Za dużo szampana wczoraj wieczorem? Czyżby główka rozboleła? – zawołał jegomość z powozu znajdującego się w pobliżu.

– Ejże, Cassidy! – krzyknął ktoś inny. – Tak bardzo się boisz, że mój ogier pokona twoją klacz, że wolisz zaszyć się w wili? Rozumiem, że nie wystawisz swojej szkapy? No i dobrze, wygraną mam w kieszeni!

Hank zaśmiał się pogodnie. Uniósł dłoń i machnięciem zbył zaczepki znajomych. Akurat w tym momencie zupełnie co innego zaprzętało mu umysł. Chwilowo stracił zainteresowanie przyjacielami, śniadaniem i wyścigami koni pełnej krwi.

Liczyła się dla niego wyłącznie złotowłosa czarodziejka, która siedziała u jego boku. Pragnął jej tak, jakby nie miał jej od tygodni, a nie zaledwie kilku godzin. Dotąd jeszcze żadna kobieta nie doprowadziła go do takiego stanu.

W odległości mniej więcej kilometra od toru wyścigowego Hank zjechał powozem z drogi i wtoczył się w gęste krzaki. Po drodze on i jego pasażerka podskakiwali na wybojach i uchylali się przed niskimi gałęziami drzew. Po chwili znaleźli odosobnione miejsce pośród wysokich gęstych sosen.

Kiedy tylko powóz znieruchomiał, Hank odrzucił wodze, odwrócił się, ściągnął ozdobny słomkowy kapelusz z głowy Claire i wziął ją w ramiona. Ich usta się zetknęły, narastająca napiętność zawładnęła nimi całkowicie. Nie mogli się od siebie oderwać. Nic ich nie obchodziło, że tuż obok, za krzewami, wytworne damy i elegancy panowie jadą na wyścigi. Nic nie było ważne, cały świat zniknął, istniała tylko czysta żądza, którą musieli natychmiast zaspokoić.

Co bezzwłocznie uczynili.

Rozdział 26

Romans Claire i Hanka w pełni rozkwitł. Doskonale do siebie pasowali. Byli beztroscy. Namiętni. Nienasyчени. Uwielbiali dobrą zabawę. Nie obchodziło ich, co myślą i mówią o nich inni. Wcale nie kryli się ze swoją zażyłością. W zasadzie cały czas spędzali ze sobą.

Podczas pierwszej wspólnie spędzonej nocy zgodzili się, że ten letni romans nie przerodzi się w nic więcej.

Żadne z nich nie pragnęło trwałego związku. Nie chcieli zacieśniać relacji. Nie wiązali ze sobą nadziei. Nie planowali wspólnej przyszłości. Nie stawiali sobie wymagań. Nie oczekiwali wierności i uczucia aż po grób. Cieszyli się swobodą oraz brakiem zobowiązań, i to im odpowiadało. Przecież tak właśnie miało być, prawda?

Rzecz w tym, że życie lubi płać figle, a serce nie zawsze słucha głosu rozsądku. Tak się wydarzyło również w tym wypadku.

Claire przyłapała się na tym, że ze strachem myśli o dniu, w którym utraci swojego cudownego księcia z bajki.

Hank ze zdumieniem odkrył, że nie ma najmniejszej ochoty wracać do Nevady bez swojej namiętnej księżnej.

Claire po prostu nie mogła uwierzyć, że okazała się na tyle nierozsądna, by pokochać mężczyznę, który nigdy nie taił, iż ani myśli kiedykolwiek wiązać się z jedną kobietą. Nie tak to sobie zaplanowała. To miał być krótki romans bez zobowiązań i bez żadnych konsekwencji. Wiedziała już, że po powrocie do Anglii będzie nieszczęśliwa i że tak łatwo nie zapomni Hanka.

Hank śmiał się z siebie: jakim durniem musiał być, skoro zakochał się w niezależnej arystokratce, która przejmowała się wyłącznie sobą i nie potrzebowała absolutnie nikogo do szczęścia. Nie powinien był zapominać, że księżna jest pełną życia i temperamentu wyzwoloną kobietą. Miała wielu kochanków, nim go poznała, i z pewnością znajdzie ich mnóstwo, gdy się rozstaną.

Podobnie jak on nie będzie narzekał na brak kobiet. Tylko czy choć jedna z jego przyszłych kochanek będzie w stanie dorównać księżnej? Urodą, wdziękiem, temperamentem, inteligencją? Czy z którąkolwiek będzie czuł się tak dobrze jak z tą nieokiełznaną arystokratką?

Ich romans przebiegał gwałtownie, burzliwie, podniecająco. Zaangażowanie i małżeństwo zupełnie nie pasowały do takiego scenariusza. Żadne z nich nie

pragnęło stałego związku, gdyż nie był im on do niczego potrzebny.

A może się mylili?

Może oszukiwali samych siebie?

Ciepłe słoneczne dni i chłodne posrebrzone księżycową poświatą noce miały stanowczo zbyt szybko. Claire żałowała, że nie ma magicznej różdżki, którą mogłaby zatrzymać czas. Gdyby istniała taka możliwość, natychmiast unieruchomiłaby wskazówki zegarów i cieszyła się chwilą.

Kiedy jeden jedyny raz w życiu postanowiła zachować się nierozsądnie i nieodpowiedzialnie, nawet nie oczekiwała, że będzie się czuła tak wspaniale. Wcale nie chciała tego tracić. Choć to niewiarygodne, wszyscy dali się nabrać na jej mistyfikację. Nikt, nawet podejrzliwa Caroline Whit, nie kwestionował jej tożsamości. Bez większego trudu przekonała ludzi, że jest słynną księżną Beaumont, i dzięki temu zapewniła sobie najbardziej fascynujące lato w swoim dwudziestosiedmioletnim życiu.

Kres tej bajki zbliżał się jednak nieubłaganie. Claire zostało coraz mniej czasu.

W tę niedzielną sierpniową noc, na dzień" przed przybyciem prawdziwej księżnej Beaumont, Claire leżała w ramionach Króla Srebra i myślała o tym, czego on nawet nie podejrzewał. Był to ich ostatni wspólny wieczór.

Już nigdy nie obudzi się u jego boku. Już nigdy nie zobaczy go z samego rana, tuż po otwarciu oczu.

Na myśl o tym poczuła bolesny ucisk w piersi. Uwielbiała budzić się każdego ranka w łóżku, w którym oprócz niej sypiał ten cudowny mężczyzna. Oddałaby wszystko, by móc dalej cieszyć się nim, jego ciałem i bliskością, by się z nim kochać, rozmawiać, przekomarzać...

Gdy odpoczywał, wydawał się spokojny, łagodny, niewinny. Nieraz budziła się rankiem i dyskretnie go obserwowała, zadowolona z możliwości podziwiania go w całej krasie.

Teraz objęła go mocniej i przywarła do jego gorącego umięśnionego ciała. Leżeli w łóżku w apartamencie na piętrze posiadłości. Drzwi balkonowe pozostawili otwarte. Noc była cicha i spokojna, nie wiał nawet lekki wiatr. Z oddali docierały ciche dźwięki muzyki i radosne śmiechy, które się niosły w rozrzedzonym górskim powietrzu.

Wolną ręką Hank bawił się niepowtarzalnym medalionem, z którym Claire nigdy się nie rozstawała. Zamyślony, przesuwiał kciukiem po gładkim dysku z macicy perłowej, na którym widniał wykonany w złocie profil. Zauważył ten

medalion już pierwszego dnia ich znajomości. Claire wyjaśniła, że wizerunek przedstawia jej matkę, a medalion jest dla niej tak cenny, że nie ma zwyczaju go zdejmować, nawet do snu.

– Jesteś dziś wyjątkowo milcząca, kochanie – zauważył i ziewnął. – Coś cię kłopotczy, moja droga? Powiniennem o czymś wiedzieć? Czy coś cię trapi?

– Skąd, kochany, wszystko w porządku – odparła Claire wesoło. Kunsztu aktorskiego pozazdrościć by jej mogła nawet słynna Sarah Bernhardt.

Wczesnym rankiem następnego dnia Claire obudziło ciche pukanie do drzwi apartamentu. Hank spał jak zabity. Zirytowana, że kamerdyner ma czelność zakłócać im spokój o tej porze, ostrożnie wyśliznęła się z łóżka. Narzuciła na siebie szlafrok, zawiązała pasek i poszła do salonu. Gdy uchyliła drzwi wejściowe, zamrugła powiekami ze zdziwienia. Na progu stała Olivia, a na jej obliczu malował się niepokój. W dłoni trzymała tajemniczą żółtą kopertę, starannie zapieczętowaną. Był to telegram.

– Poślaniec przed chwilą dostarczył tę przesyłkę – wyjaśniła Olivia szeptem i wręczyła wiadomość Claire. – Pomyślałam, że może chodzić o coś ważnego.

Claire zeszywniała, pojmując, z czego wynikał pośpiech starszej pani. Najwyraźniej coś się stało. Dyskretnie wyszła na korytarz i cicho zamknęła drzwi. Wzięła do ręki kopertę, pospiesznie ją rozdarła i wydobyła ze środka kartkę papieru. Widniał na niej następujący tekst:

Droga pani Orwell!

Nastąpiła zmiana planów. Nie przyjeżdżam do Saratogi dziewiętnastego sierpnia. Przyjazd przełożony na poniedziałek, dwudziestego szóstego sierpnia.

Charmaine Beaumont Claire przeczytała telegram raz, potem drugi i trzeci. Nie mogła w to uwierzyć.

Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech, kiedy oddawała kartkę Olivii. Starsza pani szybko odczytała treść telegramu i również się uśmiechnęła. Rozłożyła szeroko ręce i mocno uścisnęła Claire.

– Mamy szczęście. Wygnanie z rajy odroczone – wyszeptała prosto do ucha przyjaciółki.

– Jeszcze trochę zabawimy w Edenie. – Claire przytuliła Olivię i cofnęła się o krok. Ruchem głowy wskazała drzwi. – Niewinny Adam jest tuż obok. Czeka, aż przyjdę i zacznę go kusić.

Nie zdołała się opanować i wybuchnęła śmiechem. Olivia posłała jej

ostrzegawcze spojrzenie i przyłożyła palec do warg. Nic to jednak nie pomogło. Claire nie potrafiła pohamować wesołości, przycisnęła więc dłoń do ust i zbiegła po schodach, dusząc się od śmiechu. Olivia, również rozchichotana, podążyła za przyjaciółką.

Kamerdyner patrzył na nie, jakby postradały rozum, a gdy wypadły przed drzwi wejściowe i wbiegły na taras, prychnął zirytowany. Pierwszy raz miał do czynienia z arystokratką, która zachowywała się równie niekonwencjonalnie.

Obie panie usiadły na schodach przed tarasem, śmiejąc się tak serdecznie, że po ich policzkach spływały łzy.

Kiedy wreszcie się uspokoiły, Olivia otarła oczy wierzchem dłoni i odetchnęła głęboko.

– Ewo, skończ z tymi żartami i lepiej wracaj na górę, nim Adam się obudzi – zasugerowała.

Claire skinęła głową. Ponownie uściskała przyjaciółkę, wstała i weszła do domu.

Kiedy biegła po schodach, przepęniała ją olbrzymia radość. Nawet nie podejrzewała, że nieunikniony moment rozstania się odwlecze. Teraz zyskała jeszcze kilka dni, które mogła spędzić z Hankiem. Jeszcze jeden tydzień z wymarzonym kochankiem. To razem sto sześćdziesiąt osiem dodatkowych godzin z mężczyzną, którego nigdy nie zapomni.

W skrytości ducha poprzysięgła sobie, że wykorzysta ten czas jak najlepiej. Każdą chwilę spędzi z Hankiem. Nie spuści z niego oka nawet na minutę! Nie zmarnuje ani sekundy!

– Charmaine, w tym tygodniu muszę na jeden dzień wybrać się do miasta – oświadczył Hank tego samego ranka, niedługo po tym jak wstali. Zdążyli się ubrać i właśnie wybierali się na śniadanie do hotelu, jak to mieli w zwyczaju. – Pojadę w środę.

W ten dzień nie wystawiamy koni do żadnej gonitwy. Wczesnym rankiem złapię pociąg i wrócę przed kolacją.

– Jeden dzień w Nowym Jorku? Fantastycznie – ucieszyła się Claire. – Jadę z tobą.

– Och, nie, księżno – zaprotestował i pokręcił głową. – Zostaniesz tutaj i odpoczniesz. – Uśmiechnął się rozbijając, pocałował ją w czubek głowy i zaproponował: – Może zabierzesz Olivię na obiad do jednego z hoteli? Na pewno byłoby jej bardzo przyjemnie, pewnie nigdzie nie bywa i czuje się nieco samotna – Kochanie, bardzo chętnie udałabym się gdzieś z Olivią, ale wolę jechać z tobą do

Nowego Jorku.

– Może innym razem. To naprawdę nie najlepszy pomysł.

Zachowanie kochanka nieprzyjemnie zaskoczyło Claire.

– Wolałabym jednak, skarbie, żebyś w środę zabrał mnie z sobą – oświadczyła z naciskiem. Czuła się coraz bardziej niezręcznie. – Moglibyśmy...

– Najdroższa, to zwyczajna podróż w interesach – przerwał jej Hank. Sprawiał wrażenie spiętego, kiedy wzruszył ramionami i dodał: – Będę zajęty przez cały czas pobytu w mieście. Tylko byś się nudziła, lepiej zostań i spędź trochę czasu na rozrywkach. Taka krótka rozłąka ze mną na pewno dobrze ci zrobi. Już Uczę na gorące powitanie, i to bardzo!

Rozdział 27

Nowy Jork 19 sierpnia, poniedziałkowe popołudnie

W majestatycznym, kamiennym budynku posiadłości przy nowojorskim Central Parku mieścił się znany i ceniony dom schadzek, prowadzony przez zamożną i elegancką madame. Tego popołudnia dama wezwała do saloniku pół tuzina swoich najbardziej urodziwych i atrakcyjnych podopiecznych.

Panna Abigail, pulchna dama o jasnej jak mleko cerze, czarnych jak skrzydło kruka włosach i przenikliwych błękitnych oczach, niegdyś obiekt westchnień niemal wszystkich mężczyzn w rodzinnym mieście, nazwała swój przybytek Palmetto Palace, aby w ten sposób uczcić Alabamę, z której pochodziła.

Podstarzała ślicznotka z Południa dotarła na wschód po wojnie secesyjnej, która doprowadziła do ruiny jej niegdyś zamożną rodzinę. Panna Abigail nie była w ciemną bita. Od losu dostała w prezencie nie tylko urodę, ale i bystry umysł. Nigdy wcześniej nie musiała pracować, w związku z czym niewiele potrafiła. Postanowiła wykorzystać swój największy atut i zarabiać na życie ciałem. Ciężko pracowała i odłożyła niemałą sumkę. Po kilku latach uznała, że ma już dosyć i że nadeszła pora, by zarabiała dla niej inne młode i piękne kobiety.

Inteligentna, urocza i trzeźwo myśląca panna Abigail sprawiła, że w jej domu rozkoszy najstarszy zawód świata stał się profesją niemal godną szacunku.

Palmetto Palace cieszył się opinią miejsca, gdzie pracowały wyłącznie najładniejsze dziewczęta z całej okolicy, a do tego niegłupie. Potrafiły zabawiać klientów nie tylko cielesnie, również intelektualnie. Dostojna dama wysoko ceniła swoją pracę: dżentelmen bez grubego portfela nie miał czego szukać w jej przybytku.

Jeśli jednak mężczyzna był dostatecznie zamożny i nie miał węża w kieszeni, z pewnością doceniał to, że wszystkie jego potrzeby cielesne – choćby najbardziej wyszukane, takie, o jakich nie odważyłby się głośno mówić – zostaną z chęcią zaspokojone przez gromadkę najpiękniejszych kobiet w kraju.

Za zamkniętymi drzwiami wytwornych buduarów na piętrze imponującej budowli w sąsiedztwie rozległego parku wszelkiego typu fantazje przybierały formę podniecającej rzeczywistości. Goście niezwykle to sobie cenili.

Sześć starannie wyselekcjonowanych panien do towarzystwa zajęło miejsca na miękkich kanapach i fotelach w salonie. Madame z trudem skrywała entuzjazm.

Kobiety, w mniejszym lub większym stopniu rozebrane, były bardzo niezadowolone, gdyż panna Abigail przerwała im zwyczajową drzemkę.

Poszły do łóżka – po to, aby się przespać po trudach pracy, rzecz jasna – dopiero grubo po świcie. Z reguły sypiały aż do późnego popołudnia, a teraz nie minęła jeszcze trzynasta. Ziewając i przeciągając się, piękne panie zgodnie narzekały, że wolałyby zażyć jeszcze trochę snu i że wieczorem będą źle się prezentowały, gdyż, jak powszechnie wiadomo, jego brak lub niedostatek fatalnie wpływa na urodę.

– Dziewczęta, dziewczęta – upomniała narzekające podopieczne panna Abigail i klasnęła w dłonie, aby uciszyć jazgot. – Będziecie zadowolone, że was obudziłam, kiedy tylko wysłuchacie nowin. – Rozpromieniona powiodła wzrokiem po twarzach zgromadzonych. – Otóż w tym tygodniu, w środę, do Palmetto Palace zawita pewien niezwykle hojny gość. Ten bogaty dżentelmen przybędzie około...

Przerwała jej dostojna piękność o jasnych błyszczących lokach, które sięgały talii, i promiennych błękitnych oczach.

– Czyżby chodziło o klienta, o którym tak dużo słyszałyśmy? – spytała z żywym zainteresowaniem. – O słynnego doktora? Wyjątkowo zamożnego dżentelmena o dość wyrafinowanych preferencjach?

– Otóż to. Chodzi właśnie o niego – potwierdziła panna Abigail. – Teraz już wiecie, co to oznacza.

Dżentelmen ten charakteryzuje się zróżnicowanym gustem w doborze kobiet. Jednego roku preferuje rudowłose, następnego brunetki. Ten rok upływa pod znakiem blondynek, o czym przed chwilą powiadomił mnie jego zaufany emisariusz.

Zebrane w salonie dziewczęta popatrzyły po sobie i powoli pokiwały głowami. Wszystkie miały jasne włosy, choć nie zawsze naturalne.

– Wybrałam waszą szóstkę, bo jesteście blondynkami, nie brak wam odwagi i wszyscy cenią waszą urodę. Przekażę Pierre'owi, by przyszedł jutro i starannie rozjaśnił wszystkie ciemne odrosty, które mogły się już pojawić na waszych włosach. – Dziewczęta zgodnie jęknęły, gdyż żadna z nich nie lubiła czasochłonnych zabiegów fryzjerskich. Panna Abigail puściła ich sprzeciw mimo uszu. – Kiedy będziecie blondynkami, nasz klient z pewnością będzie zadowolony z was wszystkich lub z tej jednej, którą wybierze.

– Będzie można zarobić... – Długonoga, mocno zbudowana kobieta w czarnym kimonie zawiesiła głos.

– To prawda, moja droga – potwierdziła madame. – Dziewczęta otrzymywały

wyjątkowo sowite wynagrodzenie.

– Z którego lwia część trafiała do twojej kieszeni – zauważyła uszczypliwie piękna blondynka, – Simone, która miała opinię najbardziej złośliwej dziewczyny w Palmetto.

Jej koleżanki zachichotały głośno. Panna Abigail również nie kryła rozbawienia.

– Zgadza się. W formie ponadplanowej premii – wyjaśniła pogodnie. W jej okrągłych policzkach pojawiły się dołeczki. – Dlatego tak sobie cenię tego klienta. Doktor słynie z tego, że swej ulubienicy, a niekiedy nawet kilku szczęśliwym wybrankom losu, chętnie ofiarowuje drogocenne przedmioty.

– Ja chcę szmaragdy! – oznajmiła natychmiast urocza drobna Lulu, ulubienica dżentelmenów w starszym wieku, i odsunęła błyszczące jasne włosy z twarzy.

– A ja tam wolę brylanty – rozmarzyła się młodziutka Jennie o wyglądzie aniołka.

– Pozwólcie mi skończyć, to będziecie mogli wreszcie udać się na spoczynek...

– zniecierpliwiła się panna Abigail. – W tym roku niektóre z was odwiedzą cennego klienta w Saratoga Springs. Czekają już na was zarezerwowane apartamenty w willach hotelu United States. – Ponownie powiodła wzrokiem po twarzach dziewcząt i pokiwała głową. – Macie tam chodzić ubrane w drogie modne suknie, a żywić się niemal wyłącznie kawiozem i szampanem, lecz nie wolno wam będzie opuszczać wyznaczonych willi. Nasz klient oczekuje, że będziecie gotowe na jego wezwanie o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko przyjdzie mu ochota cieszyć się waszym towarzystwem. Pamiętajcie o tym.

– Nigdy nie byłam w Saratodze – zauważyła Lulu i przeciągnęła się leniwie.

– Ja też chcę jechać, koniecznie. – Jennie ledwie mogła usiedzieć na miejscu. – Już moja w tym głowa, żeby mnie polubił i...

– Z pewnością cię polubi, Jennie – przerwała jej panna Abigail. – Przypadniesz mu do gustu, to oczywiste. A teraz możecie wracać na górę i jeszcze trochę pospać. Poczekaj, Jennie. Jeśli pozwolisz, chciałabym jeszcze zamienić z tobą słowo.

– Oczywiście, panno Abigail – zgodziła się Jennie ochoczo. Jej głowę wypełniły już wizje przystojnego klienta, który obsypuje ją brylantami.

Kiedy pozostałe damy do towarzystwa sobie poszły, panna Abigail usiadła na kanapie obok rozpromienionej Jennie. Wzięła ją za rękę i powiedziała:

– Moja droga, szczęściara z ciebie. Spotkał cię prawdziwy zaszczyt. Otóż ty pierwsza będziesz zabawiała naszego czcigodnego gościa, którego, jak się zapewne zorientowałaś, dziewczęta nazywają doktorem.

Duże oczy Jennie przybrały rozmiary okazałych spodków.

– A więc to rzeczywiście lekarz? – spytała z niedowierzaniem. – Przystojny pan doktor o pięknych dłoniach?

– Niezupełnie – sprostowała panna Abigail z tajemniczym uśmiechem. – Pamiętaj jednak, moja droga, że za wieczór spędzony z nim otrzymasz znaczącą sumę.

Rozdział 28

Dochodziło południe, kiedy błyszczący czarny powóz zaprzężony w karę konie zajechał przed majestatyczny i reprezentacyjny hotel Waldorf w Nowym Jorku. Tuż za powozem podążały dwa wozy bagażowe. Na ten widok portier w eleganckiej liberii natychmiast strzelił palcami, przywołując kilku boyów hotelowych, i dopiero wtedy pospiesznie wyszedł na powitanie gości.

Uśmiechnął się promiennie i wyciągnął dłoń w rękawiczce ku klamce powozu, kiedy drzwi nagle otworzyły się gwałtownie i uderzyły go w pierś. Portier ledwie zdołał zachować równowagę. Pucułowaty, mniej więcej dwunastoletni chłopak o rozczochranej brązowej czuprynie, ubrany w brudną, niegdyś białą koszulę i równie brudne spodnie, wyskoczył z powozu i wybuchnął śmiechem, widząc grymas bólu na twarzy portiera.

Za niewychowanym dzieciakiem wygramolił się następny, dwa lub trzy lata młodszy. Ten drugi był jeszcze bardziej opasły i zapuszczony niż pierwszy, chociaż już na pierwszy rzut oka było widać, że ubrania obu kosztowały majątek. Brudne spodnie młodszego łobuziaka były porwane na kolanie, a w jego poplamionej koszuli brakowało guzików. Urwis zachichotał urągliwie, kopnął portiera w piszczel i pokazał mu język.

– Chłopcy, proszę grzecznie – zabrzmiał z wnętrza powozu niezbyt surowy opasły głos. Łobuziaki nie zwróciły najmniejszej uwagi na upomnienie. – Jeśli się nie uspokoicie, pójdziecie spać bez kolacji – zagroził ojciec niesfornej dwójki i wyszedł z kabiny, pomrukując coś do siebie i chrząkając.

– Witamy w naszym hotelu, lordzie Nardees – powiedział portier i pochylił się nisko przed korpulentnym arystokratą.

Lord ubrany był w kosztowny, starannie skrojony na miarę surdut, niestety, zdecydowanie na niego za mały. Nie chciał się dopiąć na masywnym torsie, a spodnie zsunęły się nisko pod ogromne i obwisłe brzuszysko. Co gorsza, eleganckie ubranie było wypaprane smarem i brudem.

– Dobry człowieku, zechciej pomóc lady Nardees oraz mojej uroczej córeczce – polecił opasły lord i podrapał się pod pachą przez pomarszczony materiał surduta.

– Naturalnie, proszę pana – zapewnił portier.

– Pochylił się, by spełnić życzenie arystokraty i ponownie został zaatakowany. Tym razem napastnikiem okazała się mała pulchna dziewczynka. Wyciągnęła ręce ku portierowi, chwyciła go za szyję i wskoczyła na niego niczym małpka, która ma

chętkę połuścić się na gałęzi drzewa.

Portier delikatnie chwycił za ręce dziecko o umorusanej buzi, oderwał je od swojej szyi i łagodnie postawił na ziemi. Zasmarkana dziewczynka stanęła przy jego łokciu, ani myśląc się odsunąć. Najwyraźniej mocno rozgoryczona postawą mężczyzny, szarpnęła go za rękaw.

– Wstręciuch! – krzyknęła i wykrzywiła buzię, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem. – Dlaczego postawiłeś mnie na ziemi? Podnieś mnie! Zanieś mnie do środka! Jestem zmęczona i nie mam zamiaru chodzić! – Tupnęła nogą, trafiając w stopę portiera, następnie wytarła mokry nos w rękaw utyłanej, organdykowej sukienki. – Tata powiedział, że nie będę musiała chodzić!

– Katherine, kochanie, cofnij się trochę – polecił dziecku lord Nardees. – Nie martw się, maleństwo, ktoś na pewno cię wniesie do środka. – Poklepał ją po głowie. – A teraz poczekamy, aż twoja kochana mama wysiądzie z powozu.

Portier, który niejedno już widział na swoim stanowisku, zachowywał niezmacony spokój. Przez lata pracy nauczył się trzymać emocje na wodzy i ich nie okazywać. Ostrożnie wyciągnął rękę do pasażerki, kobiety niskiej i tak grubej, że ledwie mieściła się w drzwiach powozu.

Lady Nardees zmarszczyła brwi. Jej okrągła twarz lśniła od potu. Miała na sobie drogie ubranie prosto od modnego krawca, wygniecione tak, jakby w nim od kilku dni spała. Wyraźnie zirytowana, najwidoczniej postanowiła się na kimś wyżyc i z miejsca przystąpiła do besztania Bogu ducha winnego portiera.

– Nie stój tak, arogancie! – wykrzyknęła, jeszcze zanim jej małe stopy dotknęły chodnika. – Kij połknąłeś? Co ty sobie wyobrażasz? Natychmiast pomóż mi wyjść!

– Tak, oczywiście, lady Nardees – odparł portier uprzejmie i wyciągnął rękę.

Nawet na nią nie spojrzała. Potrząsnęła przecząco głową, kołysząc sztywnymi loczkami.

– Czy ty oślepieś? Nie widzisz, że jestem drobną kobietą? – prychnęła wzburzona. – W twoim przekonaniu powinnam zeskoczyć na ziemię? Tak to sobie wyobrażasz?

– Ależ skąd, co też pani mówi, ja tylko...

– Natychmiast chwyć mnie rękami w talię i postaw na chodniku, durniu! – ryknęła.

Portier nie miał pewności, gdzie też może znajdować się talia opasłej damy. Zaryzykował jednak i położył dłonie mniej więcej w połowie arystokratki, tam, gdzie, jego zdaniem, powinna mieć talię. Niestety, nie trafił. Lady Nardees szybko przesunęła jego ręce kilka centymetrów niżej i warknęła groźnie:

– Nie tak wysoko! To nie jest tafia! Czyś ty postradał zmysły? Jestem oburzona, że usiłowałeś dotknąć mnie w niestosowny sposób. Chyba powinnam poinformować twój przełożony o tej niewiarygodnej bezczelności i nalegać na twoje natychmiastowe zwolnienie. Kierownictwo hotelu Waldorf z pewnością nie zaaprobuje takiego zachowania. Na twoje miejsce czeka wielu chętnych.

– Lady Nardees, pokornie błagam o wybaczenie – poprosił portier z rezygnacją.
– Nie miałem zamiaru...

– Próbowaleś zbliżyć się do mnie, arogancie! – wrzasnęła dama. – Usiłowałeś się spoufalać. Coś podobnego! Takiej bezczelności nie będę tolerowała!

– Raz jeszcze proszę o przyjęcie moich najszczerzych przeprosin, lady Nardees – powtórzył portier. Miał nadzieję, że jego twarz nie zrobiła się czerwona z narastającej złości. O niczym nie marzył tak bardzo, jak o uciszeniu wydzierającej się arystokratki ciosem pięści.

– No dobrze, tym razem ci daruję – powiedziała w końcu lady Nardees nieco łaskawszym tonem. – Na przyszłość masz być uważniejszy. Nie wolno kłaść rąk wszędzie tam, gdzie przyjdzie ochota. Nie pozwolę, by byle pomoc najemna obmacywała mnie i poklepywała, jakbym była niemoralną prostytutką z niższych sfer. Może ciężko jest ci się opanować, ale nigdy więcej nie pozwalaj sobie na podobne zachowanie.

– W pełni rozumiem, lady Nardees. Raz jeszcze pokornie proszę o wybaczenie – odparł.

– Zachwiał się pod ciężarem grubaski, kiedy wychyliła się z powozu, otoczyła jego szyję tłustymi rękami i padła mu w ramiona, podobnie jak jej córka chwilę wcześniej. Usiłując odzyskać równowagę, portier zrobił parę niepewnych kroków do tyłu, jeden do przodu, a gdy w końcu stanął w miejscu, ostrożnie pozbył się niewygodnego bagażu, odstawiając arystokratkę na chodnik.

Męcząca woń słodkich perfum mieszała się z intensywnym odorem jej potu. Ta mikstura momentalnie przyprawiła portiera o mdłości, więc wstrzymał oddech, podczas gdy lady Nardees poprawiała wymięte ubranie. Po chwili odwróciła się i dziarskim krokiem, dość zaskakującym u tak ociężałej osoby, wmaszerowała do hotelu.

Portier zerknął na rozpuszczoną dziewczynkę, która nadal stała u jego boku. Zesztywniał, gdy oparła pulchne dłonie na biodrach i popatrzyła na niego buńczucznie.

– Mój ojciec wyraźnie powiedział, że masz mnie zanieść do pokoju! Na co czekasz? Do roboty! – Tupnęła nogą, aby podkreślić wagę własnych słów.

Portier rozejrzał się i skinął na potężnie zbudowanego boya.

– Mac, młoda dama życzy sobie, aby ją zanieść do środka – oznajmił.

– Oczywiście – powiedział boy i ruszył ku rozwydrzonej dziewczynce.

Przed przyjazdem brytyjskiego arystokraty i jego rodziny personel hotelowy został starannie poinstruowany, jak należy traktować tych wyjątkowych gości. Baron z rodziną nie po raz pierwszy odwiedzał hotel Waldorf. Dwa lata temu zawitali do tego miejsca zaraz po jego otwarciu. Pobyt tak bardzo przypadł im do gustu, że powrócili rok później. Tym razem odwiedzali hotel po raz trzeci.

Wszyscy wiedzieli, czego się spodziewać po tych arystokratach. Lordostwo sprowadziło ze sobą trzech służących, którzy i tak nie mogli nadążyć z zaspokajaniem wygórowanych potrzeb licznej rodziny. Z tego względu dyrekcja hotelu Waldorf wydelegowała cztery osoby z własnego personelu, aby stosownie powitać szacownych gości i odpowiednio uprzyjemnić im pobyt.

Mali bracia Nardeesowie ganiłi po przestronnym holu, wrzeszcząc i ścigając się nawzajem. Inni goście hotelowi robili wielkie oczy na widok ich szaleństw, aż wreszcie cała rodzina została zaprowadzona do przestronnego apartamentu.

Katherine uparła się, że chce na barana, i pisnęła z radości, kiedy muskularny boy spełnił jej życzenie. Zaciśnęła mu ręce na gardle, wbiła kolana w żebra i ukłuła go piętami w boki, jakby był jej kucem.

Ulokowanie państwa Nardeesów w przeznaczonych dla nich pokojach potrwało godzinę z okładem. W dwóch salonach apartamentu – jednym małym i kameralnym, drugim całkiem przestronnym – ustawiono na błyszczących stolikach świeżo cięte kwiaty, przede wszystkim róże i storczyki, oraz pozłacane pudełka z wyśmienitymi belgijskimi pralinkami, a także czekoladki w paterach. Czterech pracowników hotelu pomogło osobistej służbie arystokratów w rozpakowywaniu licznych skrzyń i waliz oraz w zapewnianiu rodzinie jak największego komfortu.

Lord Nardees kręcił się od jednego przestraszonego służącego do drugiego i cały czas wykrzykiwał rozmaite, niekiedy sprzeczne ze sobą polecenia. Gdy w końcu wniesiono już większość bagaży, lord powiadomił głównego kelnera, że punktualnie o siódmej oczekuje w apartamencie siedmiodaniowej kolacji, złożonej z wielkiej ilości mięsów oraz dodatków.

Podczas gdy dzieci biegały z pokoju do pokoju, piszcząc i rozrzucając rozmaite przedmioty, lady Nardees zdjęła kapelusz, cisnęła go na bok i opadła na fotel. Wymamrotała gderliwie, że jest jej bardzo gorąco, a ten apartament nie jest urządzony tak gustownie, jakby sobie tego życzyła, podciągnęła pomiętą suknię do kolan i z najwyższym trudem pochyliła się, aby zrolować podwiązki oraz

pończochy w dół, do kostek.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na panujący wokoło chaos, dama sięgnęła po pudełko pralinek, uniosła wieczko i westchnęła z satysfakcją, gdy wpakowała do ust czekoladkę. Słodki smakołyk wprowadził ją w taką rozkosz, że wzniosła oczy ku niebu i jęknęła cicho.

Tymczasem między dziećmi rozpętała się awantura o pokoje. Chłopcy pokłócili się do tego stopnia, że w ruch poszły pięści. Krewcy młodzieńcy tłukli się i przepychali, aż wreszcie obaj przewrócili się na wykwintny dywan w kolorze burgunda i tam stoczyli pojedynek zapaśniczy. W ferworze walki grubasy wpadły na zabytkowy stolik, niegdyś zdobiący letni pałac Napoleona. Bezcenny antyk przewrócił się na ziemię, a wraz z nim upadła kosztowna porcelanowa waza, która roztrzaskała się na kilkanaście kawałków. Na dywan wylała się woda i wysypał bukiet kwiatów.

Lady Nardees usłyszała hałas, lecz nie ruszyła się z miejsca, żeby sprawdzić, co było jego przyczyną.

– Co wy znowu zbroiliście, do Ucha?! – krzyknęła tylko. – Słowo daję, kiedyś mnie wykończycie. Nie mam już do was siły. Niech ojciec się wami zajmie.

Lord Nardees wszedł do pokoju, w którym chłopcy nieprzerwanie okładali się czym popadnie pośród okruchów porcelany i rozrzuconych roślin. Arystokrata westchnął ciężko, pogłaskał się dłonią po brzuszysku, z niezadowoleniem pokręcił głową i zawołał pokojówkę.

Gdy ostatni służący wreszcie opuścił apartament, lord Nardees wyciągnął złoty zegarek z kieszonki w kamizelce, wypchniętej przez ogromny brzuch. Znad zsuniętych poniżej pasa spodni wystawała wymięta koszula.

Właśnie minęła trzynasta.

– Beatrice, gdzie jesteś, moja droga?! – krzyknął do żony.

– Tutaj, Wardley – usłyszał przytłumioną odpowiedź.

– Ruszył w stronę źródła dźwięku, do większego z salonów. Gdy otworzył drzwi, jego żona uniosła wzrok. Wokół jej ust widniały ślady po czekoladzie, a pozłacane pudełko przy jej łokciu było do połowy opróżnione. Lady Nardees uśmiechnęła się radośnie, odstawiając brązowe od czekolady zęby.

– Muszę na chwilę wyjść, moja duszko – wyjaśnił lord Nardees. – Nie masz nic przeciwko temu?

Grubaska sięgnęła po następną pralinkę, wpakowała ją między grube wargi i przystąpiła do przeżuwania.

– Dobrze, idź, mój drogi – wybełkotała z ustami pełnymi jedzenia. – Ale czy

zamówiłeś już kolację?

Rozdział 29

Saratoga Springs

W środę o godzinie pierwszej Claire, Olivia oraz elegancki Fox Connor wspólnie jedli spóźniony lunch, podany na bocznym tarasie posiadłości, z którego roztaczał się widok na wypielęgnowany malowniczy ogród.

Fox delektował się wszystkimi potrawami przygotowanymi przez kucharza, lecz szczególnie przypadł mu do gustu pieczony łosoś z prażonymi migdałami. Olivia bez wahania przyznała mu rację, a następnie grzecznie zauważyła, że butelka schłodzonego, białego wytrawnego wina, którą przyniósł Fox, idealnie pasuje do soczystej ryby.

Claire skinęła głową i uśmiechnęła się do obojga przyjaciół, ale zachowała milczenie. Skubała łososa i sałatę, lecz nie dopisywał jej apetyt. Sączyła tylko wino, praktycznie nic nie biorąc do ust.

Wreszcie dała za wygraną. Nie mogła już dłużej tego ciągnąć. Ostrożnie odłożyła widelec na porcelanowy talerz, sięgnęła po serwetkę, dotknęła nią ust i odłożyła na stół.

– Pozwólcie, że was przeproszę – powiedziała i powiodła spojrzeniem od Olivii do Foxa.

– Ależ księżno, prawie nic nie zjadłaś – zdumiała się Olivia. – Czy coś się stało?

– Och, nie, skąd – zaprzeczyła Claire. – Po prostu nie mam dziś apetytu. Chyba pójdę na spacer po ogrodzie.

Fox natychmiast zerwał się z miejsca i podszedł do Claire, by odsunąć krzesło i pomóc jej wstać.

– Droga księżno, jeśli źle się pani poczuła, może powinienem iść po...

– Nie, nie, niech pan usiądzie – zaprotestowała Claire i uśmiechnęła się przepraszająco do starszego pana. – Nic mi nie jest, zaręczam.

Fox przez cały czas stał, kiedy Claire odchodziła od stołu. Zeszła z tarasu po schodach i skierowała kroki do ogrodu. Była bardzo przygnębiona i zupełnie nie potrafiła tego ukryć.

Olivia i Fox wymienili spojrzenia. Trener usiadł, by wraz z damą do towarzystwa księżnej patrzeć, jak Claire się oddala. Zobojętniała na otaczający świat, machnęła tylko ręką, kiedy do jej uszu dotarł okrzyk Olivii, upominającej ją,

by włożyła czepek, bo słońce da jej się we znaki.

Starsza pani z dezaprobatą pokręciła głową.

– Zupełnie mnie nie słucha. Niekiedy bywa trochę uparta – powiedziała z westchnieniem.

– Jak my wszyscy, prawda, moja droga? – zauważył z uśmiechem Fox.

Olivia pokiwała głową. Wkrótce ponownie zaczęli dyskutować na temat koni i wyścigów. Od kiedy Fox stał się jej przyjacielem, Olivia odkryła w sobie zamiłowanie do wyścigów koni pełnej krwi angielskiej. Za pozwoleniem Claire czasami chodziła popatrzeć na gonitwy. Gdy tylko docierała na tory, pospiesznie biegła do kas dla dam, by obstawić swoich faworytów. Uzbrojona we wskazówki Focha, niemal za każdym razem trafnie typowała zwycięzców, dzięki czemu zarobiła całkiem przyzwoitą sumkę.

– ... a w jutrzejszej gonitwie bierze udział Wschodnia Tancerka. Spodziewam się, że trafne wytypowanie jej zwycięstwa będzie wycenione na dwa do jednego.

– Bardzo ci dziękuję. Z pewnością na nią postawię – zapewniła Olivia z uśmiechem.

Chociaż oboje rozmawiali na ulubiony temat, Olivia nie potrafiła się skupić. Coraz bardziej martwiła ją Claire. Pozostawało jej mieć nadzieję, że młoda przyjaciółka jest nie tylko uparta, lecz również silna psychicznie.

Kiedy obie uknęły to zręczne oszustwo, polegające na udawaniu przez Claire księżnej Charmaine Beaumont, Claire obiecywała, że – podobnie jak prawdziwa księżna – znajdzie sobie przystojnego kochanka, przeżyje burzliwy krótkotrwały romans, a następnie odejdzie bez żalu. Olivia zaczynała poważnie wątpić w realność tej deklaracji.

Myśląc o tym wszystkim, jednocześnie kiwała głową i uważnie słuchała Connora. Gorąco pragnęła zaufać zrównoważonemu i poważnemu Foxowi. Chciała wyznać mu prawdę, lecz, rzecz jasna, nie mogła tego zrobić. Brak jej było śmiałości, by wtajemniczyć jego – lub kogokolwiek innego – w swoje sprawy. Zresztą nie mogła zawieść zaufania Claire. Musiała zachować dla siebie tajemnicę. Nikt oprócz niej nie mógł wiedzieć, że złotowłosa uwodzicielka, podająca się za księżną Beaumont, jest w rzeczywistości skromną młodą kobietą, która nigdy w życiu nie zachowywała się tak swobodnie i niefrasobliwie jak słynna i piękna arystokratka.

Zastanawiała się, czy Fox zrozumiałby, gdyby zapoznała go z całą tą mistyfikacją i wyjaśniła, jakie motywy kierowały Claire. Była przekonana, że tak. Jeśli trafnie go oceniła, cały spisek ogromnie by go rozbawił. Wiedziała na pewno,

że ma do czynienia z bardzo dobrym człowiekiem, któremu wyjawiała już wiele osobistych tajemnic. Na taką szczerość pozwoliła sobie dotąd wyłącznie w rozmowach z Claire.

Mimo to nie mogła jej zdemaskować. Młoda przyjaciółka nigdy by jej nie darowała takiej nielojalności.

Olivia nie miała wyboru. Musiała odgrywać swoją rolę do samego końca, który zbliżał się nieubłaganie. Kiedy nastąpi, przyjdzie jej wyjechać i pozostawić Foxa w nieświadomości. Dlaczego tak bardzo przejmowała się tym, co nieuchronne?

Z westchnieniem odsunęła talerz i dotknęła plecami oparcia krzesła. Zapadła cisza, która ani jej, ani Foxowi nie wydawała się ani trochę niezręczna. Olivia skierowała wzrok ku pięknemu ogrodowi i patrzyła z troską, jak Claire powoli spaceruje ścieżkami, które krzyżowały się wśród wypielęgowanych krzewów.

– Czy księżna Beaumont ma jakieś zmartwienie? Coś ją trapi? – spytał Fox.

– Och, nie, nie sędzę – odparła Olivia. Oczywiście wiedziała swoje. Popatrzyła znacząco na Connora. – Moim zdaniem ogromnie tęskni za Hankiem i nie może się doczekać jego powrotu. – Starła się nadać głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie. – Ciekawe, czemu Hank pojechał dzisiaj do Nowego Jorku, i to na cały dzień.

Fox wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – wyznał. – Ani słowem nie zdradził mi swoich planów, a brakowało mi śmiałości, żeby pytać. Aż tak się nie spoufalamy.

– Och, to zrozumiałe. Wybacz tę ciekawość. Niemądra jestem... – Zawiesiła głos.

Zaintrygowany Fox pochylił się ku niej nad stołem.

– Olivio – zaczął – Hank i księżna dobrze wiedzą, co robią. Nie są dziećmi. Nie są też niewiniątkami. To ludzie dorośli i mają określone gusta i preferencje, prawda? – Olivia skinęła głową, a Fox mówił dalej: – Zafundowali sobie namiętny romans na jedno lato, zresztą każde z nich w przeszłości zabawiło się już w podobny sposób z innymi osobami. To przecież tajemnica poliszynela. Jestem pewien, że to nie jest ostatni romans żadnego z nich. – Uśmiechnął się. – Byłem świadkiem, jak Hank odchodził od najpiękniejszych kobiet Ameryki. Powszechnie wiadomo, że księżna nudziła się wieloma wspaniałymi admiratorami z Europy i zostawiała ich bez większych skrpułów.

– Tak, oczywiście. Jestem przekonana, że stanie się tak i teraz – skłamała Olivia.

– No widzisz. Nie ma się czym przejmować. Oni doskonale wiedzą, co robią.

Wyśmienicie się bawią i oboje mają świadomość, że ich miłosne igraszki wkrótce dobiegną końca. Żadne z nich nie jest z tego powodu przygnębione. Znajdą sobie innych partnerów i kropka. Zatem nie przejmuj się nimi, porozmawiajmy o czymś weselszym.

Olivia uśmiechnęła się niepewnie.

– Masz rację – przyznała. – Głuptas ze mnie, niepotrzebnie się zadręczam. Widać niektórzy ludzie lubią szukać problemów nawet tam, gdzie ich nie ma. – Pokręciła głową i westchnęła. – Może skusisz się na deser? Widziałam, jak kucharka zanurzała świeże truskawki w rozpuszczonej czekoladzie.

– Z prawdziwą rozkoszą, moja droga – odparł Fox natychmiast. – Już nie mogę się doczekać.

–

Rozdział 30

Nowy Jork

– Stój! Stań właśnie tutaj! – wykrzyknął Hank zniecierpliwiony, kiedy wynajęty powóz skręcił z Madison Avenue na ulicę Wschodnią Trzydziestą Czwartą.

Wyskoczył z kabiny, zanim jeszcze pojazd na dobre znieruchomiał. Chwilę wcześniej dostrzegł bardzo skromnie ubraną parę młodych ludzi, którzy powoli szli chodnikiem. Od razu zorientował się, że nieznajomi, jasnowłosa mężczyzna o poważnym obliczu oraz zapłakana, drobna i młoda brunetka w zaawansowanej ciąży, potrzebują pomocy.

Młodzieniec podtrzymywał towarzyszkę. Otoczył ją ręką w talii, jej głowę oparł na swoim ramieniu. Częściowo włókł dziewczynę, częściowo niósł, a jego zatroskana twarz była zroszona potem. Brunetka, ewidentnie tuż przed porodem, krzywiła się z bólu, a po jej policzkach spływały łzy.

Hank szybko podbiegł do nieszczęsnej pary i pytająco spojrzął na mężczyznę.

– Słyszeliśmy, że na tej ulicy jest szpital – wydyszał nieznajomy.

– To prawda, jest – przyznał Hank. – Cztery przecznice stąd. Proszę wsiadać, podwiozę państwa.

– Wiemy od przyjaciela, że w tym szpitalu najpewniej nas przyjmą, chociaż nie mamy pieniędzy. Czy to rzeczywiście prawda? – spytał mężczyzna ostrożnie.

– Gwarantuję, że tak się stanie – zapewnił Hank, po czym chwycił cierpiącą kobietę i ostrożnie zaprowadził ją do powozu. – Proszę do środka! – rzucił przez ramię. – Nie mamy chwili do stracenia.

Mężczyzna nie protestował.

– Do Szpitala Miłosierdzia! – zawołał Hank do woźnicy i troskliwie posadził kobietę na eleganckiej, skórzanej kanapie.

Ruchem głowy wskazał mężczyźnie miejsce obok żony.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił oboje cichym, łagodnym głosem. – Nie ma się czym przejmować. – Delikatnie poklepał zapłakaną kobietę po dłoni. – Spokojnie, za niespełna pięć minut będzie pani pod opieką lekarza.

Ciężarna nie mogła mówić, tylko kiwnęła głową, aby wyrazić wdzięczność nieznajomemu, który ofiarował im pomoc w tak dramatycznym momencie. W następnej chwili zamknęła oczy, gdyż jej ciało przeszył paroksyzm bólu. Kobieta złapała się za brzuch i przygryzła wargi, aby powstrzymać krzyk.

Kiedy powóz zajechał przed dużym czerwonym budynkiem szpitala na rogu

Wschodniej Trzydziestej Czwartej i Pierwszej Alei, Hank wyskoczył i pobiegł do środka, mężczyzna zaś został w powozie, by podtrzymywać żonę na duchu. Już w szpitalu Hank zażądał pomocy i personel szpitala natychmiast zabrał się do roboty. Dwóch pielęgniarzy w białych fartuchach podbiegło do powozu, aby położyć rodzącą na nosze i jak najszybciej zanieść do budynku.

– Teraz my się nią zajmiemy – zapewnili męża i ostrożnie unieśli obolałą kobietę.

Młody mężczyzna wszedł za nimi do szpitala i ruszył korytarzem, lecz w połowie drogi zatrzymał się, odetchnął głęboko i zawrócił. Przejęty, wepchnął ręce do kieszeni i zaczął niespokojnie spacerować w tę i z powrotem.

– Ona jest w bardzo poważnym stanie – powiedział Hank, który na końcu korytarza zaczepił jednego z lekarzy, zupełnie siwego Clive'a McLoughlina. – Panie doktorze, musi pan niezwłocznie się nią zająć. Jest bardzo młoda i zapewne rodzi pierwsze dziecko. Bez pana pomocy może sobie nie poradzić – Przyjmę poród – zapewnił go doktor McLoughlin. – Potem jednak będziemy musieli przenieść matkę na korytarz. Nie mamy wyboru, brakuje miejsc.

Hank zmarszczył brwi, przypominając sobie, że podczas poszukiwań lekarza zauważył na korytarzu kilka zajętych noszy.

– Czy to znaczy, że w tej chwili nie ma ani jednej wolnej sali? – zapytał.

– Ani jednej – potwierdził lekarz. – Wszystkie łóżka są zajęte. Jesteśmy zmuszeni odmawiać pomocy kobietom, których choroba nie zagraża życiu. Rzecz jasna, rodzące ciężarne zawsze znajdą u nas miejsce, to nie ulega wątpliwości. – Doktor McLoughlin wzruszył ramionami. – Proszę mi wybaczyć, ale lepiej będzie, jeśli już pójde do sali porodowej.

– Tak, proszę iść jak najszybciej. Ta biedaczka potrzebuje pańskiej pomocy.

Hank odszedł, a mijając ustawione wzdłuż korytarza nosze, pokręcił głową ze współczuciem. Było mu żal chorych ludzi, którzy musieli pozostawać w tak trudnych warunkach. Nie mogli Uczyć nawet na odrobinę prywatności, spokoju, ciszy.

Uśmiechnął się jednak na widok przejętego młodzieńca, który niespokojnie dreptał w tę i z powrotem.

– Spokojnie, już jest pod opieką lekarza – poinformował go natychmiast.

. – Dzięki Bogu. – Przyszły ojciec westchnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi.

Hank wziął go pod rękę i zaprowadził do poczekalni. Tam niemal siłą posadził go na krześle.

– Niech pan odpocznie, zaraz wrócę – powiedział.

Ponownie wycofał się na korytarz i skierował kroki prosto do biura administracyjnego, na umówione spotkanie, które było właściwym celem jego wizyty w szpitalu. I tak by się tu zjawił, nawet gdyby nie spotkał pary młodych ludzi.

Po chwili poinformował Davisa Vance'a, zarządcę, że na własne oczy się przekonał, co należy przedsięwziąć w obecnej sytuacji szpitala. Davis Vance skinął głową.

– Gwarantuję panu, że ten problem będzie rozwiązany – zapewnił Hank Vance'a. – Przejdźmy do konkretów.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, potem Hank pożegnał wdzięcznego Davisa Vance'a uściskiem dłoni oraz zapowiedzią rychłej pomocy finansowej dla szpitala.

Po wyjściu z gabinetu zobaczył, że przyszedł ojciec ponownie nerwowo przechadza się po korytarzu. Podszedł do niego z uśmiechem.

– Pańska żona jest w dobrych rękach – zapewnił. – Zajmuje się nią doktor McLoughlin, jeden z najlepszych lekarzy w Szpitalu Miłosierdzia.

Z pewnością nic jej nie grozi. Lada moment pańskie dziecko całe i zdrowe przyjdzie na świat.

Spokojny ton Hanka oraz jego pewność siebie udzieliły się młodemu człowiekowi. Odetchnął z ulgą i wyciągnął rękę, by się przedstawić.

– Bardzo nam pan pomógł, nie poradzilibyśmy sobie bez pana. Nawet nie wiem, jak panu dziękować. Nazywam się Spivey, proszę pana – oznajmił. – Louis Spivey.

– Hank Cassidy. Mów mi Hank.

– Hank, jak mógłbym ci się odwdziżyć? – zapytał Louis natychmiast. – Czy jest coś, co...

Hank wzruszył szerokimi ramionami, uściśnął dłoń rozmówcy i uśmiechnął się krzepiąco.

– Nie jesteś mi nic winien – oświadczył. – Przecież tylko was podwiozłem.

– Dzięki tobie błyskawicznie dotarliśmy do szpitala. Potem niezwłocznie znalazłeś lekarza dla mojej żony. – Louis Spivey cały czas potrząsał dłonią Hanka. – Pomogłeś nam bardziej, niż przypuszczasz. Nie wiem, jak mam ci dziękować.

W pewnej chwili obaj usłyszeli płacz noworodka, dobiegający z głębi korytarza. Pielęgniarka w białym kitlu wystawiła głowę z jednej z sal i pomachała ręką w stronę Louisa. Hank i jego towarzyszy roześmieli się z ulgą i poklepalili

nawzajem po plecach.

– Moje gratulacje, tatusiu – oświadczył Hank z humorem. – Pędź do żony i potomka.

Młody Louis Spivey popatrzył na niego oczami pełnymi łez szczęścia.

– Wiesz co? – powiedział uradowany – Już wymyśliłem, jak ci się możemy odwdziżyć. Na twoją cześć postanowiłem nadać dziecku imię Hank.

Hank odchylił głowę i zaśmiał się serdecznie.

– A proszę bardzo. Mam tylko nadzieję, że to chłopiec – oznajmił i uśmiechnął się do rozmówcy.

Lord Wardley Nardees sapał i dyszał z gorąca, kiedy wchodził do sklepu jubilerskiego Tiffany przy Piątej Alei.

Obsługa uniżenie powitała lorda i zaprosiła go do oddzielnego pokoiku, gdzie opadł na wygodne krzesło przy mahoniowym stole, wyciągnął chustkę i przejechał nią po lśniącej od potu twarzy.

Drobny mężczyzna o przeredzonych włosach natychmiast przyniósł kilka wyłożonych aksamitem tacek, pełnych błyszczącej biżuterii. Rozłożył je na stole przed lordem Nardeesem.

Arystokrata zanurzył tłustą dłoń w wysadzanych brylantami ozdobach i z szerokim uśmiechem satysfakcji podniósł garść błyszczących naszyjników i bransolet, które przelewały się przez jego serdelkowate paluchy.

Po chwili rzucił brylanty z powrotem na tackę i pieszczotliwie pogłaskał obiema dłońmi stopy szlachetnych kamieni. Ekspedient stał przy stole, ręce trzymał splecione za plecami i bacznie obserwował bogatego klienta, który szczyrzył zęby, oblizywał mięsiste wargi, dotykał klejnotów i bawił się nimi w sposób wręcz obleśny.

– Oooch – mrucał lord Nardees i pocierał kciukiem szmaragd o wyrazistym szlifie. – Uhm – sapał, przeciągając po wierzchu dłoni bransoletę z brylantami. – Uuuuuch.

I tak spędził ponad godzinę, pieszcząc każdy drogocenny drobiazg z osobna. W pewnej chwili pracownik sklepu podniósł piękny naszyjnik z rubinami oraz brylantami.

– Ośmielę się zwrócić uwagę waszej lordowskiej mości na ten wyjątkowej urody naszyjnik.

Lady Nardees z całą pewnością będzie zachwycona takim prezentem.

Lord Nardees podniósł głowę, nagle przypominając sobie, że nie jest sam. Zrozumiał też, iż jeszcze przed zmrokiem wszyscy będą wiedzieli o jego wizycie w

tak wyjątkowym i ekskluzywnym sklepie jak Tiffany.

– To prawda – przyznał. – Biorę zatem ten naszyjnik z rubinami i brylantami. W rzeczy samej, będzie się doskonale prezentował na szyi mojej żony. – Uśmiechnął się i po namyśle dodał: – Może skuszę się jeszcze na tę małą, wysadzaną brylantami obrózkę na szyję.

– Doskonały wybór. Czy mam zapakować biżuterię razem czy osobno?

– Zapakuj tylko ten naszyjnik z rubinami i brylantami. Obrózkę wrzucę do kieszeni.

Rozdział 31

Słońce weszło już wysoko i intensywnie świeciło, kiedy Hank wszedł po stopniach imponującego budynku z kamienia, mieszczącego się przy Lexington Avenue. Na parterze budowli znajdowały się biura kancelarii prawniczej Brock, Bailey i Miller. Ciesząca się poważaniem instytucja, działająca we wschodnich stanach Ameryki, przez ostatnie dziesięciolecie kierowała sprawami Hanka w Nowym Jorku i utrzymywała stały kontakt z jego prawnikiem w Nevadzie.

– Hank Cassidy! Jakże miło cię widzieć. Naprawdę, bardzo się cieszę! – wykrzyknął Barry Brock, szczerze zadowolony, i pospiesznie wyszedł z gabinetu, by powitać jednego z najbardziej cenionych klientów. – Dobrze się bawisz w Saratodze tego lata?

– Żebyś wiedział. Chyba nigdy się tak dobrze nie bawiłem – odparł Hank zgodnie z prawdą.

Barry klepnął wyższego mężczyznę w plecy i wybuchnął śmiechem.

– Nie wątpię – oświadczył. – Szybkie konie i piękne kobiety. Czego pragnąć więcej?

– Niczego – przyznał Hank.

Barry zaprosił gościa do biura, którego ściany wyłożono drewnianą boazerią. Wskazał mu obite skórą krzesło o wysokim oparciu. Hank poprawił kanty granatowych spodni i usiadł, Brock zaś obszedł masywne biurko i zajął miejsce na krześle naprzeciwko Hanka. Pochylił się, oparł dłonie o blat biurka i splótł palce.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytał.

Hank popatrzył na niego i wyciągnął cienkie cygaro z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy mogę? – zapytał.

– Ależ oczywiście. – Brock uśmiechnął się. – Pał śmiało, przyjacielu.

Obrócił krzesło i wskazał rząd ciężkich karafek ze szlifowanego kryształu, które stały w niskiej szafce.

– Czy mogę zaproponować ci drinka? – spytał.

Hank zapalił cygaro, zaciągnął się mocno i zaczekał, aż dym przedostanie się głęboko do płuc. Potem niespiesznie wydmuchnął powietrze.

– Odrobina burbona z pewnością nie zaszkodzi – oświadczył.

– Trafny wybór. Sam też chętnie się napiję. – Brock wstał i odkorkował jedną z karafek. Po chwili wręczył szklaneczkę Hankowi. – Za kogo wzniesiemy toast?

– Za Charmaine – odparł Hank bez wahania i wznosił szklanke.

Brock się uśmiechnął i skinął głową.

– Za Charmaine – powtórzył.

Hank, rozkoszując się brzmieniem imienia księżnej, wypił zawartość szklanki jednym haustem.

– Jeszcze raz? – zaproponował Brock.

– Nie, dziękuję. Czeka mnie bardzo męczące popołudnie. – Hank ponownie zaciągnął się cygarem. – Barry, właśnie wracam ze szpitala.

Prawnik skinął ze zrozumieniem głową.

Jego klient miał na myśli Szpital Miłosierdzia przy ulicy Wschodniej Trzydziestej Czwartej. Hank był jedynym dobroczyńcą tego szpitala.

Osiem lat temu dzięki inicjatywie Króla Srebra powstał gmach tej medycznej placówki, a od kiedy otworzyły się jej podwoje, Hank opłacał wszystkie koszty związane z codziennym funkcjonowaniem. W tym czasie setki biednych jak myszy kościelne kobiet bezpiecznie powiło tutaj zdrowe dzieci. Nikt nie nagabywał pacjentek o uiszczenie opłat za leczenie lub za pracę lekarzy.

– Chyba nadeszła pora na wybudowanie nowego skrzydła – ocenił Hank.

Barry zmarszczył brwi i pokręcił głową. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego działalność charytatywna Hanka skupiła się przede wszystkim na finansowaniu szpitala położniczego. To się wydawało irracjonalne. Hank nie miał żony, nigdy nie urodziło mu się dziecko. Nie wiadomo dlaczego samotny mężczyzna tak bardzo interesował się losem młodych, ciężarnych kobiet i postanowił im pomagać.

Hank nie wyjawiał Brockowi, że jego matka, Maureen Ryan Cassidy, zmarła w trakcie porodu. Nigdy nikomu o tym nie mówił, ale przez cały czas pamiętał o tym, że dzień jego narodzin był zarazem dniem śmierci matki. Bardzo często rozmyślał o tym, że gdyby nie byli tak bardzo biedni, ojciec opłaciłby lekarza, który był niezbędny do przyjęcia niezwykle skomplikowanego porodu i uratowania życia nieszczęsnej kobiecie.

Hank miał nadzieję, że wzniesienie szpitala położniczego, zapewniającego darmową opiekę medyczną osobom najbardziej potrzebującym, pomoże chronić życie biednych młodych kobiet, takich jak jego matka.

– Rozbudujmy Szpital Miłosierdzia – zaproponował milioner. – Dodajmy od niego nowe skrzydło, aby pomieścić jeszcze pięćdziesiąt łóżek.

– Pięćdziesiąt łóżek? Ta inwestycja pochłonie mnóstwo pieniędzy.

– Mam mnóstwo pieniędzy, Barry.

– Wiem, niemniej... Chwileczkę. Czegoś tutaj nie rozumiem. Jeśli możesz, spróbuj mi to wyjaśnić. Nie mieszkasz w Nowym Jorku. Rzadko tutaj – przyjeżdżasz. Jesteś właścicielem posiadłości przy Madison Avenue, ale przez cały ten czas spędziłeś w niej tylko kilka nocy, nie więcej. Czy nie powinieneś wesprzeć raczej szpitala w Virginia City? Jestem pewien, że przydałaby się tam każda pomoc finansowa, choćby minimalna.

– Nic z tego – oświadczył Hank nieoczekiwanie.

– Ale dlaczego, na miłość boską?

– Virginia City to mała miejscina. Wszyscy się znają.

– I co z tego?

– Gdybym przekazał choćby pięć czy dziesięć dolarów szpitalowi w Virginia City, informacja o tym dotarłaby do mnie jeszcze przed zachodem słońca.

Prawnik ponownie pokręcił głową.

– Mógłbyś rozwiązać ten problem tak, jak to robimy tutaj, w Nowym Jorku. W dokumencie, stanowiącym tytuł prawny, wystarczy zamieścić klauzulę, że nazwisko ofiarodawcy jest ściśle tajne i nie wolno go ujawniać pod żadnym pozorem.

Hank się roześmiał.

– W Virginia City nie ma tajemnic. Mój prawnik w Nevadzie, niech go Bóg błogosławi, jest jednym z najbardziej niepoprawnych plotkarzy w mieście.

A teraz przygotuj odpowiednie dokumenty, które muszą podpisać. Spieszę się na następne spotkanie.

Saratoga Springs Fox Connor podziękował Claire i Olivii za zaproszenie na lunch i opuścił posiadłość księżnej Beaumont około godziny drugiej.

Olivia odprowadziła go do drzwi i powróciła na taras z tyłu domu, gdzie czekała na nią Claire. Usiadła na huśtawce obok niej i przez kilka minut obie milczały.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytała wreszcie starsza pani.

Claire popatrzyła na nią pytająco.

– Nie wiem, co masz na myśli – oświadczyła.

– Przeciwnie, wiesz doskonale. Coś cię trapi, a ja chyba wiem co.

Claire nie odezwała się ani słowem.

– Przecież widzę, że zakochałaś się w Hanku Cassidym – powiedziała Olivia, bacznie przyglądając się młodej przyjaciółce.

– Nie, chodzi o to, że... że... – Claire zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. –

Nie ma sensu zaprzeczać. To prawda. Tak. Zakochałam się w mężczyźnie, z którym łączy mnie tylko nic nieznaczący, letni romans. Któremu zależy jedynie na tym, żeby ze mną sypiać, na niczym więcej, i to tylko teraz. Potem znajdzie sobie inną i będzie się z nią równie dobrze bawił, może nawet lepiej. – Uśmiechnęła się smutno i popatrzyła na Olivię. – Dalej, śmiało. Wcale nie musisz być uprzejma. No, powiedz to głośno. Jestem najgłupszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałaś, prawda?

– Ależ skąd, moje dziecko – zaprzeczyła żywo Olivia. – Gdy w grę wchodzi miłość, wszyscy tracimy rozum. Doskonale to rozumiem.

Claire zmarszczyła brwi i przesunęła dłonią po złotym łańcuszku, który zdobił jej dekolt.

– Nie powinnam była zakładać, że ujdzie mi na sucho frywolne zachowanie, że nie będę musiała za nie zapłacić. Wstyd mi za siebie, Olivio. Nie zostałam wychowana do tego, by... by... Co ja wyprawiałam! Mama czego innego mnie uczyła. Teraz z pewnością byłaby rozczarowana moim postępowaniem.

– Tak uważasz? – spytała Olivia łagodnie. – Mogłabyś się zdziwić. Życie nie zawsze toczy się tak, jak sobie założysz. Ludzie też nas czasem zaskakują.

Claire zupełnie nie wiedziała, co myśleć o słowach starszej przyjaciółki.

Olivia wyciągnęła rękę i lekko dotknęła medalionu Claire, wykonanego w dwudziestoczerokaratowym złocie profilu pięknej kobiety na dysku z macicy perłowej. W oczach starszej pani zalśniły niechciane, nieproszone łzy.

– Droga Olivio, najmiłsza przyjaciółko. Co się stało? – spytała oszołomiona i zdezorientowana Claire. Machinalnie chwyciła towarzyszkę za rękę.

Przeszło jej przez myśl, że zachowanie Olivii musi mieć związek z wisiorkiem. Starsza pani obserwowała go już wcześniej, jakby wiedziała, że wiąże się z nim mroczna tajemnica.

– Wiesz o mnie coś, o czym ja nie mam najmniejszego pojęcia – powiedziała Claire najłagodniej, jak potrafiła. – Chodzi o jakąś tajemnicę, której nigdy mi nie wyjawiałaś. Popatrzyły sobie w oczy.

– Moje dziecko. – Olivia westchnęła tak cicho, że prawie szeptała. – To podobieństwo... Ten medalion... – Zamilkła na moment, odetchnęła głęboko i oświadczyła łamiącym się głosem: – Wiele lat temu poprzysięgam, że dochowam tajemnicy.

Oczy Claire rozszerzyły się z ciekawości. Pochyliła się ku przyjaciółce i mocno ją objęła.

– Nadszedł czas, kochana – zapewniła ją szeptem i czule poklepała po wąskich

plecach. – Nasza maskarada ma się ku końcowi. Mów. Opowiedz wszystko po kolei.

Olivia spełniła życzenie przyjaciółki. Opowiedziała całą historię ze wszystkimi szczegółami, nic nie zatajając, a Claire chciwie chłonęła i zapamiętywała każde jej słowo.

Opowieść Olivii W tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku królowa Wiktoria panowała już od kilku lat. Były to złe czasy, bardzo trudne. Opowieści Dickensa, tak wielbione przez spóółstwo, które posiadało umiejętność czytania, były pogodnymi bajeczkami dla tych z nas, którzy musieli sobie radzić w tamtych czasach i przetrwali.

Głód. Choroby. Brak nadziei. Jednak my: moja stara mama, Willie Sutton, i ja, przetrwałyśmy, choć początkowo wydawało się to niemożliwe. Mamie doskwierały suchoty, a jak byłam taka chuda i krucha, że ledwie utrzymywałam się na nogach. Osłabiona do granic możliwości, wręcz stałam nad grobem. Pewnego dnia ktoś zapukał do naszych drzwi.

Okazało się, że to jakiś zupełnie mi nieznany, wysoki i dobrze ubrany mężczyzna.

– Willie Sutton? – spytał. – Pani Willie Sutton? Czy zastałem ją tutaj?

– Jest zbyt słaba nawet na to, by umknąć przed wierzycielami – odparłam. – Pewnie pan jest jednym z nich. A jeśli ją pan zastał, to co?

– Proszę jej przekazać, że Nigel Bruce pragnie z nią rozmawiać. – Wysoki dzentelmen uchylił kapelusza.

– A kimże miałby być Nigel Bruce? – spytałam.

– Jej synem – usłyszałam w odpowiedzi.

Byłyśmy uratowane.

W wieku piętnastu lat moja matka została zbałamuciona i porzucona. Wkrótce potem powiła dziecko, chłopca, którego odebrały jej władze, aby przekazać go do adopcji. Maleństwem zaopiekowali się Archibald Bruce i jego bezpłodna żona, Joan, w służbie u lorda Ledeta. Młody Nigel dorastał otoczony miłością, niczego mu nie brakowało. Stary lord Ledet nie miał synów, a że serdecznie polubił Nigela, zadbał o jego staranne wykształcenie.

Tak oto poznałam swojego przyrodniego brata Nigela, trzydziestodwulatka, wziętego prawnika i osobistego sekretarza przy pierwszym lordzie Northwayu, specjalnym doradcy na dworze młodej królowej Wiktorii.

Na wzmiankę o lordzie Northwayu Claire zrobiła wielkie oczy i zaparło jej dech w piersiach. Przez chwilę miała wrażenie, że się udusi.

Nigel wysłał mamę do szpitala i dopilnował, by odzyskała nadwątlone siły i zdrowie. Karcił nas, ubierał i raczył opowieściami o bogaczach i arystokratkach. Postawił jednak pewien warunek: nie wolno nam było z nikim rozmawiać o jego pochodzeniu, koligacjach rodzinnych i wszystkim tym, co go z nami łączyło.

Któregoś dnia latem tysiąc osiemset czterdziestego szóstego roku pokazał nam rysunek kobiety o uderzającej urodzie. Wyjaśnił, że dama nosi imię Mellisand. Nigel niósł projekt do najlepszego złotnika w Londynie – i na świecie – sir Rodneya Atkinsona w pracowni Caitiera. Atkinson miał wykonać portret kobiety w formie płaskorzeźby w dwudziestoczerokaratowym złocie na tle z macicy perłowej.

– Mellisand była moją matką – domyśliła się Claire.

– Tak jest, moje dziecko. Twoją piękną matką. Dostrzegłam podobieństwo – wystające kości policzkowe, wyraziste oczy – w chwili gdy wtrącono cię do Newgate.

– A co z twoją przysięgą o dochowaniu tajemnicy?

– Przysięga przestała obowiązywać, gdyż ujawnienie prawdy nie może już nikomu zaszkodzić. Kochany Nigel zginął na Berkeley Square, zmiażdżony kołami pędzącego powozu.

– A twoja matka?

– Mama zmarła miesiąc wcześniej. Dostała bardzo wysokiej gorączki i odeszła.

– Ary?

Olivia się uśmiechnęła.

– Wpadłam w złe towarzystwo i przebywanie w nim sprawiało mi nieopisaną przyjemność. – Westchnęła i otrząsnęła się z rozmyślań. – Resztę znasz. Zakochałam się do szaleństwa, ale on zginął, zanim zdążyliśmy się pobrać i zanim jeszcze urodziłam mu córkę. – Olivia ze smutkiem pokręciła głową. – Potem nie zważałam, co ze mną będzie. Mieszkałam na ulicach Londynu, co chwila mnie zatrzymywano i zamykano w areszcie. – Uśmiechnęła się i poklepała Claire po kolanie. – Aż wreszcie, pewnej upalnej letniej nocy ty pojawiłaś się w moim życiu i wyciągnęłaś mnie z bagna.

– Moja najdroższa przyjaciółko – rozczuliła się – Claire i uściskała Olivię. – Moja mama i starszy lord Northway?

Jej słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie faktu niż pytanie.

– Oczywiście, jak już sama wiesz, to wszystko zdarzyło się, nim twoja matka poślubiła twojego ojca – zapewniła ją Olivia pospiesznie. – Podobno lord Northway kochał twoją matkę ponad życie.

Pamiętasz, przez krótki czas była ona damą dworu królowej Wiktorii. Właśnie tak się poznali, ona i lord Northway.

Claire skinęła głową.

– Dlaczego nie wzięli ślubu?

– Moja droga, przecież to byłby mezalians. Lord Northway był bogatym arystokratą angielskim. Już znacznie wcześniej zaręczył się z córką wicehrabiego. Kiedy jego romans z twoją matką wyszedł na jaw, usunięto ją z dworu, a jego wysłano do Indii. Trzy miesiące później narzeczona dołączyła do lorda Northwaya, aby wziąć z nim ślub w Indiach.

– Ale nie jestem... ?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie jesteś córką lorda Northwaya – zapewniła ją Olivia.

– Moja mama pokochała go i wkrótce...

– Tak – przerwała jej Olivia. – Mieli romans.

– Zatem dobry młodszy lord Northway, prawnik, który nieoczekiwanie podjął się mojej obrony i wy dostał mnie z więzienia Newgate, dobrze wiedział, z kim ma do czynienia? Przez cały czas miał świadomość, że jego ojciec i moja mama byli niegdyś kochankami?

– Olivia wsparła się na lasce i ostrożnie dźwignęła na nogi. Popatrzyła uważnie na Claire.

– Tysiące zupełnie niewinnych ludzi, których matki nie miały takich romansów, nadal gniją w więzieniach. Im nigdy nikt nie pomoże – przypomniała jej ze smutkiem.

Rozdział 32

Saratoga Springs

Claire pozostała na tarasie z tyłu domu jeszcze długo po tym, jak Olivia, zmęczona powrotem do wspomnień, weszła do środka, aby się zdrzemnąć. Te wszystkie rewelacje nieco ją oszołomiły i dały jej do myślenia. Z roztargnieniem bawiła się medalionem i rozmyślała o mamie, nieszczęśliwie zakochanej w pierwszym lordzie Northwayu. A więc i ona nie ustrzegła się porywów serca. Claire doskonale rozumiała matkę i szczerze jej współczuła. Sama właśnie przekonała się po raz pierwszy w swoim dwudziestosiedmioletnim życiu, czym jest miłość, która nie może mieć szczęśliwego zakończenia.

Dobrze wiedziała, jaki smutek przeżywa kobieta kochająca mężczyznę, który nigdy nie będzie do niej należał. Który już wkrótce znajdzie sobie inną przyjaciółkę i bez żalu zapomni o pięknej beztroskiej księżnej Charmaine Beaumont.

Pomimo intensywnie świecącego słońca Claire niespodziewanie zadrżała i objęła się ramionami.

Przeżywała to samo co matka.

Nieszczęśliwie zakochała się w Królu Srebra z Nevady, którego również nie mogła mieć. Który nie był jej pisany. Który miał być jedynie jej rozrywką na jedno lato, a najwyraźniej okazał się największą miłością jej życia.

Odetchnęła powoli, z trudem. Gwałtownie bijące serce przeszły tępy ból. Claire zamrugała powiekami, by powstrzymać łzy. Obiecała sobie solennie, że choćby nie wiem co się miało stać, Hank nigdy się nie dowie o jej miłości.

Zamierzała zachowywać się tak, jak już znacznie wcześniej zaplanowała. Do końca odegra rolę bezwstydną lekkomyślną kochanki, która nie martwi się jutrem i nie przejmuje tym, co sądzą ludzie.

Ostatecznie właśnie te cechy księżnej Beaumont Hank cenił sobie najbardziej.

Nowy Jork Hank pospiesznie maszerował Piątą Aleją Miał jeszcze jedną ważną sprawę do załatwienia.

Zatopiony w myślach, z opuszczoną głową, skręcił w szerokie drzwi wejściowe sklepu jubilerskiego Tiffany i zderzył się z niskim otyłym mężczyzną, który właśnie wychodził.

– Proszę o wybaczenie – przeprosił Hank natychmiast i wyciągnął ręce ku

nieznajomemu, który zachwiał się i omal nie upadł pod wpływem uderzenia. – Zamyśliłem się. Nic się panu nie stało? Czy nie jest pan przypadkiem ranny?

– Nie, nie... Nic mi... Cassidy? Hank Cassidy! – wykrzyknął zaskoczony grubas. Chwycił Hanka za rękę, aby odzyskać równowagę. – Król Srebra z Nevady?

– A niech mnie, jeśli to nie lord Wardley Nardees! – zawołał Hank i uśmiechnął się przyjaźnie. – Oczekiwaliśmy cię w Saratoga Springs. Czemu cię jeszcze tam nie ma? Czyżbyś w tym roku zamierzał darować sobie wyścigi?

– Wkrótce przyjadę – zapewnił go Nardees. – Będziesz na wyścigach, żeby obejrzeć finałowe gonitwy pod koniec sierpnia, prawda? O nagrodę Traversa?

– Przyjechałem tutaj tylko na jeden dzień, aby dopilnować pewnej drobnej sprawy – wyjaśnił Hank. – Wszystko już załatwiłem i wracam popołudniowym pociągami. Może pojedziemy razem?

– Och, nie, ja również mam ważne sprawy do załatwienia w Nowym Jorku – odparł Nardees pospiesznie. – Pojawię się w Saratoga Springs jutro wieczorem. Czy w tym roku wystawiasz jakieś obiecujące wierzchowce?

– Kilka – powiedział Hank z dumą. – A ty? Sprowadziłeś swoje wspaniałe rumaki?

Lord skinął głową.

– Mam gniadego ogiera, który z całą pewnością zgarnie nagrodę Traversa w ostatni dzień wyścigów.

Hank roześmiał się i pokręcił głową.

– Wykluczone, o ile będę miał na to jakiś wpływ. Wystawiam parę najlepszych koni pełnej krwi, jakie kiedykolwiek wyhodowałem na farmie w Kentucky. – Jego oczy zabłyśły. – Jeden z nich to trzyletni ogier o imieniu Czarny Atlas. Tylko nieprawdopodobnie mocny przeciwnik mógłby go pokonać. Coś mi się wydaje, że jego pozycja pozostanie niezagrożona. – Hank wyciągnął rękę do lorda Nardeesa, aby się z nim pożegnać. – A teraz musisz mi wybaczyć, ale czas mnie goni, powinienem już iść.

– Niech cię diabli porwą! – zawołał lord Nardees, wzburzony perspektywą zwycięstwa konia Hanka i klęski swojego gniadosza w gonitwie o słynną nagrodę Traversa. Aristokrata był przyzwyczajony do stawiania na swoim i nie cierpiał przygrywać. Nie potrafił pogodzić się z porażką. – Cassidy, chcę mieć twojego konia. Kupię tego Czarnego Atlasa. Tu i teraz, od ręki! Wymień tylko cenę! Zresztą nie gra roli, muszę wygrać ten wyścig.

Hank zaśmiał się szczerze i klepnął grubasa w ramię, po czym mrugnął do

niego.

– Porozmawiamy o tym, gdy dotrzesz do Saratoga Springs. Miłego dnia, przyjacielu. – Obszedł niezadowolonego lorda Nardeesa i zniknął w sklepie.

Było kwadrans po siódmej. W apartamencie lordostwa Nardeesów w hotelu Waldorf trwał wieczorny posiłek.

Malcolm przez cały wieczór nie mógł się uspokoić i stale dokuczał rodzeństwu. Timothy, młodszy syn, przewrócił szklankę z mlekiem zaraz po tym, jak ją zobaczył. Napój rozlał się po całym stole, pobrudził spory kawałek różowego obrusa z adamaszku i ochlapał wielki bukiet artystycznie ułożonych róż, zdobiących środek stołu. Ociekające płatki straciły pierwotną, czerwoną barwę, mleko sprawiło, że stały się niemal całkiem białe.

– Dawaj mleko, Malcolm! – wrzasnął Timothy i wyciągnął rękę ku szklance brata.

– Ani myślę! – ryknął Malcolm i gwałtownie odepchnął natręta, po czym go opluł.

Tymczasem Katherine, beniaminek rodziny, uklękła na krzesło i sięgnęła po kieliszek z winem. Jej ojciec był do tego stopnia zajęty sobą, że nawet tego nie zauważył.

Lord Nardees wepchnął serwetę pod podwójny podbródek, w dłoniach mocno ścisnął srebrny widelec i nóż. Ani na moment nie odrywał wzroku od wielkiego talerza z niedosmażonym rostbefem. Chwilę później ogromny kawał krwistego mięsa zniknął między jego pełnymi wargami. Kiedy lord żuł, donośnie mlaszcząc i z ukontentowaniem wznosząc wzrok ku sufitowi, z lewego kącika ust spływał mu strumyk tłuszczu.

Lord Nardees był w siódmym niebie. Smaczne obfite jedzenie stanowiło jedną z jego słabości, choć z pewnością nie jedyną i nie tę najważniejszą.

Mała Katherine zdążyła już wychłęptać pół kieliszka czerwonego wina, nim jej matka zorientowała się w sytuacji. Zajęta wyborym indyckim udem, które ścisnęła w pulchnej dłoni, lady Nardees niechętnie odłożyła mięso i bez pośpiechu rozejrzała się w poszukiwaniu serwetki. W końcu zauważyła ją na podłodze, ale doszła do wniosku, że nie ma najmniejszej ochoty się schylać, chwyciła więc skraj adamaszkowego obrusa i otarła nim usta.

– Katherine Anne, zostaw kieliszek! – zażądała stanowczo i sapnęła.

– Nie! – wykrzyknęła dziewczynka.

– Katherine Anne, powiedziałam coś, prawda? – wrzasnęła lady Nardees. –

Natychmiast podaj mi kieliszek, nie będę tego więcej powtarzać!

Malcolm rzucił się ku kieliszкови, który chwilę wcześniej wraz z zawartością poszybował przez całą długość pokoju – cóż, Katherine nie znosiła kategorycznych rozkazów. Szkło się nie rozbiło, ale krwistoczerwony trunek błyskawicznie wsiąkł w elegancki, turecki dywan.

– Teraz lepiej – odsapnęła Beatrice Nardees i ponownie skupiła całą uwagę na nadjedzonym udzie indyka.

Obsługa hotelowa dwoiła się i troiła, biegała w tę i z powrotem, cały czas wynosząc resztki na brudnych naczyniach i przynosząc nowe potrawy. Na stół co chwila trafiały półmiski ze stertami cynaderek, szynki, kurczaków, ryb i jagnięciny, a także tyloma różnymi warzywami, że nie sposób było je zliczyć.

Piątka obżartuchów na wyścigi sięgała po potrawy, przede wszystkim mięsiwa, i pakowała do ust, co popadło. Wiele przy tym było kłótni, przepychania się, popychania i wyrywania sobie jedzenia. Uczestnicy uczyty wydawali z siebie okrzyki triumfu za każdym razem, kiedy udało im się sprzątnąć komuś sprzed nosa kawałek pieczonego kurczaka albo gorącą drożdżówkę.

Służba hotelowa była wstrząśnięta tym żalonym widowiskiem, które dla rodziny Nardeesów stanowiło chleb powszedni.

Na koniec po godzinie przepychanek i rozciąganiu żołądków po brzegi biesiadnicy zakończyli kolację. Stół wyglądał tak, jakby zaatakowała go wataha wygłodniałych wilków, a nie pięć osób, w tym troje dzieci. Ani jeden członek rodziny nie wyszedł z tej potyczki bez szwanku.

Mała Katherine, oszołomiona po wypitym winie, głośno zawodziła i jęczała. Timothy brutalnie wepchnął jej twarz w talerz truskawek z bitą śmietaną.

Łzy i dzikie wrzaski zrozpaczonej Katherine na nikim nie zrobiły wrażenia.

Lady Nardees westchnęła z ukontentowaniem, nieświadoma, że na jej kosztownej sukni z eleganckiej tafty widnieją plamy po sosie, a nad górną wargą ma grube wążiska ze śmietany. Lord Nardees donośnie beknął i rozpiął dwa górne guziki opiętych spodni. Na przedzie jego koszuli oraz na kamizelce widniały rozprysnięte krople tłuszczu i liczne zacieki po sosie.

Chłopcy wstali od stołu i zaczęli się tarzać po podłodze. Katherine wyła coraz głośniej, zdecydowana za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę rodziców. Bezskutecznie.

Lord Nardees sięgnął po dłoń żony, uściśnął ją i poczuł, że jego palce nagle stały się lepkie od bitej śmietany. Cofnął rękę i wytarł ją w serwetkę.

– Kochanie, dziś kupiłem ci pewien drobiazg – oznajmił z uśmiechem.

– Naprawdę? Co takiego? – spytała Beatrice, coraz bardziej senna po niezwykle obfitym posiłku. – Bardzo się cieszę, Wardley. Daj mi to natychmiast.

– Ale pod jednym warunkiem, najdroższa – powiedział jej mąż i odsunął krzesło, żeby wstać. – Obiecuj, proszę, że okażesz mi wyrozumiałość i życzliwość. Dzisiejszego wieczoru mam bardzo ważne spotkanie z innymi hodowcami koni pełnej krwi i muszę być na nim obecny.

– Skoro to konieczne. – Lady Nardees ziewnęła, rozgłośnie. – Jestem taka śpiąca, że od razu się położę. – Odwróciła się na krzesło i krzyknęła na rozbrykanych synów: – Wy dwaj, macie natychmiast przestać! Katherine Anne, zamilknij wreszcie. Przez te płacze nie słyszę własnych myśli!

Lord Nardees zwawo pobiegł po małe aksamitne pudełko, które wcześniej ukrył. Kiedy wręczył je żonie, uśmiechnęła się do niego i pożądliwie rozdarła papier. Rozpromieniła się na widok wyjątkowej urody naszyjnika z rubinami i brylantami.

– Ach, Wardley, mój kochany! Bardzo ci dziękuję! – wykrzyknęła zachwycona. – To będzie doskonale pasowało do nowej szkarłatnej sukni balowej, którą zamierzam włożyć na nasz pierwszy wieczór w Saratodze.

Arystokrata stanął za krzesłem żony i otoczył naszyjnikiem jej grubą szyję.

– Masz absolutną rację, droga Beatrice – przytaknął. – Ty moja piękna angielska różo. Zawsze nią byłaś i zawsze będziesz. – Zapiął naszyjnik, pochylił się i dotknął wilgotnymi wargami pyzatego policzka żony.

Lady Nardees skierowała ku niemu twarz i nadstawiła usta. Ponownie się pocałowali. Nagle dama z zadumą zmarszczyła brwi.

– Mam myśl. Zabierz ze sobą Malcolma – zaproponowała mężowi. – W końcu skończył już dwanaście lat, chyba nadeszła pora, by zaczął poznawać fach hodowców koni pełnej krwi.

Lord Nardees zrobił minę zatroskanego rodzica, wyprostował się i powiedział surowo:

– Wykluczone, moja droga. Być może zajdzie konieczność, abym pozostał na spotkaniu do późnej nocy, a chłopiec jest wyczerpany długą podróżą przez ocean. Teraz Malcolm potrzebuje przede wszystkim odpoczynku.

Saratoga Springs Gdy Hank dotarł do Saratogi, pospieszył prosto do posiadłości księżnej. Widząc powóz, sunący podjazdem, Claire natychmiast wypadła na dwór i zbiegła po stopniach tarasu na spotkanie z długo wyczekiwany gościem. Hank wysiadł z powozu i wyciągnął przed siebie ręce, a Claire rzuciła mu

się w ramiona i z całych sił do niego przyłgnęła.

– Tęskniłam za tobą – wyznała.

Przytuliła się do Hanka, chłonąc jego czysty męski zapach. Jak zawsze, była oszołomiona jego urodą. Jeszcze nigdy nie spotkała równie przystojnego mężczyzny.

– Czyżby? W takim razie pokaż jak bardzo – zaproponował. Przywarł ustami do jej ucha i mocno objął Claire rękami. – Gdzie Olivia? – spytał szeptem.

– Wyszła niedawno na kolację z Foxem – wyjaśniła. – Wrócą nie wcześniej niż za godzinę.

– Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak spożytkować tę godzinę dla własnej przyjemności – orzekł Hank, wziął Claire na ręce i zaniósł do środka.

Śmiała się radośnie przez całą drogę po schodach, bo Hank sadził susy po dwa stopnie. Gdy wreszcie wszedł z nią na rękach do apartamentu i zamknął drzwi, oparł się o nie i pocałował Claire. Nie był to gorący, namiętny pocałunek, który natychmiast sprawiłby ją w stan podniecenia. Przypominał raczej nieopisanie słodką pieśczołę, która przeniknęła jej ciało i rozgrzała serce.

Po chwili Hank podniósł głowę i popatrzył na Claire.

– Najdroższa...

– Ciii... Chcę, żebyś kochał się ze mną tak, jak mnie pocałowałeś – poprosiła.

Zrozumiał doskonale. Zaniósł ją do łóżka, rozebrał, potem sam zdjął ubranie. Przytulił do siebie Claire i wziął ją z największą czułością. Był delikatny, troskliwy i wrażliwy. Nie sądziła, że mogą się kochać tak łagodnie. Kiedy wreszcie umiejętnie doprowadził ją do rozkoszy i sam się do niej zbliżał, wyszeptał:

– Kocham cię, najdroższa. Kocham cię.

Nie odpowiedziała, tylko przywarła do niego mocniej. Tuliła go do serca, które waliło jej jak młotem. Nie miała śmiałości wierzyć w słowa Hanka. Doszła do wniosku, że zwyczajnie dał się ponieść emocjom chwili. Nie wątpiła, że z pewnością dziesiątki kobiet słyszało to wyznanie z jego ust.

Po kilku długich minutach ciszy Claire pocałowała kochanka w ramię.

– Najdroższy, jeszcze nigdy nie było mi tak cudownie – powiedziała. – Naprawdę jesteś najczulszym z moich dotychczasowych kochanków.

Hank zacisnął usta. Usiłował nie myśleć o mężczyznach, z którymi księżna poprzednio się kochała. Zresztą, co za różnica? Nic go to nie obchodziło. Dlaczego miałby się przejmować jej kochankami? Sam nie był niewiniątkiem.

– Muszę przyznać, że jesteś najśłodsza dziewczyną, jaką kiedykolwiek znałem – oświadczył.

– Mmm – zamruczała jak kotka, przeciągnęła się rozkosznie i westchnęła.

– Ponownie powiedziała mu, jak bardzo tęskniła, jak dramatycznie dłużył się jej bez niego dzień. Mówili o jego wyjeździe do Nowego Jorku, choć niewiele się na ten temat dowiedziała.

Przewróciła się na brzuch i położyła ramię na jego torsie. Bawiąc się długim złocistym kosmykiem kochanki, Hank wspomniał, że podczas pobytu w Nowym Jorku wpadł na jednego z jej rodaków, właściciela konia pełnej krwi, wystawianego do finałowych gonitw tegorocznych wyścigów, słynnej gonitwy o nagrodę Traversa. Bogaty utytułowany arystokrata, który posiada pierwszorzędne konie, zapewne jutro dotrze do Saratogi.

– Prawdopodobnie go znasz, Charmaine – zauważył Hank. – Jestem pewien, że musieliście się kiedyś spotkać w Londynie. Ten człowiek nosi nazwisko Nardees. Lord Wardley Nardees.

Claire nagle pobladła i zaczęła bardzo płytko oddychać.

– Wszystko dobrze? – spytał zaniepokojony. Co ja takiego powiedziałem? Kochanie, czy stało się coś złego?

Rozdział 33

Nowy Jork

Tłusty lord Nardees w swoim przesadnie modnym stroju zalewał się potem w trakcie wspinaczki po kamiennych wejściowych schodach dwupiętrowego domu, mieszczącego się przy nowojorskim Central Parku.

Tak bardzo spieszył się do Palmetto Palace, że po kolacji nie zdążył wziąć kąpieli ani się przebrać. Mniejsza z tym, mamrotał pod nosem, nic takiego się nie stało. Nie zamierzał siedzieć w ubraniu tam, dokąd szedł. Postanowił, że gdy znajdzie się w środku, niezwłocznie zrzuci z siebie krępującą odzież.

Opasły arystokrata westchnął głęboko i zadzwonił do drzwi. Rozejrzał się niespokojnie, mając nadzieję, że nikt go nie widzi. Miałby spore kłopoty, gdyby ktoś go rozpoznał i doniósł o tym szanownej pani Nardees. Odetchnął głęboko, kiedy ciężkie wrota natychmiast się uchyliły, a wysoki kamerdyner o kamiennym obliczu wpuścił go do środka i uprzejmie skinął mu głową.

– Witam, kochany lordzie Nardees – rozległ się chrapliwy kobiecy głos z uroczym, południowym akcentem. Uśmiechnięta madame wkroczyła do przestronnego holu. – Czekaliśmy na pana.

– Witam, najdroższa panno Abigail. Jak się pani miewa?

Gdy podeszła bliżej, spróbował pocałować ją w policzek. Zgrabnie wyśliznęła się z jego objęć, zachichotała i pospiesznie przyłożyła do nosa perfumowaną chustkę.

– Żartowniś z pana. – Uśmiechnęła się do gościa.

– Czy wszystko zostało należycie przygotowane?

– Ach, niegrzeczny, niecierpliwy chłopczyk – upomniała go panna Abigail żartobliwie i mrugnęła porozumiewawczo do gościa. – W rzeczy samej, milordzie, wszystko zapięte na ostatni guzik. Teraz brakuje tylko reżysera spektaklu i zarazem odtwórcy głównej roli. – Wzięła go pod rękę i zaprowadziła do wyłożonych dywanem schodów. – Zapraszam do specjalnie dostosowanego pokoju. Jest tam wszystko, czego potrzeba waszej lordowskiej mości.

– A dziewczyna? Czy jest... ?

– Proszę mi wierzyć, drogi lordzie, nasza mała Jennie to jedna z najurodziwszych młodych dam, – jakie kiedykolwiek zatrudniałam, a było ich sporo, jak pan sam dobrze wie – zapewniła go panna Abigail, kiedy wchodzili po

schodach. – Ma dwadzieścia dwa lata. Włosy jasnoblond. Nieskazitelnie porcelanową skórę. – Oddech otyłego mężczyzny wyraźnie przyspieszył. Panna Abigail kontynuowała: – Twarzyczkę aniołka. Ciało...

– Dość! Błagam, wystarczy. Jeszcze trochę tych peanów i dostanę palpacji serca, nim jeszcze rzucę okiem na tę boginkę – ostrzegł ją lord Nardees.

Panna Abigail zaśmiała się pogodnie.

– Zatem powiem tylko, że wasza lordowska mość będzie bezwzględnie zachwycony naszą Jennie. Ma pan moje słowo.

– Czy ta przeurocza Jennie jest skłonna... ?

– Jak najbardziej. Marzy tylko o tym, by zaspokoić waszą lordowska mość. Rzecz w tym, że... – Panna Abigail zawiesiła głos, jakby pogrążyła się w myślach.

Arystokrata zmarszczył brwi, wyraźnie zaniepokojony.

– Co takiego? Istnieją jakieś ograniczenia? Jeśli tak, to wolę...

– Nie, skąd, wasza niecierpliwa lordowska mość – pospieszyła z zapewnieniem panna Abigail. – Nie ma mowy o żadnych ograniczeniach. Absolutnie. Żadnych. Zważywszy jednak na to, że po dzisiejszym wieczorze nasza piękna Jennie nie będzie mogła zabawiać innych gości przez co najmniej dwa, trzy miesiące, a może i dłużej, sądzę, – że należałoby ją odpowiednio wynagrodzić za trud i poświęcenie. Mam na myśli sumę znacznie przekraczającą wynagrodzenie, które trafi do mojej kieszeni.

Nardees skinął głową. Po chwili sięgnął do spodni i wyciągnął z kieszeni przepiękną obrózkę z brylantami, którą kupił kilka godzin wcześniej.

– Czy ten upominek rozwiąże problem?

Tym razem to panna Abigail zaczęła szybciej oddychać. Kosztowna i piękna biżuteria była jej jedyną słabością. Madame niemal pozazdrościła Jennie.

Na górze gospodyni poprowadziła lorda Nardeesa szerokim, pogrążonym w półmroku korytarzem. Zwróciła uwagę, że parę drzwi było lekko uchylonych, aby zaciekawione dziewczęta mogły rzucić okiem na opasłego arystokratę. Na szczęście był tak zajęty sobą, że nic nie zauważył.

Madame doprowadziła gościa do ostatnich drzwi na długim korytarzu. Za nimi znajdował się gustownie urządzony buduar. Weszli do środka, a wtedy ruchem dłoni wskazała wewnętrzne drzwi do następnego pomieszczenia.

– Jak panu wiadomo, tam znajduje się... – Skinęła głową. Arystokrata natychmiast zrozumiał, co miała na myśli, choć akurat z tego pomieszczenia jeszcze nie korzystał. – Jennie nie może się już doczekać. Zjawi się tutaj lada chwila. Niech wasza lordowska mość się rozgości. Kawior i szampan czekają na

stoliku.

Lord Nardees usiadł na kanapie. Czekał i czuł, jak z każdą chwilą narasta w nim podniecenie. Zastanawiał się, czy jego towarzyszka będzie tak cudowna, jak to opisywała panna Abigail. Czy na pewno będzie blondynką w każdym calu, jak sobie zażyczył?

Mijały minuty. Arystokrata w końcu zaczął się niecierpliwić. Może jednak młoda dama zmieniła zdanie?

Lord z trudem podźwignął się z kanapy i w tej samej chwili do skąpanego w blasku świec pokoju weszła piękna blondynka. Uśmiechnął się szeroko na widok zapierającej dech w piersiach młodej kobiety w obcisłej, podkreślającej figurę sukni balowej z lśniącego niebieskiego atłasu. Jennie odwzajemniła uśmiech, a w jej policzkach pojawiły się urocze dołeczki. Ochoczo podeszła, by powitać utytułowanego gościa, angielskiego arystokratę, właściciela wielkiej fortuny, który bez trudu mógłby być jej ojcem.

Lord Nardees chwycił ją za obie dłonie, jedną zbliżył do ust i ucałował delikatne kostki dziewczyny. Tylko przez krótką chwilę spoglądał jej w oczy, gdyż jego wzrok momentalnie powędrował niżej i zawisł na zachwycającym ciele, którym zamierzał się cieszyć przez cały wieczór.

– Moja urocza przyjaciółko – zaczął, a na jego twarzy wykwitły rumieńce. – Czy mogę zaproponować ci kieliszek szampana?

– Oczywiście, jak najbardziej. Z chęcią się napiję – odparła Jennie natychmiast. Zwróciła uwagę, że ręka gościa drżała, gdy nalewał schłodzony, – musujący napój do dwóch wysokich kryształowych kieliszków.

Przez kilka minut siedzieli obok siebie na kanapie i prowadzili nieobowiązującą konwersację. Lord Nardees robił wszystko co w jego mocy, aby zachować spokój i nie stracić panowania nad sobą. Chciał przedłużyć ten wieczór, a do tego musiał się wykazać wręcz anielską cierpliwością.

Czuł się jednak jak mały chłopiec, któremu wręczono ślicznie zapakowaną paczuszkę i kazano czekać z jej otwarciem do chwili, aż wszyscy zaproszeni goście skosztują jego tortu urodzinowego.

Nie mógł już wytrzymać. Dalsza zwłoka była ponad jego siły.

– Skarbie, może przeniesiemy się do sąsiedniego pokoju? – zaproponował.

Jennie uniosła dłoń i przycisnęła do jego mięsistych warg dwa palce o polakierowanych na czerwono paznokciach.

– Z największą rozkoszą. Proszę tylko o piętnaście minut zwłoki, jeśli to możliwe. Czy pan doktor podaruje mi kwadrans? – spytała zalotnie.

Arystokratę przeszył dreszcz, kiedy z ust tej pięknej, jasnowłosej istoty usłyszał swoje sekretne przezwisko. Błysk w jej oczach powiedział mu wszystko. Najwyraźniej Jennie doskonale wiedziała, skąd się wziął jego przydomek. Madame musiała ją we wszystko wtajemniczyć. Nie będzie zatem niespodzianek, zastrzeżeń, sprzeciwów, odmowy ani rozpaczliwych szlochów.

– Moja maleńka, przyjdę do ciebie dokładnie za piętnaście minut – zapewnił ją.

Jennie się uśmiechnęła, wstała i wyszła z pokoju, upewniając się, czy gość na pewno na nią patrzy. Skierowała kroki prosto do łazienki, gdzie rozebrała się do naga i ponownie wzięła kąpiel, chociaż pluskała się zaledwie parę godzin wcześniej. Po pewnym czasie wstała z wanny i starannie osuszyła ciało. Nago podeszła do jednych ze zwierciadlanych drzwi.

Większość z nich skrywała szafy.

Te wybrane przez Jennie prowadziły do innego pomieszczenia.

Rozdział 34

Saratoga Springs

To był jej ostatni tydzień w Saratodze.

Dawna, wesoła, beztroska Claire zniknęła. Fałszywa księżna nie potrafiła się uspokoić.

Nie dość, że do Saratogi wkrótce miała przybyć prawdziwa księżna Beaumont, co oznaczało koniec maskarady, to jeszcze lada minuta należało się spodziewać przyjazdu niegodziwego lorda Wardleya Nardeesa, sprawcy nieszczęść Claire. Czy ją zdemaskuje? Ujawni oszustwo? A jeśli tak, to czy Hank porzuci ją z pogardą za to, że go okłamywała?

Z pewnością tak.

Nie mogła go za to winić. Czy mógłby inaczej postąpić? Jej zachowanie godne było najwyższego potępienia.

– Hank, czy bardzo byś się gniewał, gdybym dzisiejsze popołudnie spędziła w domu? – spytała w tę ostatnią niedzielę, kiedy przyszedł zabrać ją na tor. – Wybacz mi, najdroższy, ale jakoś niezbyt dobrze się czuję.

– Och, księżno, wyścigi bez ciebie to żadna przyjemność" – oznajmił i zrobił minę rozczarowanego chłopca.

Wzruszona Claire dotknęła policzka ukochanego i spojrzała mu w oczy.

– Przecież doświadczamy mnóstwa przyjemności – zauważyła łagodnie.

– I czeka nas ich jeszcze znacznie więcej. Chodź ze mną, najdroższa.

Otoczyła szyję Hanka ramionami i uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Co ty wyprawiasz? Znów skłoniłeś mnie, bym zrobiła coś, na co wcale nie miałam ochoty – powiedziała z westchnieniem. – Naprawdę masz na mnie zły wpływ.

Claire postanowiła zaryzykować.

Zdecydowała się jeszcze raz pokazać na wyścigach. Spędzić tam ostatni dzień z Hankiem.

Już zaplanowała, że jutro porannym pociągiem wyjedzie wraz z Olivią z kurortu. Zaledwie dwanaście godzin później do Saratoga Springs przybędzie popołudniowym pociągiem prawdziwa księżna Charmaine Beaumont i zapewne wybuchnie skandal, kiedy wszyscy odkryją, że wcześniej jej miejsce zajmowała

nikomu bliżej nieznana kobieta, której udało się oszukać wszystkich.

Claire poszła z Hankiem na tor, ale włożyła słomkowy kapelusz o szerokim rondzie z woalką, skutecznie zasłaniającą twarz. Hank odprowadził ją do prywatnej łoży i zamówił szampana oraz truskawki, ale zaraz potem poprosił o wybaczenie, bo musiał na parę minut zejść na padok, żeby porozmawiać z Foxem.

– Poczekaj tu na mnie cierpliwie. Wrócę, nim się obejrzysz – zapowiedział i poszedł.

Claire została sama w łoży. Rozejrzała się niespokojnie, wypatrując opasłego lorda Nardeesa, sprawcę jej nieszczęść. W pewnym momencie serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Zrobiło jej się słabo, musiała chwycić za poręcz krzesła. Dostrzegła tego obrzydliwego niegodziwca, swojego dawnego pracodawcę, który zasiadł w niebezpiecznie blisko położonej łoży.

Claire pośpiesznie przesunęła rondo kapelusza tak, aby Nardees żadną miarą jej nie rozpoznał. Nagle wstrzymała oddech, gdy lord raptownie wstał i opuścił zajmowane miejsce. Szybko odwróciła wzrok i przez kilka drugich sekund patrzyła w przeciwnym kierunku.

Wreszcie, gdy nie mogła już dłużej wytrzymać, zdecydowała się ostrożnie spojrzeć na jego łożę. Lord Nardees znikł. Claire odetchnęła z ulgą.

Ubrany na czerwono trębacz zajął miejsce pod główną trybuną i zagrał sygnał do zbiórki na stanowiskach startowych. Tłum zebrany na trybunach zaczął donośnie wiwatować, kiedy na tor wkroczyła parada wspaniałych koni pełnej krwi.

Claire momentalnie zapomniała o kłopotach i uniosła do oczu lornetkę. Patrzyła przez gazę woalki i uśmiechnęła się na widok zielono-białych barw Hanka, w które przybrano wielkiego pięknego siwka, Srebrnego Dolara.

Gdy konie minęły trybunę i podążyły do bramy startowej, Claire spokojnie skierowała lornetkę na otaczający ją tłum. Jej serce nagle z całych sił załomotało, gdy ujrzała lorda Nardeesa w jednej łoży z Caroline Whit i Parkerem Lawsonem.

Arystokrata śmiał się i gawędził z rudowłosą Caroline. Claire znieruchomiała, gdy Caroline przysunęła się blisko arystokraty, szepnęła mu coś do ucha i skinęła głową w kierunku Claire. Ta ostatnia pośpiesznie opuściła lornetkę i odwróciła wzrok. Zrobiło się jej niedobrze ze strachu.

Od pierwszego spotkania Caroline budziła w niej niepokój. Nie chodziło tylko o to, że pani Whit pragnęła mieć Hanka dla siebie i z tego powodu nie cierpiała księżnej Beaumont, swojej rywalki. Sprawa była poważniejsza. Przy kilku okazjach Claire przyłapała Caroline na tym, jak wpatrywała się w nią intensywnie i badawczo, zupełnie jakby coś podejrzewała, mimo że nigdy nie wyraziła na głos

wątpliwości.

Claire zamknęła oczy i otworzyła je po chwili. Odetchnęła i powiedziała sobie stanowczo, że musi zachować spokój. Caroline Whit nie znała prawdy, a odrażający lord Nardees z pewnością nie będzie miał okazji spotkać się twarzą w twarz z księżną Beaumont.

Tymczasem była bezpieczna. Ale nie na długo.

Po najdłuższej półgodzinie, jaką przeżyła, Hank wreszcie do niej powrócił.

– Mam dobre wieści, kochanie – oznajmił na wstępie. – Lord Nardees, którego spotkałem w mieście, przyjechał już do Saratoga Springs. Jest tutaj. Tutaj, czyli na wyścigach. Przed chwilą zszedł na padok i ucieliśmy sobie pogawędkę. Widział Czarnego Atlasa i jest poważnie zainteresowany jego kupnem.

– Ale przecież... – Claire nic z tego nie rozumiała. – Myślałam, że w przyszłym tygodniu wystawiasz Czarnego Atlasa do gonitwy o nagrodę Traversa?

– Wszystko się zgadza, moja droga księżno. Oczywiście, że go wystawiam, i powiem więcej: Czarny Atlas z pewnością zwycięży. – Hank mrugnął porozumiewawczo do Claire. – Wówczas jego cena znacznie podskoczy.

Claire skinęła głową.

– Zaczynam rozumieć. Czy zaczekasz ze sprzedażą do tego czasu? – spytała.

– Być może wcale go nie sprzedam, w końcu jestem przywiązany do tego konia, ale zamierzam wziąć pod uwagę odpowiednio korzystną ofertę – wyjaśnił Hank i dodał po namyśle: – Znasz lorda Nardeesa, prawda, kochanie?

– Cóż, właściwie...

– Powiedział, że jesteście dobrymi znajomymi i że w Londynie spotkaliście się przy kilku okazjach. – Claire nie pozostało nic innego, jak tylko pokiwać twierdząco głową i zmusić się do uśmiechu. – Lord Nardees zastanawia się nad kupnem kilku moich koni pełnej krwi, musimy więc jeszcze porozmawiać, omówić pewne kwestie natury finansowej – ciągnął Hank. – Zaprosiłem go do twojej posiadłości, wpadnie po kolacji.

– O czym musicie porozmawiać? – wykrztusiła przerażona Claire.

Hank zaśmiał się głośno.

– Kochanie, nie słuchasz, co mówię – żartobliwie zwrócił jej uwagę. – Lord Nardees jest szczerze zainteresowany kupieniem Czarnego Atlasa, a może jeszcze paru innych koni z mojej hodowli. Dzisiaj wieczorem przyjdzie do nas w odwiedziny. Mam nadzieję, że to ci w żaden sposób nie przeszkadza.

– Dzisiaj wieczorem? – powtórzyła wstrząśnięta. Z jej twarzy odpłynęła cała krew. Claire zastanawiała się, czy jest równie biała jak jej letnia suknia.

– Ejże, księżno, czyżbym zrobił coś nie po twojej myśli? – Hank patrzył na nią uważnie. Sprawiał wrażenie zatroskanego. – Charmaine, w czym rzecz? Sądziłem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Nasz gość nie zabawi zbyt długo, to jedynie rozmowa w interesach. Obiecuję ci, że szybko się uwiniemy.

– Ach, nie... Nie, oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu.

Claire nie mogła złapać tchu. Była pewna, że lada moment się udusi. A więc już po wszystkim. Lord Nardees przyjdzie z wizytą, zdemaskuje rzekomą księżną i ją upokorzy, a ona nic nie mogła na to poradzić.

Zasłaniając się bólem głowy, Claire poprosiła Hanka, aby odwiózł ją do posiadłości jeszcze przed czterema finałowymi gonitwami.

– Nie, najdroższy. Bardzo cię przepraszam, ale tym razem nie wysiadaj – sprzeciwiła się, kiedy Hank wstał z miejsca po tym, jak powóz zajechał przed siedzibę księżnej. – Muszę się położyć i przez chwilę odpocząć.

– Czy na pewno nie chcesz, żebym został? – spytał zaniepokojony. – Pobladłaś. Charmaine, martwię się o ciebie. Na pewno nic ci nie dolega?

– Nic mi nie będzie – zapewniła go. – Kolację zaplanowałam na ósmą.

– Zjawię się na czas – obiecał jej. – Potem, kiedy lord Nardees wreszcie sobie pójdzie, zabiorę cię na długą przejażdżkę w świetle księżycy. Oddalimy się od miasta, od ludzi. Proszę cię, obiecuj, że ze mną pojedziesz.

Popatrzyła mu w oczy. Widziała w nich troskę i oddanie.

– Naturalnie.

Olivia śmiała się perliście, gdy podchodziła do kasy i spieniężała zwycięski kupon zakładu na ostatnią gonitwę dnia. Przez całe popołudnie dopisywało jej szczęście, a to naturalnie za sprawą Foxa i jego cennych wskazówek.

Upchnąwszy do sakiewki całą dzisiejszą wygraną, natychmiast ruszyła na szybko pustoszące trybuny, aby tam poczekać na przyjaciela. Wcześniej Fox obiecał, że zawiezie ją do domu, gdy tylko skończy pracę w stajni.

Usiadła i westchnęła z zadowoleniem. Spędziła cudowne popołudnie. Miała nadzieję, że szczęście i dobry humor jej nie opuszczą. Wieczoru Canfielda wydawał się najodpowiedniejszym sposobem zakończenia tego udanego dnia.

Rozejrzała się ostrożnie, wyciągnęła z sakiewki zwitek banknotów i dwukrotnie starannie je przeliczyła. Znała Foxa i nie miała najmniejszych wątpliwości, że nie trzeba będzie specjalnie go namawiać, by zabrał ją do kasyna. Na pewno z ochotą na to przystanie i spędzą u Canfielda uroczy wieczór.

Odłożyła pieniądze do sakiewki i ją zawiązała. Uśmiechnęła się z satysfakcją i

popatrzyła na owalny tor, nad którym w rozrzedzonym górskim powietrzu nadal unosiły się drobiny kurzu, wzniecone przez pędzące w ostatniej gonitwie rumaki. Z położonej nieopodal stajni dobiegało rżenie koni. Trenerzy i dżokeje kręcili się tu i tam, krzyczeli do siebie, śmiali się i przekomarzali.

Widok toru i odgłosy z niego dobiegające ogromnie przypadły Olivii do gustu. Podekscytowane tłumy dopingowały ulubieńców. Piękne konie pełnej krwi angielskiej pędziły niczym burza po owalnym torze. Małe dżokeje, paradujący w jaskrawych strojach, dosiadali wielkich, parskających bestii. Trenerzy czekali na nich w stajniach, Ucząc na zwycięstwo.

Olivia nagle uświadomiła sobie, że to jest jej ostatnie popołudnie na wyścigach. Natychmiast posmutniała. Rzecz jasna, miała świadomość, że jest sentymentalną, niemądrą starszą panią, lecz nie potrafiła pohamować raptownej melancholii. Czuła, że bajeczne lato ma się ku końcowi.

Jej oczy załśniły od nieproszonych łez. Pospiesznie zamrugła powiekami, żeby je ukryć, gdyż właśnie dostrzegła zmierzającego ku niej Connora.

– Witaj, moja droga Olivio. Mam nadzieję, że postawiłaś na Wschodnią Tancerkę, tak jak ci radziłem – oświadczył na powitanie i ucałował jej dłoń.

– Jak najbardziej – potwierdziła. Wziął ją za rękę i pomógł wstać. – To nie wszystko. – Chwyciła laskę, wyprostowała się i wyszeptwała mu do ucha, ile wygrała przez całe popołudnie.

– Prawdziwa z ciebie bogaczka. Może zatem okażesz mi życzliwość i pożyczysz parę groszy, moja droga – zaproponował żartobliwie. Wziął ją pod rękę i poprowadził obok stajni do jednokonnego powozu.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – odparła. – Chyba podsunę ci lepszy. Z pewnością nie miałabym nic przeciwko wieczorowi u Canfielda. Przyłączysz się do mnie?

Fox troskliwie podał Olivii rękę, aby łatwiej mogła wejść do powozu, i zaraz potem sam wskoczył.

– Przykro mi, moja droga – odrzekł z niekłamanym żalem, gdy zajął miejsce obok niej. – Dzisiaj nic z tego, choć bardzo bym chciał. Obawiam się, że tym razem będę musiał cię prosić o usprawiedliwienie mojej nieobecności.

– Och, a to dlaczego? – Z trudem ukrywała rozczarowanie. – Otrzymałaś atrakcyjniejszą propozycję?

– Nie, skąd – zaprzeczył i zachichotał. – Co też ci przyszło do głowy? Mam zupełnie inne zobowiązania. Nie pamiętasz? W ubiegłym tygodniu mówiłem ci, że dzisiaj wieczorem stawiam kolację naszym dżokejom.

– Ach, tak. – Istotnie o tym wspomniał. – Kompletnie zapomniałam.

– To rytuał, który powtarzamy co roku pod koniec sezonu. W ten sposób pokazujemy – ja i Hank – jak bardzo cenimy sobie pracę naszych dżokejów.

– Miły z ciebie człowiek, Fox.

– Olivio, z największą chęcią zabiorę cię jutro do Canfielda.

Pomyślała z prawdziwym smutkiem, że jutro jej tu nie będzie. I że więcej się już nie zobaczą.

– Doskonale – powiedziała głośno i uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem. – Zatem jesteśmy umówieni na jutrzejszy wieczór. Nie mogę się doczekać.

Oboje gawędzili swobodnie po drodze do posiadłości. Gdy byli już na miejscu, Fox pomógł Olivii wyjść z powozu, wziął ją pod rękę, zaprowadził do schodów przed drzwiami frontowymi i wszedł z nią na górę.

– Jeszcze nie byliśmy w Moon's, prawda? – zapytał.

Pokręciła głową. Bała się, że wybuchnie płaczem, jeśli spróbuje cokolwiek powiedzieć.

– Może zatem jutro wieczorem pojedziemy nad jezioro, zjemy rybną kolację w Moon's i przeniesiemy się do Canfielda. Tam będziemy mogli sobie poszaleć – ciągnął niczego nieświadomy Fox. – Co ty na to? Podoba ci się mój plan?

Olivia z trudem ukryła żal i w milczeniu skinęła głową.

– Zatem wszystko ustalone. – Uścisnął jej rękę i po chwili puścił. – Do widzenia, moja droga. Do jutra.

– Do jutra – pożegnała go, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Raz jeszcze zmusiła się do uśmiechu.

Oparta o laskę, pomachała mu i patrzyła, jak Fox zbiega po schodach, wsiada do powozu i odjeżdża.

– Żegnaj, Fox. – powiedziała z westchnieniem. Żegnaj, mój drogi. Byłeś naprawdę bardzo dobrym przyjacielem, a więcej cię nie zobaczę. Będzie mi ciebie brakowało.

Odetchnęła głęboko, odwróciła się i weszła do domu.

– Wardley, przestań wreszcie kręcić się po pokoju jak szczur w klatce! Co to za idiotyczne zachowanie! Siadaj, zanim nabawię się przez ciebie bólu głowy – zbesztła męża lady Nardees i sięgnęła po następny talerz deseru.

Po sutej niedzielnej kolacji tylko ona pozostała jeszcze przy stole. Niesforne dzieci zostały wcześniej posłane do łóżek, lecz naturalnie żadne nie poszło spać bez awantury. Ich głośny sprzeciw niósł się po całym apartamencie, podczas gdy przejęci służący namawiali, prosili i przekonywali niegrzecznych podopiecznych,

którzy mieli za nic ich słowa i uparcie biegali po pokojach. Trwało to ponad godzinę. W końcu dzieci zmęczyły się wrzaskami i postanowiły dla odmiany nieco odpocząć.

Lord Nardees nawet nie zauważył tego zamieszania, nie to mu było w głowie. Nerwowo przemierzał pokój, a jego myśli krążyły wokół tego, co się wkrótce miało wydarzyć. Nie mógł się tego doczekać, a zarazem czuł przemożny lęk.

– Słyszałeś, co mówię, Wardley? – spytała lady Nardees. – Co cię trapi dzisiejszego wieczoru?

– Zupełnie nic, aniele – zapewnił. Stał za jej krzesłem, czule uściśnął jej pulchne ramiona i się wyprostował. – Nie przejmuj się, nie ma czym. Pamiętaj, kochanie, że dzisiaj wieczorem jestem umówiony na ważne spotkanie.

– Z całą pewnością o tym nie pamiętam, mój drogi – oznajmiła, odsunęła pusty talerz po deserze i poklepała się po pełnym brzuchu. – Myślałam, że dzisiaj wieczorem wybieramy się na koncert orkiestry w hotelu Grand Union.

– Niczego innego nie pragnę. Niestety, obawiam się, że koncert będzie musiał poczekać, pójdę z tobą innym razem. Rzecz w tym, że rozmawiałem dzisiaj z Hankiem Cassidym, tym słynnym Królem Srebra z Nevady. Cassidy jest właścicielem kilku pierwszorzędnych koni pełnej krwi, które po prostu muszą się znaleźć w mojej stajni. Jeden z nich, Czarny Atlas, ma wielkie szanse na zwycięstwo o nagrodę Traversa. Zgodziłem się spotkać z Cassidym dzisiaj po kolacji i już jestem spóźniony.

– No dobrze, idź zatem na to swoje głupie spotkanie – odparła lady Nardees z rezygnacją i odsunęła krzesło. – Potem wróc i zabierz mnie na koncert.

Lord pospiesznie podszedł, żeby pomóc żonie dźwignąć się z krzesła. Gdy w końcu stała pewnie na nogach, chwycił jej dłoń, pocałował i wykrzywił usta, gdy poczuł, że zostały na nich lepkie smugi deseru.

Zlizął pozostałości smakołyku i rozłożył bezradnie ręce.

– Bardzo bym chciał – zapewnił żonę. – Nie masz jednak pojęcia, jak długotrwałe bywają takie spotkania. Trzeba wszystko bardzo dokładnie omówić, żeby potem nie żałować. Słyszałem, że Cassidy jest trudnym partnerem do rozmów o interesach, a nie zamierzam dać się oskubać.

Lady Nardees oparła dłonie na obfitych biodrach.

– O której wrócisz, Wardley? – zapytała surowo.

– Nie czekaj na mnie, kochanie. – Lord Nardees wstrzymał oddech. Miał wielką nadzieję, że zirytowana małżonka nie zrobi mu sceny. Po rozmowie z Cassidym lord zamierzał wpaść do jednej z blondynek, które ściągnął z Palmetto Palace. –

Obawiam się, że mogę wrócić bardzo późno.

Lady Nardees zmarszczyła brwi i z dezaprobatą pokręciła głową. Skomplikowana fryzura niebezpiecznie się zakotłosała.

– Ty i te wielkie, paskudne, bezmyślne zwierzaki – burknęła ze złością. – Wymyśliłeś sobie idiotyczny sposób spędzania wolnego czasu. Bez zastanowienia mogłabym wymienić mnóstwo ciekawszych rozrywek niż oglądanie stada pędzących wokół toru koni. Co w tym fascynującego?

Lord Nardees uśmiechnął się szeroko i pomyślał, że również potrafiłby wskazać parę bardziej interesujących sposobów uprzyjemniania sobie życia.

– Droga Beatrice, jazda konna to królewski sport, i z tego względu wyjątkowo odpowiedni dla utytułowanych dżentelmenów – powiedział tylko.

Gruba dama wzruszyła ramionami i ziewnęła sennie.

– Jak uważasz – oświadczyła. – Idź, tylko nie waż się budzić mnie, kiedy już raczysz wrócić.

– Będę się zachowywał bardzo cicho – obiecał i przycisnął policzek do jej policzka.

Następnie poszedł po okrycie i wepchnął krótkie ręce w rękawy.

– Dobranoc, słońce – pożegnał się. – Spij dobrze i niczym się nie przejmuj.

Wyszedł pospiesznie i odetchnął z ulgą, gdy znalazł się na szerokim korytarzu. Na jego ustach pojawił się uśmiech satysfakcji. Lady Nardees zupełnie niczego nie podejrzewała. Lord był pewien, że Beatrice prześpi twardo całą noc, ani razu się nie budząc. Nie będzie miała pojęcia, że jej oddany, potulny i posłuszny małżonek, wielbiciel wyścigów i koni pełnej krwi, spędzi kilka upojnych godzin w willi hotelowej w towarzystwie jednej ze swoich uroczych blondynek.

Nagle lord Nardees spowaźniał. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Przypomniawszy sobie, że zanim odda się wieczornym igraszkom, będzie musiał odwiedzić Króla Srebra, Hanka Cassidy'ego. Bardzo żałował, że przyjął jego zaproszenie, wcale nie chciał wpadać do posiadłości księżnej.

Wyniosła księżna dysponowała rzadko spotykaną zdolnością wprawiania go w zakłopotanie. Tracił przy niej całą pewność siebie. Nieczęsto widywali się w Londynie, ale przy tych nielicznych okazjach, gdy spotykali się podczas rozmaitych imprez, Charmaine Beaumont zawsze patrzyła na lorda tak, jakby znała jego starannie skrywane tajemnice.

Pomyślał, że to nedorzecznosc. Skąd mogłaby cokolwiek wiedzieć? Na pewno nie miała o niczym pojęcia. Najzwyczajniej go nie lubiła, choć kompletnie nie rozumiał dlaczego. Nie widział jej od przyjazdu do Saratoga Springs i najchętniej

wcale by się z nią nie spotykał.

Doszedł do wniosku, że nie ma się czym przejmować. Po kurorcie krążyły pogłoski, że romansowała z Cassidym. Podobno była tak szczęśliwa, że promieniała i okazywała wszystkim ogromną sympatię. W opinii ludzi zmieniła się nie do poznania i wcale nie przypominała złośliwej i wyniosłej księżnej.

Nieco się odprężył. Doszedł do wniosku, że może nie będzie tak źle, jak się obawiał. Wredna księżna powinna być miła i pogodna w towarzystwie ulubionego kochanka.

Rozdział Olivia już od progu usłyszała głos Claire.

– Nieszczęście! Co robie? – lamentowała młoda kobieta. – Hank zaprosił tego koszmarnego lorda Nardeesa. Przyjdzie tu dzisiaj wieczorem. Olivio, wszystko stracone. Mój sekret lada chwila wyjdzie na jaw!

– Dobry Boże, to niemożliwe! – wykrzyknęła Olivia i odłożyła laskę o srebrnej rączce do stojaka na parasole. – Nie miałam pojęcia, że się znają. Jak do tego doszło? Dlaczego, u licha, Hank zaprosił tutaj lorda Nardeesa?

Olivia wzięła Claire pod rękę i zaprowadziła ją do salonu, a następnie posadziła na kanapie.

– Takie mam szczęście – odparła z westchnieniem zapytana. – Nardees jest zainteresowany kupnem paru koni Hanka. – Pokręciła głową, wyraźnie niezadowolona. – Dzisiaj wieczorem przyjdzie, żeby omówić szczegóły transakcji. Olivio, nic tu po nas, musimy wyjechać. I to już, bezzwłocznie, jeszcze dzisiejszego popołudnia. Bierz się do roboty, pora pakować manatki. Nie możemy sobie pozwolić na czekanie do rana.

– Hank postąpił nietaktownie, zapraszając Nardeesa do cudzego domu – zauważyła Olivia. – Może takie obyczaje panują na Zachodzie, niemniej...

– Szkoda czasu. Daj spokój rozważaniom o etykietce, zacznij przygotowywać się do wyjazdu.

– Za późno, moja droga – oznajmiła Olivia z rezygnacją. – Ostatni pociąg opuścił już stację. Dziś nie wydostaniemy się z kurortu, trzeba czekać do jutra.

– Jak to? Nie będzie już innych?

– Żaden nie jedzie do miasta. Ostatni pociąg z Nowego Jorku powinien przyjechać o ósmej wieczorem. – Olivia wzruszyła ramionami. – Dla nas to i tak bez znaczenia. Gdy pasażerowie opuszczą wagony, skład pozostanie na stacji do jutra. W drogę powrotną wyruszy dopiero wczesnym rankiem. Właśnie tym pociągiem opuścimy Saratoga Springs.

– Nie – zaprotestowała Claire, nie mogąc znieść goryczy porażki. – Nie, nie, nie – mruknęła przejęta. Opadła na krzesło i wcisnęła zaciśnięte dłonie między kolana. – Nie mam nawet szansy uciec przed tym, co nieuchronne.

Zamilkła, westchnęła głęboko i opuściła głowę.

– Zresztą na to zasłużyłam – dodała zachmurzona. – Tak jest. Sama zapracowałam na to, co mnie czeka. Poniosę karę za karygodne oszustwo. Nie mogę uciec jak tchórz, którym zresztą jestem. Przyszło mi pozostać tu i znosić upokorzenia. Jeszcze dzisiaj będę widziała pogardę w oczach Hanka, gdy pozna ohydny prawdę o mnie.

Olivia usiadła na podnóżku i uważnie popatrzyła na młodą przyjaciółkę.

– Za bardzo się przejmujesz – zauważyła. – Bądź rozsądna. Przemyśl tę sytuację. Jeśli ty masz coś do ukrycia, to Nardees również. Nie będzie ryzykował zdemaskowania. Czy twoim zdaniem naprawdę chce, żebyś opowiedziała Hankowi o zdarzeniach, które miały miejsce w Londynie? – Uniosła rzednące brwi. – Szczerze wątpię.

– Nie znasz Nardeesa, kochana Olivio. – Claire pokiwała głową i z powagą spojrzała na przyjaciółkę. – T o podły, paskudny drań, który nie posiadałby się z radości, widząc mnie na kolanach, upokorzoną i nieszczęśliwą. Będzie utrzymywał, że ukradłam tę biżuterię i że mam szczęście, bo zdolny adwokat uchronił mnie przed karą więzienia. – Popatrzyła starszej pani w oczy. – Nie mogę tego zrobić. I nie zrobię. Powiesz Hankowi, że nagle zachorowałam, leżę w łóżku i nie mam siły zejść i prowadzić rozmowy.

– Wykluczone – zaprotestowała Olivia i założyła ręce. – Dzisiaj odbędzie się finałowe przedstawienie w tym świetnie wyreżyserowanym spektaklu, a ty, moja droga, wystąpisz w roli głównej.

– Claire chciała zaprotestować", lecz Olivia uciszyła ją ruchem dłoni.

– Jutro smutna, skruszona Claire Orwell wyjedzie porannym pociągiem. Dzisiaj jednak beztroska księżna Beaumont wyśmieje wszelkie niedorzeczne oskarżenia, wygłaszane przez zawistnego, nieżyczliwego całemu światu lorda Nardeesa. Gdy tylko ten człowiek sobie pójdzie, rzucisz się w ramiona Króla Srebra z Nevady i spędzisz w nich resztę wieczoru, ciesząc się bliskością przystojnego młodego mężczyzny, który po prostu szaleje za tobą.

– Hank wcale za mną nie szaleje – sprostowała Claire ze smutkiem. – Jego wybranką jest księżna Beaumont.

– Jak cię zwał, tak cię zwał. To bez znaczenia, jakim imieniem się przedstawiasz. Do jutra jesteś księżną – przypomniała Olivia. – Na litość boską, zachowuj się tak, jak księżnej przystało.

Przygarbiona Claire przez chwilę rozważała słowa przyjaciółki. Wkrótce się wyprostowała i z determinacją zmrużyła oczy. Butnie uniosła brodę.

– Masz rację, moja droga – przyznała. – Do jutra naprawdę jestem księżną Beaumont. To moja posiadłość, a Hank Cassidy to mój gość, i sama go tutaj zaprosiłam. Włożę najpiękniejszą suknię i punktualnie o ósmej wieczorem zjem z nim pyszną i wykwinną kolację przy świecach. Później, gdy pożegnam lorda Nardeesa, wyruszę z moim kochankiem na nocną wycieczkę w świetle księżycyca i... i... – Zawahała się, a jej oddech nagle stał się płytki i szybki. – I sprawię, że oboje

zapamiętamy tę noc do końca życia.

– Moja dzielna dziewczynka. Tak trzymaj – pochwaliła Olivia, roześmiała się i klasnęła w dłonie.

– Skąd ten niezwykły nastrój, księżno? – spytał Hank po kolacji, kiedy usiadł wygodnie na kanapie w salonie, a Claire niespokojnie przechadzała się z kąta w kąt.

– Nie jestem zaniepokojona – zaprotestowała natychmiast tak nerwowo, jakby lada moment miało ją spotkać coś wyjątkowo nieprzyjemnego.

Przyptyw pewności siebie, którego wcześniej doświadczyła, znikł bezpowrotnie i teraz nie mogła usiedzieć na miejscu. Zamarła, gdy pół godziny temu, podczas kolacji z Hankiem, wydało się jej, że słyszy odgłos kół powozu, wtaczającego się na podjazd. Przygotowała się na nieuchronne, zacisnęła zęby i czekała na dźwięk dzwonka u drzwi.

Panowała jednak cisza.

Claire nic nie rozumiała.

Kto przybył z wizytą, jeśli nie lord Nardees? Dlaczego gość nie zadzwonił?

Claire stanęła w miejscu i popatrzyła niepewnie na kochanka.

– Hank – odezwała się – czy mi się zdawało, czy też jakiś czas temu na podjeździe rozległ się hałas jadącego powozu?

– Ja też słyszałem stukot kół – przyznał i skinął głową. – Chyba to było tylko złudzenie. Albo ktoś zabłądził, skręcił w stronę posiadłości i zawrócił.

– Niewykluczone – mruknęła i ponownie zaczęła dreptać z kąta w kąt.

Hank zmarszczył brwi.

– Co się dzieje? – spytał zmartwiony. – Wybacz, że jestem natrętny, ale powiedz, co cię tak denerwuje?

– Zapewniam, nic mnie nie denerwuje – odparła Claire. – Męczy mnie bezczynność. Czy naprawdę musimy tkwić tutaj przez cały wieczór? Przełóżmy spotkanie z tym lordem Nardeesem na jutro albo pojutrze. Obiecałeś zabrać mnie na przejażdżkę, daleko poza miasto. Ruszajmy w drogę i...

Hank podniósł rękę, aby uciszyć Claire.

– Słyszysz?

– Co? Nic nie słyszę. – Nie zdążyła dokończyć zdania, kiedy zabrzmiał wyraźny, charakterystyczny chrzęst kół powozu, zatrzymującego się na żwirowym podjeździe.

– Oto i Nardees – oznajmił Hank i wstał.

Claire milczała. Pospiesznie podeszła do kanapy i opadła na nią, zupełnie jakby

zwątpiła, czy zdoła utrzymać się na nogach. Donośne pukanie do drzwi sprawiło, że zeszywniała, a oparte na udach dłonie zacisnęła w pięści.

Jenkins otworzył drzwi i wprowadził gościa do salonu.

– Lord Wardley Nardees – zaanonsował kamerdyner i uklonił się dostojnie.

– Och, Cassidy, wybacz mi spóźnienie, ale byłem... Byłem... – Zamilkł nagle, ujrawszy Claire. Zrobił wielkie oczy i pobladł, a następnie zmarszczył brwi.

– To bez znaczenia – zapewnił go Hank i wyciągnął dłoń na powitanie. – Jak miemam, znasz moją piękną towarzyszkę, księżną Beaumont. – Zaprowadził gościa do Claire. – Charmaine, pamiętasz lorda Nardeesa.

Hank spojrzał na Claire i na gościa.

– Księżno – powiedział Nardees i ujął rękę Claire. Przeszył ją dreszcz obrzydzenia, gdy się pochylił i złożył na jej dłoni wilgotny, soczysty pocałunek.

– Milordzie – powitała go cichym głosem.

– Proszę usiąść – zachęcił Hank gościa i wskazał fotel.

Arystokrata usiadł i praktycznie przestał zwracać uwagę na słowa Hanka. Wbił oczy jak paciorki w Claire i oblizał mięsiste wargi.

– Księżno – powtórzył z niegodziwym uśmieszkiem – bardzo miło cię widzieć, choć muszę przyznać, że rozpoznałem cię z najwyższym trudem. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Dziękuję.

– Od dawna gościsz w Saratodze?

– Nie, od niedawna – zapewniła go ostrym tonem, uniosła brodę i ostrzegawczo popatrzyła mu w oczy.

Hank ponownie coś powiedział, przyciągając uwagę Nardeesa, ale Claire czuła, że arystokrata nie spuszcza z niej wzroku. Sytuacja była oczywista: Nardees zabawiał się jej kosztem. Nie wierzyła, że będzie trzymał język za zębami. Ona miała do stracenia znacznie więcej od niego i lord doskonale o tym wiedział.

Gdyby udało mu się przekonać Hanka, że Claire nie jest księżną Beaumont, wówczas Hank z pewnością nie uwierzyłby w jej opowieść o tym, jak lord Nardees ją napastował, a gdy próba zniewolenia się nie powiodła, wtrącił nieszczęsną młodą kobietę do Newgate pod zarzutem kradzieży klejnotów. Gdyby Hank dowiedział się o jej kłamstwie, nie uwierzyłby już w ani jedno jej słowo. Z pewnością przedłożyłby zapewnienia człowieka z towarzystwa nad wersję zwykłej guwernantki.

Claire miała mętlik w głowie i z trudem docierały do niej fragmenty rozmowy Hanka z gościem. Usłyszała, jak jej kochanek opisuje Czarnego Atlasa oraz parę

innych rasowych koni, lecz nie zrozumiała odpowiedzi gościa.

Otrząsnęła się z zamyślenia, kiedy lord Nardees ponownie skupił na niej uwagę.

– Wiesz, mój drogi Cassidy, coś ci powiem zaczął enigmatycznie. – Niewiele jest rzeczy, którymi gardzę tak głęboko jak nieuczciwością. A ty?

Hank poczuł się urażony.

– Nie bardzo rozumiem tę uwagę. Jeśli powątpiewasz w prawdziwość moich słów, to...

– Nie, skąd, nie mam na myśli ciebie, Cassidy – zapewnił go Nardees pospiesznie. – Widzisz...

– Jaśnie pani, czy mam tu podać brandy? – prze-rwała mu wysoka, jasnowłosa kobieta w ubraniu pokojówki, która zniecka zjawiała się w salonie.

Wszyscy wbili wzrok w nowo przybyłą.

Służącą okazała się prawdziwa księżna Beaumont, przebrana w skromną, czarną suknię z białym, organdyńskim fartuszkim i czepkiem do kompletu. Przez nikogo nie oczekiwana dama z chytrym błyskiem w oku wkroczyła do salonu. W rękę trzymała srebrną tackę z trzema kieliszkami koniaku.

Claire momentalnie rozpoznała księżną – zdjęcia arystokratki bardzo często trafiały do rubryk towarzyskich „London Times”. Patrzyła na nią ze zdumieniem i czuła, jak cała krew odplywa jej z twarzy. To już koniec, pomyślała.

W pewnej chwili rozbawiona księżna odwróciła głowę i porozumiewawczo mrugnęła do Claire, zanim podeszła do mamrocącego coś bez sensu lorda Nardeesa.

– Brandy, wasza lordowska mość? – zapytała uprzejmie, stanęła przed nim i pochyliła się z tacką. Grubas bez słowa wytrzeszczył oczy. – Nie? – spytała z ostrzegawczym uśmiechem, aby nie miał wątpliwości co do jej intencji. – Jak to, już wasza lordowska mość wychodzi? Zatem proszę pozwolić, że odprowadzę go do drzwi.

Zbity z tropu, poczerwieniały na twarzy lord Nardees chwycił kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Następnie otarł usta wierzchem dłoni, wstał i w drodze do drzwi wymamrotał kilka słów wyjaśnienia oraz przeprosin.

Hank zerwał się z miejsca, nic nie rozumiejąc.

– Lordzie Nardees – powiedział – skąd ten pośpiech? Jeszcze nie doszliśmy do sedna sprawy...

– Eee... Właśnie coś sobie przypomniałem – bełkotał. – Obiecałem lady Nardees, że dzisiaj wieczorem zabiorę ją na koncert. Tak, nigdy by mi tego nie darowała, gdybym się spóźnił. Rozumiesz zatem, że muszę się pospieszyć.

– Tak, to oczywiste – przyznał Hank szybko, ale momentalnie wyczuł, że dzieje się coś dziwnego.

– Spotkajmy się w przyszłym tygodniu – zaproponował Nardees z wahaniem.

– Naturalnie.

– Proszę za mną – oświadczyła księżna Beaumont swobodnie, odstawiła tackę i wzięła gościa pod rękę.

W przestronnym holu zaprowadziła go prosto do drzwi wejściowych i wysliznęła na dwór tuż za nim.

– Charmaine, co tu się wyprawia, u Ucha? – spytał zirytowany Nardees.

– Och, to tylko taka zabawa – zapewniła go i zaśmiała się cicho. – Czyż nie dlatego często odwiedzasz wieczorami pewne damy? Dla zabawy...

Okrągłe oblicze Nardeesa przybrało barwę szkarłatu, a na jego czole pojawiły się krople potu.

– Powiedz choć słowo mojej... – zaczął groźnie, lecz księżna nie pozwoliła mu dokończyć.

– Twojej kochanej, ufnej żoncy? – odpowiedziała mu usłużnie. – Ejże, drogi lordzie Nardees, ty stary głuptasie. Nawet nie przyszłoby mi do głowy ujawniać twoich niezliczonych przypadków niewierności. – Zachichotała radośnie. – Wiesz, coś ci opowiem. W pociągu, jadącym z Nowego Jorku, miałam niewątpliwą przyjemność podróżować w towarzystwie czwórki rozbawionych, młodych kobiet, samych blondynek. Były przyjacielskie i niebywale dowcipne. Jak sądzisz, co je sprowadziło do Saratogi?

Lord Nardees zmarszczył brwi. Usiłował oswobodzić rękę, którą księżna coraz mocniej ścisnęła.

– Nie wiesz? Posłuchaj więc – przykazała, zadowolona z jego niezadowolenia.

– Dwie z tych towarzyskich dam zabrały w drogę srebrne piersiówki. Podróż ciągnęła się w nieskończoność, zaznajomiłyśmy się i radośnie spełniłyśmy toast lub dwa. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Aż dziw bierze, jak odrobina alkoholu rozwiązuje języki. Prawda, Wardley? Chyba zgodzisz się ze mną?

– Do czego zmierzasz, Charmaine? – Lord był już wręcz wściekły. – Spóźnię się na...

– Jesteś typem hazardzisty, zgadza się, Wardley? O ile pamiętam, chętnie się zakładasz. Otóż jestem gotowa oddać tę posiadłość, jeśli to nie ty zaaranżowałeś przyjazd tych blond ślicznotek do Saratogi. Dobrze zgadłam? A może jednak się mylę. Nie musisz odpowiadać, twoja mina jest – jednoznaczna. Zakwaterowałeś te młode panny w willach hotelu United States, aby mieć kogo odwiedzać

wieczorami, co? Przyznaj się, Wardley.

– Charmaine Beaumont, jeśli ktokolwiek...

– Nie puszczę pary z ust – zapewniła go z przebiegłym uśmiechem i poklepała po ramieniu. – Ufam, że odwzajemnisz mi się dyskrecją w sprawie nieszkodliwej zabawy aktorskiej mojej młodej przyjaciółki.

– Ta kłamliwa suka...

– Powściągnij język, perwersyjny bufonie – uciszyła go. – Doskonale wiem, kto tu łąze. Powiedz choć słowo temu przystojnemu młodzieńcowi, a twoja pusta, leniwa żona pozna prawdę o kwartecie blondynek i twoich planach względem niego. Na pewno będzie zachwycona. – Chciał zaprotestować, ale wyciągnęła rękę i wskazała czekający na podjeździe powóz. – Słuchaj mnie uważnie, Wardley. Masz tytuł lorda, ale majątek należy do Beatrice. Jeśli się jej narazisz, zostawi cię bez grosza. Teraz wynoś się i nie wracaj. – Roześmiał: i się pogodnie i dodała: – O mało o czymś nie zapomniałam. Wypaprałeś kamizelkę sosem, doktoru.

Odwróciła się i pospiesznie skierowała do budynku. Po chwili przekroczyła próg salonu.

– Jaśnie pani, czy jeszcze coś? – spytała grzecznie – Nie, Claire, dziękuję – odparła Claire i z wdzięcznością mrugnęła do księżnej. – To wszystko na dzisiejszy wieczór. – Na wszelki – wypadek odchrząknęła i dodała: – Pan Cassidy właśnie wybiera się ze mną na przejażdżkę.

– Cudowna myśl.

– Eee... przy najbliższej sposobności chciałabym z tobą omówić kilka spraw związanych z domem.

– Tak jest, jaśnie pani. – Księżna skinęła głową. – Jak jaśnie pani sobie życzy.

Rozdział 36

– Wieczór jest chłodny. Właściwie zrobiło się całkiem zimno. Może usiądziesz odrobinę bliżej mnie? – zaproponował Hank, kiedy wraz z Claire powoli jechali powozem ruchliwym Broadwayem, skąpanym w świetle latarni.

Claire chciała odmówić, ale zmieniła zdanie, kiedy utknęli w korku tuż przed hotelem Grand Union i ujrzała tam Caroline Whit, idącą pod rękę z Parkerem Lawsonem. Claire natychmiast przysunęła się do Hanka, zaborczym gestem ujęła rękę ukochanego i przytuliła głowę do jego ramienia.

– To rozumiem. – Wydawał się zadowolony jak mały chłopiec. – Nie znoszę, kiedy jesteś zbyt daleko.

Claire wychyliła głowę i natychmiast dostrzegła, jak Caroline Whit z irytacją marszczy cienkie brwi, a w następnej chwili uśmiecha się fałszywie.

– Dobry wieczór, księżno. Witaj, Hank – zawołała Caroline pogodnie i zbiegła po schodach przed hotelem, ciągnąc za sobą opornego Parkera.

Hank odwrócił się i skinął głową obojgu.

– Caroline. Parker. Jakże miło was widzieć – powiedział na powitanie.

– Mam fenomenalny pomysł! – wykrzyknęła Caroline znienacka i podeszła do powozu, nie spuszczając wzroku z Hanka. – Może wszyscy czworo pójdziemy do Congress Inn i wypijemy tam drinka przed snem? Co wy na to?

– Dziękuję, innym razem – odparł Hank.

– Wybacz, moja droga, nie zdążymy. Hank obiecał, że zabierze mnie na przejażdżkę w świetle księżycy – oświadczyła Claire z satysfakcją.

– Ale jest jeszcze wcześniej – upierała się Caroline. – Później się przejedziecie. Zresztą, jeśli nie zauważyliście, ze wschodu nadciągają chmury. Pewnie wkrótce lunie deszcz. – Żartobliwie pociągnęła Hanka za rękaw. – Chyba nie chcecie, żeby złapała was letnia burza. Chodźcie, wypijemy parę drinków, pośmiejemy się i...

– Caroline, czy ty nie widzisz, że oni chcą być sami? – zwrócił jej uwagę Parker Lawson. Szybko chwycił ją za rękę i odciągnął od powozu.

Korek powoli się rozładowywał. Powóz ruszył z miejsca, a rozczarowana Caroline Whit została z tyłu, ze złością mamrocząc coś pod nosem.

– Tracisz czas – oświadczył Parker. – Hanka Cassidy'ego interesuje wyłącznie księżna. Pora, byś dała sobie z nim spokój, nie widzisz tego?

Caroline wyrwała się z jego uścisku.

– Znam Hanka Cassidy'ego i wiem, że się nią znudzi, a wtedy trafi prosto w

moje objęcia. Zobaczysz. Prędzej czy później tak właśnie się stanie.

– Niewykluczone. Na razie możemy jednak wpaść do baru w hotelu United States i upić się na wesoło – zaproponował.

– Powtarzam ci od dawna, że Caroline ma na ciebie chrapkę – zauważyła Claire, kiedy dojechali do końca Broadwayu i zaczęli się oddalać od centrum.

– A ja mam chrapkę na ciebie – odparł, nie odwracając głowy. – Na nikogo innego, tylko ciebie. Caroline mogłaby dla mnie nie istnieć, przecież wiesz.

– Hank, jesteś taki cudowny – powiedziała szczerze. Popatrzyła w górę, na nocne niebo. Nad wschodnim horyzontem pojawiło się kilka wypiętrzonych chmur, które powoli płynęły w kierunku Saratogi. – Może Caroline miała rację. Wygląda na to, że w ciągu godziny zacznie padać.

– Wątpię – oświadczył Hank i zadarł głowę, aby spojrzeć na księżyc w pełni. Uśmiechnął się szeroko i dodał: – Poprosiłem niebo, żeby poczekało z deszczem do czasu naszego powrotu do willi.

– Och, zatem sprawa jest załatwiona – zdecydowała Claire i roześmiała się zadowolona.

Przez pewien czas jechali w przyjaznym milczeniu. Widoki i odgłosy Saratogi szybko znikwały w oddali. Hank wybrał drogę w kierunku jeziora, ale skręcił, zanim dotarli do brzegu.

Zatrzymał powóz w otoczeniu wysokich sosen. Wyciągnął zielono-biały koc, pomógł Claire zejść i wziął ją za rękę. Poprowadził ukochaną między drzewa, wyjaśniając, że zna sekretne miejsce, które pragnie jej pokazać. Dodał, że zwlekał tak długo, bo czekał na specjalną okazję.

Taką jak teraz.

Claire poczuła ucisk w sercu.

Szli powoli, na przemian skąpani w srebrzystym księżycowym blasku i pogrążeni w kompletnym mroku.

W końcu dotarli do jasnej polany i Claire wstrzymała oddech, przejęta urodą panoramy, która się przed nimi roztaczała. Stali na wysokiej skarpie nad rozległym jeziorem. Piętnaście metrów niżej ujrzeli spienione fale, bijące w ścianę z litej skały. Na tafli jeziora tańczyły światła, a po wodzie niosły się dźwięki romantycznej muzyki, rozbrzmiewającej z pawilonu tanecznego przed Moon's.

– Hank, tu jest pięknie – wyszeptała. – Niewiarygodnie pięknie. Cieszę się, że mnie tutaj przyprowadziłeś.

Hank klęknął na kocu, rozpostartym na miękkiej trawie.

– Podejrzewałem, że to miejsce przypadnie ci do gustu – przyznał.

Gdy podeszła bliżej do skraju skarpy, usłyszała za plecami pełen napięcia głos kochanka.

– Uważaj – ostrzegł ją. – Nie podchodź zbyt blisko krawędzi, najdroższa. Nie chcę cię stracić.

Pomyślała, że i tak ją straci. A ona jego. Utracą się nawzajem i nic nie mogła na to poradzić. Odwróciła się powoli. Hank nadal klęczał i wygładzał koc. Widząc, że Claire na niego spogląda, podniósł rękę. Stała tuż nad nim, pochyliła się, ujęła jego twarz w obie dłonie i spojrzała mu w błyszczące oczy. Hank objął Claire w pasie i powoli przyciągnął ją do siebie.

– Pocałuj mnie – poprosił szeptem. Miał odchyloną głowę, dłonie zaciskał na talii Claire.

Otoczyła jego szyję ramionami i przybliżyła usta do jego twarzy.

Gdy jej wargi znajdowały się w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego ust, Hank się zawahał. Chociaż pragnął pocałować kochankę niezwłocznie, jak najszybciej, powstrzymał się i przez długą chwilę ją obserwował. Claire miała ochotę wybuchnąć płaczem. W jego dobrych i czułych oczach dostrzegła miłość.

Hank wyszeptał imię ukochanej i złożył na jej ustach czuły pocałunek.

Całowali się, klęcząc w blasku księżyca, zawieszono go wysoko nad jeziorem niczym ogromny lampion. Claire desperacko przytuliła się do Hanka, zdruzgotana myślą, że nadeszła ich ostatnia wspólna noc. Już jutro nie będą mogli cieszyć się swoją bliskością i czułymi pieszczotami. Pozostaną jej jedynie wspomnienia i nic poza nimi. Niemal nic – będzie jeszcze cierpienie.

Z zamkniętymi oczami i tłukącym się w piersi sercem rozkoszowała się bliskością potężnych ramion Hanka, którymi mocno ją obejmował, a także muskularnym torsem.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że tej nocy i tego pocałunku nigdy nie zapomni.

Choć ich wargi w końcu się rozłączyły, Hank nie puścił Claire. Popatrzył jej w oczy – Dobrze, że klęczymy – zauważył. – Gdybyśmy stali, pewnie bym upadł, bo kolana się pode mną uginają.

Uśmiechnęła się.

– Pode mną także.

– Usiąźmy.

– Dobrze.

Hank zwolnił uścisk i puścił Claire. Odsunęła się, skrzyżowała nogi i starannie rozpostarła długą spódnicę wokół stóp. Hank usiadł naprzeciw Claire i również

skrzyżował nogi.

Potem wziął ją za rękę, przytrzymał, sięgnął do kieszeni spodni i wydobyl małe, obite aksamitem pudełko.

Pochylił głowę i ponownie pocałował Claire. Następnie odetchnął głęboko i przytulił jej rękę do piersi.

– Czujesz, jak szybko bije mi serce? – spytał.

Przycisnęła palce do jego twardego torsu i wyraźnie wyczuła pospieszne i mocne dudnienie. Łagodnie odsunął dłoń ukochanej.

Potem kompletnie ją zaskoczył, mówiąc:

– Kocham cię, jedyna. Przysięgam, jeszcze nigdy nie mówiłem tego żadnej kobiecie. Kocham cię głęboko, mocno, szczerze. Do szaleństwa i na wieki. Wyjdź za mnie, Charmaine. Zostań moją żoną.

Z cichym trzaskiem otworzył aksamitne pudełko i podsunął je Claire. W blasku księżycy zalśnił najczystszej wody, doskonale oszlifowany brylant.

– Chcę, byś pojechała ze mną do Nevady – ciągnął Hank. – Pragnę cię poślubić, mieć z tobą dzieci i starzeć się u twego boku. Nie chcę już żadnych innych kobiet – Hank, p o słuchaj...

– Zgódź się, najmilsza. Wyjdź za mnie.

Claire była zrozpaczona. W innych okolicznościach po usłyszeniu tych słów czułaby się najszczęśliwsza na świecie, ale w tej sytuacji pękało jej serce.

Wiedziała, co powinna zrobić. Zebrała w sobie resztki sił i roześmiała cicho.

– Hank, rozczarowujesz mnie – oznajmiła z przyganą. – Pamiętaj, co ustaliliśmy...

– Nie zapomniałem o naszych ustaleniach – przerwał natychmiast i rzucił pudełko oraz brylant prosto na jej kolana. Potem chwycił ją za ramiona i spojrzał jej w oczy. – Nigdy nie chciałem, żeby do tego doszło, ale pokochałem cię i wierzę, że odwzajemniasz moją miłość. To wcale nie jest przelotny wakacyjny romans. Połączyło nas prawdziwe, szczerze uczucie, coś wielkiego. Tak się kocha do końca życia i oboje o tym wiemy.

Nie zdążył dokończyć zdania, kiedy jego przystojna twarz zaczęła z wolna znikać w zapadającym mroku, który nadszedł wraz z ciemną chmurą burzową. Księżyc przestał roztaczać srebrny blask, a Claire poczuła na twarzy pierwsze krople deszczu.

Hank nawet nie zauważył, że pada.

– Czy chodzi o to, że nie chcesz mieszkać w Nevadzie? – Jego głos dobiegł z ciemności. – Ani gdziekolwiek w Ameryce? Zgoda, zrobię, co zechcesz. Pojadę z

tobą do Anglii. Wyruszę za tobą wszędzie. Kocham cię, Charmaine Beaumont, całym sercem i jeśli zgodzisz się wyjść za mnie, dołożę wszelkich starań, aby cię uszczęśliwić.

Krople deszczu zmieniły się w potoki, a niebo przeszła oślepiająca błyskawica. Chwilę potem zabrzmiał złowroźny grzmot.

– Lepiej wracajmy, bo przemokniemy do suchej nitki. Ten deszcz może długo potrwać – ostrzegła go Claire i pośpiesznie zaczęła się zbierać do powrotu.

– Do diabła z deszczem – zniecierpliwił się Hank, chwycił Claire za nadgarstek i zatrzymał. Pociągnął ją z powrotem na koc. – Słyszysz, co mówię? Powiedziałem, że cię kocham, i chcę, byś została moją żoną.

Niespokojnie odszukał upuszczone aksamitne pudełko, wyłuskał z niego pierścionek z brylantem i ponownie wyciągnął go w kierunku ukochanej.

Tym razem zabrakło jednak blasku księżycy, w którym zaślniłby drogocenny kamień. Hank wsunął pierścionek na mały palec i położył dłonie na ramionach Claire.

– Kocham cię, najdroższa – wyznał cicho ponownie. – Naprawdę cię kocham.

Claire oddychała płytko i pośpiesznie. Chociaż wokół panowały ciemności, a po jej policzkach spływały strumienie wody, była zadowolona, bo przynajmniej Hank nie widział wyrazu jej twarzy.

– Niestety, wierzę. Na tym polega twój pech – zauważyła lekceważąco.

– Nieprawda – zaprotestował i zacisnął dłonie na jej ramionach tak mocno, że niemal krzyknęła z bólu. Deszcz zamoczył mu włosy, które przylepiły się do głowy i zwisały w strąkach. – Ty też mnie kochasz, dobrze o tym wiem. Nie potrafisz tego ukryć. Co masz do stracenia? Boisz się? Błagam cię, wyznaj mi prawdę. Powiedz, że kochasz mnie tak jak ja ciebie.

Mokrą twarz Claire oświetliła błyskawica.

– Mylisz się, Hank – skłamała. Jej łzy mieszały się z kroplami deszczu. – Rzecz jasna, lubię cię, i naturalnie bardzo mi się podobasz, spędziliśmy wiele cudownych chwil, które z pewnością zapamiętam, niemniej...

– Do Ucha, Charmaine Beaumont, spójrz mi w oczy i powiedz, że mnie nie kochasz. – Potrząsnął nią gwałtownie.

Claire skuliła ramiona.

Przemokli do suchej nitki, ociekali wodą, ich włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wyszli z kąpieli.

Niebo przeszła jeszcze jedna błyskawica.

Musiła to powiedzieć. Musiała.

– Hank, nie kocham cię – przemówiła donośnym głosem, żeby przekrzyczeć grzmot. – Przykro mi.

Rozdział 37

Tuż po północy przygnębiona Claire krzątała się przy pakowaniu walizek i przygotowywała do wyjazdu, kiedy ktoś cicho zapukał do drzwi apartamentu.

Claire spodziewała się tej wizyty. Oczekiwała na w pełni uzasadniony gniew kobiety, której ukradła tożsamość. Podeszła do drzwi, odetchnęła głęboko i przekręciła klucz w zamku.

– Dobry wieczór. Mogę wejść? – spytała prawdziwa księżna Beaumont i uśmiechnęła się łobuzersko. – Och, zupełnie zapomniałam. Przecież to mój dom. Mam rację?

Claire skinęła twierdząco głową i poczuła, jak pod jej powiekami zbierają się piekące łzy.

– Wasza książęca mość, proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny – powiedziała skruszona. – Zawsze będę żałowała tego, co uczyniłam, i mam nadzieję, że znajdzie pani w sercu dość litości, aby mi przebaczyć. Z pewnością mi pani nie uwierzy i wcale mnie to nie dziwi, ale tak naprawdę jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłam nic podobnego. Naprawdę nie wiem, co mi przyszło do głowy. Ogromnie się wstydzę i doskonale wiem, że zasługuję na każdą karę, którą uzna pani za stosowną.

– Mam nadzieję – odparła księżna, lecz jej oczy błyszczały wesoło. – Najwyraźniej nie oczekiwała pani dzisiaj mojej wizyty. – Claire bez słowa pokręciła głową. Księżna zaśmiała się cicho. – Miałam przybyć dopiero jutrzejszego wieczoru, ale ogromnie się cieszę, że przyjechałam o dzień wcześniej i nie straciłam możliwości uczestniczenia w tej maskaradzie.

Księżna Beaumont najwyraźniej doskonale się bawiła. Claire nie podzielała dobrego humoru niespodziewanego gościa.

– Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Czy zostaniemy niezwłocznie aresztowane? – spytała przejęta.

– Aresztowane? Dobry Boże, skąd! – obruszyła się Charmaine Beaumont. – Absolutnie nic podobnego nie przyszło mi do głowy. Tym nie musi pani się przejmować.

– Dziękuję, wasza książęca mość. Nie wiem, jakimi słowami mam opisać swoją wdzięczność. – Claire odetchnęła z ulgą. – Wiem, że ma pani pełne prawo domagać się mojego uwięzienia.

– Ach, a ja wiem z kolei, że niezbyt dobrze radzi sobie pani w więzieniach i

najchętniej by już tam – pani nie wracała. – Przepelnione łzami oczy Claire nagle się rozszerzyły ze zdumienia, gdy usłyszała słowa arystokratki. Księżna ze zrozumieniem pokiwała głową. – Kiedy pojechała pani na przejażdżkę, zaprzyjaźniłam się z panią Oliwią – ciągnęła. – To cudowna kobieta i ma o pani jak najlepsze zdanie. Powiedziała mi wszystko.

– Naprawdę?

Charmaine skinęła głową.

– Wiem od niej o niegodziwcu Nardeesie, który wtrącił panią do Newgate, bo odrzuciła pani jego awanse.

Claire potwierdziła ruchem głowy.

– Droga pani Orwell, niech pani na mnie spojrzy – zażądała księżna stanowczo.

Claire skierowała pełen skruchy wzrok na urodziwą rozmówczynię.

– Nie dziwi mnie godne pogardy zachowanie lorda Nardeesa – przyznała Charmaine. – Jest pani bardzo piękną młodą kobietą, a zepsuty chciwy lord uznał, że skoro pani u niego pracuje i otrzymuje jego pieniądze, to może robić z panią, co tylko zechce. – Księżna skrzywiła się z obrzydzeniem. – Wardley Nardees to odrażający prostak i okrutny drań. – Zmrużyła oczy i prychnęła. – Najpierw usiłował panią napastować, a potem wygłaszał kłamliwe zarzuty pod pani adresem. Absolutna ohyda!

– Tak, lecz to, co zrobiłam, jest...

– Droga pani, nawet nie ma porównania – przerwała jej księżna.

– Przyjechałam tu – ciągnęła Claire, jakby nie dostyszała słów księżnej – podszywałam się pod panią, zajmowałam pani posiadłość i żyłam w luksusach należnych pani. Wasza książęca mość, czy pani kiedykolwiek mi to wybaczy?

Księżna Beaumont zaśmiała się szczerze.

– Mam pani wybaczyć? Musi pani wiedzieć, że jestem pełna podziwu dla pani pomysłowości i sprytu. Fantastyczny pomysł! Zawsze głęboko poważalam kreatywność oraz wyobraźnię, a ponad wszelką wątpliwość jest pani niesłychanie inteligentną kobietą. Pochlebia mi, że postanowiła pani mnie udawać. – Podeszła do kanapy, usiadła na wygodnych poduszkach i poklepała jedną z nich obok siebie. – Ufam, że miło spędziłam wakacje w Saratoga Springs.

Jej oczy rozbłysły, a na ustach wykwitł szeroki uśmiech.

Claire usiadła u boku arystokratki.

– Miło – przyznała i w końcu zdobyła się na nieśmiały uśmiech. – Nawet trochę za bardzo miło.

– Zatem skąd te łzy? – Księżna wyciągnęła zdobioną koronkami chusteczkę z

ukrytej w fałdach atlasowego szlafroka kieszeni i wręczyła ją Claire. – Proszę to wziąć. Niech pani wytrze oczy i oczyści nos. Potem chętnie wysłucham całej historii, od samego początku aż do końca.

Claire kilka razy dotknęła chustką oczu, ale gdy zaczęła mówić, pojawiły się w nich nowe łzy.

– Maskarada okazała się sukcesem – wyznała cicho. – Gdy dotarła do mnie informacja o tym, że nie była pani w Saratodze od ośmiu lat, nabrałam przekonania, że mogę przeciągnąć oszustwo. W londyńskich gazetach widziałam pani zdjęcia i zrozumiałam, że jesteśmy uderzająco podobne. Mamy tę samą, szczupłą budowę ciała, wysoki wzrost, jasne włosy. Chyba udało mi się oszukać wszystkich. Tak naprawdę jednak wpadłam we własne sidła. Otóż okazałam się na tyle głupia, by się zakochać...

– To rzeczywiście potworne głupstwo – przyznała księżna i energicznie pokiwała głową.

– Wiem, wiem. Wcale nie chciałam, aby do tego doszło – chlipnęła Claire. – Ale on jest po prostu cudowny i oboje przeżyliśmy tak niezwykle... fascynujący...

– Romans? – podpowiedziała arystokratka. – Czy tego słowa pani szuka?

– Tak. – Claire była nieco zakłopotana. – Mieliśmy niepowtarzalny romans i...

– Z pewnością świetnie się bawiliście, ale to nie powód, by się zakochać. Mam za sobą niejednego romansu i ani razu nie straciłam głowy. – Księżna zachichotała wesoło. – Szczerze powiedziawszy, jestem z tego dumna.

– Szkoda, że nie przypominam pani pod tym względem – zauważyła z westchnieniem Claire.

– To prawda, ale nie ma powodów do rozpacz. Niech mi pani opowie o tym nadzwyczajnym mężczyźnie, któremu wystarczyły zaledwie trzy tygodnie, aby ukraść pani serce. – Charmaine Beaumont popatrzyła na Claire z ciekawością.

– Chodzi o dżentelmena, którego widziała pani dzisiaj wieczorem. Nazywa się Hank Cassidy i jest...

– Królem Srebra? – przerwała jej Charmaine.

– Zna go pani? – Claire zrobiła wielkie oczy.

– Nie, Olivia wyjaśniła mi, kim on jest. – Gardłowy śmiech księżnej wypełnił pokój. – Do dzisiejszego wieczoru nigdy go nie spotkałam. Zobaczyłam go po raz pierwszy w chwili, gdy weszłam do salonu, aby podać brandy.

Claire uśmiechnęła się przez łzy, przypomniawszy sobie tamten moment i własne zdumienie.

– Proszę przyjąć moje gratulacje, wasza książęca mość – powiedziała z

uznaniem. – Omal nie zemdlałam. To był naprawdę spektakularny występ.

– Och, dziękuję za dobre słowo, dziękuję. – Księżna wydawała się zadowolona.

– Wypadłam całkiem przekonująco, prawda? Czyż nie udało mi się zręcznie przegonić lorda Nardeesa? Zabrał się jak niepyszny, czyż nie?

– Pani czyny okazały się nader skuteczne. – Claire była pod wrażeniem.

– Nie zbaczajmy jednak z tematu. Proszę mówić o sobie – zaproponowała księżna. – Wspomniała pani, że lekkomyślnie zakochała się w przystojnym Królu Srebra.

– Tak właśnie się stało – przyznała Claire. – Zakochałam się po uszy. Beznadziejnie.

– A on nie odwzajemnił pani uczucia? – Piękna arystokratka popatrzyła na Claire z autentycznym współczuciem.

– Niestety. – Claire ze smutkiem pokręciła głową. – Zakochał się nie we mnie, lecz w księżnej Beaumont.

Zaraz po wejściu do swojej willi Hank strząsnął z ramion przemoczoną, białą marynarkę od smokingu i zostawił ją tam, gdzie upadła. Następnie rozwiązał czarny, jedwabny fular, ściągnął go i również cisnął na podłogę. Na koniec rozpiął górne guziki wilgotnej białej koszuli, która lepiała mu się do torsu.

Nie zawracał sobie głowy przebieraniem w suchą odzież. Nie sięgnął nawet po ręcznik, by przetrzeć mokre włosy albo usunąć wilgoć z twarzy i torsu.

Odkorkował do połowy opróżnioną butelkę burbona i nalał sobie do szklanki. Odwrócił się, żeby odejść, ale znieruchomiał, chwycił butelkę dwoma palcami i zabrał ze sobą. Następnie usiadł w wygodnym fotelu i postawił alkohol na stoliku przy łokciu.

W salonie willi panował mrok, lecz Hank nie chciał zapalać światła. Ciemności pasowały do jego nastroju.

Wypił spory łyk, skrzywił się i poczuł, jak palący płyn spływa mu do wnętrza.

Dobrze. Może wypali tę bezduszną, lekkomyślną kobietę z jego serca.

Ponownie uniósł szklankę, wypił do dna i nalał sobie następną. I jeszcze jedną.

Zmarszczył brwi, gdy się okazało, że butelka jest całkiem pusta. Odwrócił naczynie do góry dnem i parę razy potrząsnął, lecz nie wypłynęła ani kropla. Cisnął flaszkę na dywan, wstał z fotela i podszedł do szeregu sznurków z dzwoneczkami, przeznaczonymi do przyzywania służby.

Rozdział – Czy pan mnie wzywał? – spytał pracownik hotelu, ukryty pod parasolem, kiedy przejęty i przygnębiony Hank otworzył drzwi wejściowe.

– Whisky – zażądał Hank i przeczesał dłonią zmierzwione włosy. – Proszę mi przynieść butelkę, nie, dwie butelki burbona. Najlepszego burbona z Kentucky.

Młody mężczyzna stał nieruchomo i patrzył na bogatego gościa. Uważne spojrzenie służącego zirytowało Hanka.

– Na co pan czeka, do cholery? – ryknął. – Pić mi się chce!

– Proszę pana, nie jestem pewien, czy w naszej hotelowej kuchni jest burbon. Muszę iść do baru – Nie obchodzi mnie, skąd pan weźmie burbona. Jak będzie trzeba, niech go ktoś przywiezie – z Kentucky. – Hank nie był w nastroju na pogaduszki. – Chcę burbona i nie będę tolerował żadnych wykrętów!

– Tak jest, proszę pana, już pędzę.

Służący odszedł pospiesznie. Z trudem chwycił powietrze, gdy dotarł do baru hotelowego, rzucił parasol w kąt, minął pokój wyłożony ciemną boazerią i niepewnie podszedł do barmana. Dyskretnie przyłożył mu rękę do ucha i wyszeptał, że wyraźnie nieszczęśliwy Hank Cassidy pije na umór w swojej willi.

– Czy to znaczy, że nie ma tam księżnej? – spytał Wallace z niepokojem.

– Ano nie ma. – Służący skinął ponuro głową. – Poza tym jeden z portierów widział, jak ponad godzinę temu Cassidy jechał z księżną w kierunku jej posiadłości. Po pewnym czasie pan Cassidy samotnie wrócił do hotelu.

Barman uniósł krzaczaste brwi, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Zapewne ją znużył, i posłała go do diabła.

– Ciekawe, kto zajmie jego miejsce?

Podczas gdy obaj mężczyźni po cichu rozmawiali o Królu Srebra i księżnej, Caroline Whit oraz Parker Lawson wkroczyli do sali wyłożonej boazerią i podeszli prosto do baru. Żadne z nich nie zauważyło, jak barman wręcza służącemu dwie butelki burbona.

Po chwili barman podszedł do nowych gości, powitał ich ciepło i spytał, na co mają ochotę.

– Wpadliśmy tylko na szybkiego drinka, Wallace – wyjaśnił Parker Lawson. – Poprosimy o dwie lampki koniaku.

– Służę uprzejmie. – Wallace skinął głową i uśmiechnął się do Caroline.

Odwzajemniła uśmiech.

– Jak sądzę, Wallace zna wszystkie hotelowe plotki – mruknęła do Parkera.

Wzruszył ramionami.

– Niewykluczone – odparł przyciszonym głosem. – Z pewnością jednak jest na

tyle dyskretny, aby nie powtarzać pogłosek każdemu, kto byłby ich ciekaw.

Po kilku sekundach Wallace powrócił i postawił dwa kieliszki bursztynowego koniaku przed Caroline i Parkerem.

– Jak widzę, mimo deszczu doskonale się państwo bawią – zagadnął.

– Owszem, nie najgorzej – przyznał Parker i uśmiechnął się do barmana.

– Uhm, nie jestem pewna. Tak sobie – poprawiła go Caroline i podniosła kieliszek.

Parker poszedł w jej ślady i ochoczo wypił alkohol. Kilka minut wystarczyło, aby oboje opróżnili kieliszki, więc Wallace nalał im jeszcze po jednym.

I jeszcze jednym.

O godzinie drugiej w nocy Caroline Whit i Parker Lawson nadal tkwili przy barze w hotelu United States. Parker wlał w siebie mnóstwo alkoholu i był w sztok pijany. Opierał łokieć o mahoniowy blat, a głowę starał się podtrzymywać na dłoni. Przez cały czas milczał. Był przygnębiony i zamyślony.

Caroline była wstawiona, ale wyjątkowo podekscytowana. Wręcz tryskała energią. Nudziła się w towarzystwie ponurego Parkera, lecz nie miała ochoty iść spać, wodziła więc wzrokiem dookoła w poszukiwaniu ciekawszego towarzystwa.

Ku swojemu rozczarowaniu, nie dostrzegła nikogo, kto byłby godny jej uwagi. Ruchem dłoni przykazała Wallace'owi, by ponownie nalał jej koniaku. Gdy barman podszedł, nachyliła się i uśmiechnęła uwodzicielsko.

– Wallace, czy to prawda, co mówią o barmanach? – zapytała z uśmiechem.

– Co takiego o nich mówią, proszę pani?

– Podobno znacie absolutnie wszystkie interesujące plotki.

Oczy Wallace'a rozbłysły, ale nie powiedział ani słowa. Caroline postanowiła nie dawać za wygraną. Pochyliła się jeszcze bardziej, ochoczo prezentując barmanowi głęboki dekolt.

– Spędziłam koszmarnie nudny wieczór. Sam widzisz z kim – szepnęła. – Może podzielisz się ze mną jakimiś pogłoskami? Powtórz mi coś ciekawego, co ostatnio dotarło do twoich uszu. Na przykład dzisiaj wieczorem.

– Och, proszę pani, to wykluczone – oznajmił Wallace z naciskiem. – Straciłbym pracę, gdybym...

– Och, przecież ja nikomu nie powiem. Nie puszcę pary z ust, obiecuję. – Wallace nerwowo – zerknął na Parkera, lecz Caroline rozwiała jego wątpliwości. – Jest zbyt pijany, abyś się nim przejmował. Nie będzie nic pamiętał. No, dalej, powiedz mi, czy widziałeś lub słyszałeś coś, co mogłabym uznać za interesujące?

Wallace rozejrzał się ostrożnie po pustym barze, odchrząknął i poruszył głową, dając Caroline do zrozumienia, żeby się zbliżyła. Zaintrygowana, nadstawiła ucha.

– Nigdy pani nie zgadnie, kto się upija samotnie w swojej willi – wyszeptał.

Caroline zrobiła wielkie oczy i rozchyliła usta z przejęcia, kiedy barman opowiedział jej o tym, że jeden z pracowników hotelu został o północy wezwany do willi Hanka Cassidy'ego, który kazał mu przynieść dwie butelki burbona. Służący zdradził, że Cassidy pije całkiem sam; nie ma przy nim księżnej. Na dodatek Cassidy jest podobno przygnębiony i nieszczęśliwy.

– Poza tym... – powiedział barman. – Zaraz, zaraz.... Proszę zaczekać! Proszę pani, dokąd pani idzie?

Pijany Hank chwiejnie przemierzał pogrążony w półmroku pokój. Wędrował od jednej ściany do drugiej. Ledwie się trzymał na nogach, ale zamierzał spać się do nieprzytomności. Biała koszula wyschła, lecz była wygnieciona i rozchełstana, a na dodatek częściowo wystawała mu z pomiętych, czarnych spodni. Król Srebra miał fatalnie potargane włosy, które wpadały mu do oczu. Godzinę wcześniej z irytacją strząsnął z nóg buty i kopniakiem posłał je do kąta.

Chociaż cały czas padało, w pewnej chwili wyszedł na balkon.

Był wściekły.

Rozzłościł się na siebie za własną głupotę. Pokochał kobietę, która nie znała znaczenia słowa „miłość”. Nigdy nikogo nie kochała. Za zaistniałą sytuację mógł winić wyłącznie siebie. Od samego początku wiedział, że frywolna księżna Beaumont traktuje romanse w podobny sposób jak mężczyźni – przelotne miłostki nie mają dla niej żadnego znaczenia i są tylko przyjemną odmianą w codziennym życiu. O letnich związkach można zapomnieć wraz z nastaniem jesieni. A potem poszukać sobie nowego kochanka.

Niech ją lichy.

Dobrze mu tak.

Hank zamknął oczy, uniósł nieogoloną twarz i czekał, aż spłyną po niej krople deszczu. Cały czas pamiętał piękne oblicze księżnej, która popatrzyła mu prosto w oczy i chłodno wyznała, co czuje.

„Nie kocham cię. Przykro mi”.

Hank wrócił do pokoju, uniósł skraj koszuli i wytarł deszczówkę ze sklejonych rzęs. Potem nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę whisky i usiadł w fotelu. Właśnie unosił drinka do ust, kiedy usłyszał ciche pukanie do drzwi willi.

Opuścił szklanę, odstawił ją na stół i odwrócił głowę, by lepiej słyszeć. Nie

miął pewności. Czy naprawdę słyszał pukanie, czy też wyobraźnia płatała mu figla?

Pukanie rozległo się ponownie.

Hank z trudem oddychał. Nie mógł się poruszyć, bo wszystkie jego mięśnie stężały.

Wróciła?

To ona! Księżna. Przyszła do niego. Kocha go. Kocha go tak jak on jaj A jednak!

Serce waliło mu jak młotem. Skoczył na równe nogi i w kilku susach pokonał drogę do drzwi. Cały w uśmiechach, szarpnął za klamkę i otworzył drzwi na oścież.

– Och, ukochana, najdroższa, tak bardzo... ! – wykrzyknął i nagle uśmiech znikł z jego ust. – To ty? Czego chcesz, Caroline? – spytał opryskliwie.

– Chciałabym dotrzymać ci towarzystwa – odparła i pospiesznie weszła do środka. Tam natychmiast przywarła do Hanka i objęła go w pasie. – Jesteś równie samotny jak ja – wyszeptała namiętnie. – Zaproś mnie do siebie. Napijmy się razem, odprężmy się. Nie pożałujesz.

Zirytowany Hank oderwał jej ręce od siebie i odsunął ją stanowczo.

– Jesteś nietrzeźwa, Caroline.

– Ty również, ale mniejsza z tym – zapewniła go. – Oboje będziemy pijani. Nie odpowiadamy za swoje czyny – Caroline, jest już bardzo późno. – Nie zamierzał ustępować. – Pora, byś poszła spać.

– Tylko w twoim łóżku – oświadczyła. – Księżnej już tu nie ma. Dobrze wiem, że odeszła. Zostawiła cię, przyznaj to sam. Opuściła cię tak, jak przewidywałam. A czego się spodziewałeś? Przecież to taki typ kobiety. Uwodzi i porzuca, kiedy już się znudzi swoją zdobyczą. Złapała go za ramiona.

– Ona nie jest ci do niczego potrzebna, – szepnęła. Przy mnie wkrótce o niej zapomnisz. Zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz, wszystko...

– Dobranoc, Caroline – pożegnał ją, a potem łagodnie wypchnął ją za próg i zamknął drzwi.

Był bardzo zmęczony.

Bardzo zmęczony i nieszczęśliwy.

Rozdział 39

Choć letnie słońce jak zwykle wstało o świcie, jego promienie nie oświetlały jednak kurortu, gdyż przeszkadzała im gruba warstwa gęstych szarych chmur. Niebo nad Saratoga Springs przybrało barwę ołowianą, deszcz mocno zaciął, gdyż zerwał się silny nieprzyjemny wiatr. Wielkie krople gwałtownie tłukły o szyby budynku, a wichura jęczała żałośnie wokół posiadłości.

– Droga pani Orwell, czy na pewno nie chciałaby pani spędzić ze mną kilku dni? Sprawiłoby mi to olbrzymią przyjemność. Może się jednak pani zdecyduje zostać? – dopytywała się księżna Charmaine Beaumont.

Claire i Olivia były spakowane i gotowe do wyjazdu na stację. Rozmówczynie stały w przestronnym holu i życzyły sobie wszystkiego najlepszego z okazji pożegnania.

– Dziękuję, księżno, jest pani bardzo uprzejma, ale naprawdę musimy jechać – oświadczyła Claire.

– Dokąd pani się uda? Czym się pani zajmie? – wypytywała przejęta księżna. Claire wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Może znajdziemy pracę w Nowym Jorku. Gdy już coś odłożymy, pewnie kiedyś powrócę do Anglii. W końcu tam jest moje miejsce.

– Przydałaby mi się sekretarka – oświadczyła księżna z namysłem i spojrzała najpierw na Claire, a potem na Olivię. – A także gospodyni domu...

– Księżno, jest pani niebywale uprzejma i wyrozumiała, lecz dziękujemy – odparła Claire. – I tak zbyt długo korzystałyśmy z pani gościnności.

Uśmiechała się z wysiłkiem, zdecydowana robić dobrą minę do złej gry. Ponura i deszczowa aura jeszcze bardziej pogarszała i tak zły nastrój Claire. Odnosiła wrażenie, że już nigdy nie zaświeci dla niej słońce.

Spostrzegawcza księżna nie dała się zwieść pokrzepiającemu uśmiechowi Claire i natychmiast zorientowała się, co ją gnębi. Charmaine wymieniła spojrzenia z Olivią. Wcześniej obie próbowały przekonać Claire, że Hanka nie będzie obchodziło, iż jego wybranka nie jest księżną Beaumont, tylko młodą skromną wdową, której przyszedł do głowy szalony pomysł udawania pięknej arystokratki.

Claire nie chciała ich słuchać.

W końcu nadeszła pora wyjazdu. Woźnica już czekał w krytym powozie.

Kobiety wyszły na taras: Claire i Olivia przebrały się w stroje podróżne, a księżna wciąż miała na sobie cienki peniuar.

Obiema rękami chwyciła dłoń Claire.

– Popęni pani błąd, którego będzie pani żałowała do końca życia, jeśli teraz wyjedzie pani bez pożegnania z Hankiem – oznajmiła z przejęciem.

– Księżno, już popełniłam błąd, którego będę żałowała do końca życia – odparła Claire.

Księżna z dezaprobatą pokręciła głową i uściśnęła najpierw Claire, potem Olivię. Każda z nich ponownie podziękowała arystokratce za okazaną życzliwość i wyrozumiałość.

– Obie panie będą mile widziane zawsze, kiedy zdecydują się zajrzeć pod mój dach – oświadczyła Charmaine. – Nawet pod moją nieobecność – dodała ze śmiechem.

Woźnica wszedł na taras i rozłożył ogromny, czarny parasol. Claire i Olivia natychmiast schowały się pod jego wielką czaszę. Służący przytrzymał go nad ich głowami i sprowadził po schodach ku oczekującemu powozowi. Gdy znalazły się bezpiecznie w środku, powrócił po bagaże.

Księżna chwyciła go za łokieć.

– Gdy pozostawisz je na stacji, natychmiast wróc tutaj i zaczekaj na mnie – przykazała mu, odwróciła się i odeszła.

Kiedy powóz odjechał, Charmaine biegiem wpadła do domu, żeby się ubrać. Nie była jedną z tych osób, które chętnie wtrącają się w cudze sprawy, ale zaistniała sytuacja wymagała błyskawicznej interwencji.

Elegancko ubrana księżna niecierpliwie dreptała po tarasie, kiedy zgodnie z jej poleceniem powóz powrócił ze stacji i zajechał przed wejście do posiadłości. Po krótkiej chwili Charmaine zbiegła po schodach.

– Jedziemy do willi przy hotelu United States oznajmiła. – Sprawa jest pilna, więc ruszajmy z kopyta.

Przejęty woźnica natychmiast strzelił batem i już po chwili zaprzęg gniadoszy pędził galopem. W pewnej chwili księżna zaczęła się obawiać o własne życie, gdy kryty powóz w strugach deszczu podskakiwał i kołysał się na wybojach Broadwayu.

W kilka minut dotarła do celu i niespokojnie załomotała do drzwi willi Hanka.

Chwilę trwało, nim je otworzono. Stał w nich oszołomiony i skacowany Król Srebra. Wyglądał okropnie.

Zamrugnął powiekami ze zdziwienia, gdy ujrzał przed sobą służącą księżnej.

– Co, u Ucha... ? – zaczął, lecz nie skończył.

– Niech pan nic nie mówi, tylko słucha – przerwała mu Charmaine Beaumont i wepchnęła go do środka.

Claire i Olivia dotarły na tętniącą życiem stację kolejową. Przestronny plac z fontannami i wysokimi drzewami był nietypowo pusty, gdyż z nieba cały czas płynęły potoki deszczu. Pod stacją zajeżdżały za to liczne powozy, bryczki i dorożki, z których wysiadali pasażerowie.

Oślonięte parasolem, Claire i Olivia pospieszyły do środka. Pomimo wczesnej pory w niskim budynku z czerwonej cegły panował spory tłok. Na stację przybywały nie tylko osoby opuszczające kurort, lecz również ich przyjaciele, znajomi oraz członkowie rodzin.

Po naleganiach Olivii Claire zgodziła się poczekać, aż przyjaciółka sama przepchnie się przez tłum do okienka kasowego, aby zakupić bilety na pociąg.

Olivia odeszła, a wielokrotnie potrącana i popychana Claire uśmiechała się smutno i wodziła wzrokiem po nieznanym twarzach.

Wszystko wyglądało tak jak tamtego uroczego popołudnia, kiedy wraz z Olivią przyjechała do Saratogi. Pasażerowie nosili podobne eleganckie stroje. Dokoła słyhać było salwy śmiechu i nawoływania. Atmosferę przepełniała wyraźna ekscytacja przed podróżą.

Tyle że tamten dzień był dla obu przyjaciółek początkiem wielkiej przygody.

Teraz przygodę miały już za sobą. Musiały wrócić do szarego życia.

– Chodź! – zawołała Olivia, która z najwyższym trudem przeciskała się przez tłum. – Kupiłam bilety, mam je w sakiewce. Idziemy na peron, musimy jakoś dostać się do wagonu.

Claire posłusznie skinęła głową, wzięła Olivię pod rękę i ruszyła ku drzwiom prowadzącym na zatłoczony peron. Silny wiatr natychmiast zmoczył ich twarze kroplami deszczu, na nic się zdał uniesiony parasol. Panie nie miały żadnego wyboru, zmuszone były stać w strumieniach wody. Długa, zwarta kolejka pasażerów przed nimi całkowicie blokowała drogę.

Kiedy oczekiwały na swoją kolej, Olivia nagle uśmiechnęła się tajemniczo, sięgnęła do sakiewki i dyskretnie pokazała przyjaciółce plik banknotów.

– Jak widzisz, mój pobyt tutaj nie był bezowocny – powiedziała. – Dobrze wykorzystałam swoje umiejętności hazardzistki oraz znajomość z Foxem Connorem, trenerem koni Króla Srebra. Przynajmniej będziemy miały za co żyć, zanim znajdzie się dla nas jakaś praca. Tym nie musisz się przejmować.

Claire z trudem się do niej uśmiechnęła.

– To dobrze, moja kochana – odparła z westchnieniem. – Natychmiast po przybyciu do Nowego Jorku spróbuję sobie znaleźć jakieś zajęcie.

Obawiam się, że będziemy musiały jak najszybciej odwyknąć od wystawnego trybu życia i stawić czoło szarej rzeczywistości.

Przyjaciółki wymieniły smutne spojrzenia i weszły na stopnie wagonu. Jednocześnie zgodnie złożyły parasole, a następnie powędrowały korytarzem w poszukiwaniu swoich wykupionych miejsc. Gdy je znalazły, strzepnęły wodę z ramion i usiadły. Claire przycupnęła przy oknie, Olivia wołała mieć na oku korytarz.

Mijały minuty, a pasażerowie powoli zajmowali miejsca i przygotowywali się do podróży do Nowego Jorku.

Wkrótce zjawił się konduktor i sprawdził bilety. Koła lokomotywy potoczyły się po torach. Poranny skład z Sara toga Springs do Nowego Jorku niespiesznie ruszył w drogę.

Claire oparła czoło o wilgotną od deszczu i pary szybę. Spoglądała na szary świat zapachniętymi od płaczu oczami, gdy nagle wydało się jej, że słyszy Hanka. Miała wrażenie, że nawoływał ją jej prawdziwym imieniem.

Uniosła głowę i nadstawiła ucha, lecz natychmiast skarciła się za naiwność i brak rozsądku. Westchnęła z rezygnacją, znowu oparła czoło o szybę i zamknęła pełne łez oczy.

Ponownie usłyszała głos Hanka. Tym razem nie było mowy o złudzeniu.

Wyprostowała się i popatrzyła na Olivie.

– Słyszałaś? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdziła starsza pani. – Tak, doskonale słyszałam. Otwórz okno. Natychmiast otwórz okno!

Przepełnione nadzieją serce Claire biło niespokojnie, kiedy pospiesznie otworzyła okno i wystawiła głowę na deszcz.

– Hank! – krzyknęła na widok ukochanego, który ile sił w nogach biegł obok pociągu.

– Najdroższa! – wołał. – Czekaj! Nie odjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie! Kocham cię!

– Och, Hank! – odkrzyknęła, wychyliła się jak najmocniej i bezradnie wyciągnęła ku niemu rękę.

– Hank zupełnie nie mógł nadążyć za nabierającą prędkości maszyną.

– Kocham cię, Claire Orwell! – zawołał. Długimi nogami sadził ogromne susy.

– Nie księżnę Beaumont, tylko ciebie! Nikogo innego! Wyjdź za mnie, Claire!

Rzecz jasna, wszyscy zauważyli jego popisy. Pasażerowie pociągu oraz ludzie obecni na stacji patrzyli na przystojnego, lecz wyraźnie zmęczonego mężczyznę, który jak szalony gnał za umykającym składem. Z jego mokrych włosów skapywały krople deszczu, a na dodatek pilnie potrzebował wizyty u golibrody. Ciemny zarost pokrywał dolną połowę twarzy. Koszulę miał rozpiętą, a po jego nagim torsie spływały strużki wody, rozpryskujące się podczas biegu. Mało kto rozpoznał w nim eleganckiego bogacza, ulubieńca pań, Króla Srebra z Nevady.

Zaniedbany mężczyzna desperacko usiłował chwycić dłoń ładnej, elegancko ubranej młodej damy, która niebezpiecznie wychylała się z okna wagonu. Deszcz kropił na jej twarz, moczył starannie zaczesane do góry jasne włosy i przesiąkał przez materiał niebieskiego, bawełnianego podróznego kostiumu.

– Hank! Hank! – wykrzykiwała rozpaczliwie imię mężczyzny.

Przypadkowa publiczność gwizdami aprobaty i głośnymi brawami dopingowała Hanka, który cały czas miał jeszcze szansę wskoczyć do pociągu. Tymczasem Oliwa złapała swoją laskę i pospiesznie udała się na poszukiwanie konduktora. W końcu jej się to udało.

– Musi pan natychmiast zatrzymać pociąg! Zdenerwowana, rozkazała zdeorientowanemu mężczyźnie i chwyciła go za rękaw. – To sprawa życia i śmierci!

W jednej chwili konduktor uruchomił hamulce awaryjne i zablokował koła pociągu, który z głośnym zgrzytem zatrzymał się po kilkunastu metrach. Claire błyskawicznie odskoczyła od okna i szybko pobiegła korytarzem do schodków wyjściowych. Tam z głośnym piskiem rzuciła się wprost w wyciągnięte ramiona wyczerpanego i skołowanego Hanka.

Szczęśliwy, zawirował wraz z nią.

– Ukochana! – wykrzyknął. – Wiem wszystko. Charmaine mi powiedziała. To naprawdę nie ma znaczenia! Kocham cię. Nie chcę żadnej innej, tylko ciebie!

– Och, Hank, ja też cię kocham i ogromnie żałuję... – zaczęła Claire.

– Posłuchaj, najdroższa – przerwał jej. Oddychał chrapliwie, z trudem wciągał powietrze w obolałe płuca. – Co z tego, że nie jesteś księżną, skoro w moim życiu stałaś się królową. Z największą chęcią i rozkoszą zostanę twoim poddanym, abys rządziła mną do końca moich dni.

– Och, Hank, mój kochany – wyszeptła Claire i przytuliła go z całych sił.

W końcu oboje nie wytrzymali i wybuchnęli śmiechem. Hank ostrożnie postawił Claire na ziemi. Znieruchomieli i patrzyli sobie w oczy, tak bardzo zakochani, że zapomnieli o świecie, wietrze, deszczu.

– Na co czekasz, chłopie? Pocałuj ją! – krzyknął ktoś z głębi wagonu, a pozostali pasażerowie natychmiast podchwycili ten pomysł i zaczęli skandować: – Gorzko, gorzko, gorzko!

Hank uśmiechnął się od ucha do ucha. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie są tutaj sami. Jednakże ani trochę go to nie obchodziło.

Claire również miała umysł zaprzątnięty czym innym.

Podczas gdy cały pociąg gwizdał i wiwatował, Hank pochylił głowę i złożył namiętny pocałunek na ustach Claire. Całowali się i mocno do siebie tulili. Była to długa, cudowna pieśczoła mężczyzny i kobiety, którzy kochają się z całego serca i właśnie doświadczyli największej radości w swoim życiu.

Pocałunek Hanka i Claire trwał w najlepsze, gdy nagle deszcz ustał zupełnie zniemacka. Ciemne chmury się rozstały.

Wyjrzało zza nich słońce. Jego jasne promienie spłynęły z błękitnego nieba i oświetliły parę kochanków.